



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Źnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



Czaykowski

P. o. rel.

24-15

p 1118

*R. Augustin
Henderson*

C A W B D Y .

GAWĘDY

MICHAŁA CZAYKOWSKIEGO

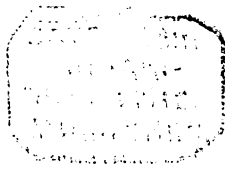
WYDANIE E. JEŻOWICKIEGO I SPÓŁKI.

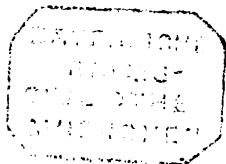
Ersatz, 26. XI. 1932

PARYŻ.

1840.

OWRUCZANIE 1794.





Było to w chwili kiedy nastąpił drugi rozbiór Polski, a Moskwa posunęła swoje zabory po Słucz. Występn i niegodni Polacy służąc moskiewskiej Carycy, jeszcze przed rozbiorem sprowadzili większą część narodowego wojska na zimowe leże do Wojewodztw Braclawskiego i Kijowskiego, aby Caryca mogła je namową lub musiem skłonić do moskiewskiej służby; ten nieczestny czyn spełnili Złotnicki i Lubowidzki z rozkazu Xawerego Branickiego Wielkiego Hetmana Korony. Moskwa już odkrywała Gubernje w zabranym kraju, ale jeszcze wstrzymywała się z ostatecznem postanowieniem względem narodowego wojska; po złożeniu broni, niewolno mu było opuszczać naznaczone leże, oddziały moskali strzegły go do koła, a Tar-gowiczanie służyli Moskwie za szpiegów. Moźni panowie brzydką frymarką, a szlachta bezładem, pograżywszy Ojczyznę w przepaść, pogardzani i znieważani przez zbirów moskiewskiej Carycy, już zaczęli uczuwać i szkaradę i nierozum swo-

jego postępowania, ale jeszcze nieśmieli jawnie podnieść głowy, tylko pokątnie utyskiwali na swoje błędy i winy, i zlorzeczyli 'przrogom', kiedy przyszła wieść o daném haśle do powstania przez Tadeusza Kościuszkę. Moskwa zdwoiła siły swojego wojska, surowość swoich urzędników i hacznosc szpiegów w całym zabranym kraju, a szlachta zaczęła pomalutku, jak mogła i umiała, radzić o podźwignieniu Ojczyzny.

I.

W starym Owruczu, siedzibie wojennój polskiej szlachty, był Opatem xiądz Józefat Ochocki mnich unicki z zakonu Świętego Bazylego; on dawnym obyczajem Bazyljanów, pod mniszą szatą żywił polskie serce. Kapłan Boży, umiał godzić służbę nalczną wierze, ze służbą Ojczyzny i w spowiednicy i na kazalnicy jedno i toż samo opowiadał; za wiarę, za Ojczyznę, za wolność, idźcie i gińcie, dla nich tylko życie. I teraz ledwie zasłyszal o wieści mającego się rozpocząć powstanie w Polsce, natychmiast zebrał w zakrystji Zaruczajskiego monasteru, wszystkich żebraków starców którzy od wielu lat żyli jakmużną monasterną, i w ten czas kiedy mnichy w kościele sławiańską mową śpiewali hymn — Hospody pomyłuj! hospody pomyłuj! — on do żebraków tak kazał.

— Lirnicy, guślarze, dziady z torbami, dalej w drogę, po siołach, po grodach; po stepach, po lasach; rozłaćcie się jak

robaki Boże, mówcie w ucho ludowi Bożemu, niech nyszkciem
broń przyrządza, konie sposobi, a jak po miastach i po siołach
na gwałt dzwony zajęczą, niech na koń siada, za broń chwyt-
ta, i bieży, za wiarę, za Ojczyznę i za wolność, krew wrażę
sączyć, swoją przelewać. Wy lirnicy, brzęczcie w liry, w teor-
bany, wojenne kozacke dumki, piejcie w różnegłoty pieśni
naszego Zaporozia; niech wasze pienie, wasze bramię w wo-
jennój szlachcie krew warem zakipi, niech lud kozaczy wojnę
zachmieli. Wy guślarze skarbniki przeszłych dziejów, idźcie po
dworach, po karczmach, po chatach, a wszędzie opowiadajcie
złote dumy, o Królach polskich, o kozacych Atamanach;
opowiadajcie że był u nas Piotr Konaszewicz Sahajdaczny
co z krzyżem na piersiach, z szablą w ręku, na koniu i na czaj-
ce, w Europie i w Azjijskich krajach, gromił Bisurmanów za
wiarę; że był u nas Jan Wyhowski, co Konotopskie pola
zgnoił moskiewskimi trupami, zlał krwią moskiewską
i na długie lata pobielif je moskiewskimi kośćmi
za Polskę; że byli u nas młodzce rażni, ochoczy, co
w kilka tysięcy koni pod wodzą Brzuchowieckich; Orlen-
ków, stotysięczne wojsko Hańa i białego Cara, gnali za góry,
za morza, w perzynę pustoszyli ogniem i mieczem Bisurmiań-
szczyznę i Moskiewszczyznę, za wolność; mówcie ina to, mów-
cie, a znajdują się młodzce, znajdują się Wyhowscy i Konasz-
ewicze. Wy dziady z torbami, dobrą wieść w podarku ludowi
Bożemu nieście, proście o jałmużnę dla wiary, dla Ojczyzny,
dla wolności; niech własnego życia i mienia nieskapią, niech
między wrogów bojaie śmiercią szafują, a ostoi się kościół

powszedni jedyny; będzie Polska, zaświeci swoboda ludowi; idźcie, mówcie co ja wam mówię, Bóg wam dopomoże, Bóg nam pobłogosławi.

Tak mówił xiądz opat. Nic dziwnego! i Konaszewicz Sahajdaczny był mnichem Bazyljanem. Lirnicy, guślarze i dziady żebracy w ręce go całowali, a on ich błogosławił; twarz jego zapaleł się lskniła, i oko błyszczało zapalem, a siwe włosy jakby umyślnie ozłocił promyk słońca; tamto jawne odbicia się uczuć polskiego serca, to znak wyraźny błogosławieństwa Bożego.

Czterech Bazyljanów dzieliło chleby, mięsiwa i pieniądze między starców, i każdy starzec jeszcze się pomodlił w kościele, a potem szedł w swoją drogę.

Temczasem xiądz opat wziął na stronę młodzieńca przybranego niebardzo bogato ale chędogo, w polskim kontuszku i żupanie.

— A cóż Panie Wiczfiński?

Zbolałe oczy młodzieńca łzami zasły, na błądą i schorzałą ale piękną twarz, wystąpiła krasa rumieńca, nawet kibić wiotka, gnąca się, spanoszała butną postawą. Xiężę opacie, ja gotowem na wszystko — więcej nic nieodpowiedział, ale widać że radby mu do nóg się rzucić, w ręce ucałować; tak go zachwycała mowa mnicha.

Xiądz opat to poznał, wziął go za rękę i musiał uściskać, bo dobre serce wyzwierciedliło się na twarz — Więc jedźmy.

W godzinę później czterokonny powóz, wyjechał z Zarucajskiego monasteru, przejechał przez most na ruczaju i toczył się ku Wileńskiej bramie. Już siedmiowzgórzy Owrucz

całkiem zajęło moskiewskie wojsko ; xiądz opat patrzył na ten odwieczny zamek, jeszcze Igorowego stawiania, na tę Spaską cerkiew, gdzie przed obrazem Zhawiciela, Owruczanie pierwszy chrzest przyjmowali; na ten klasztor Dominikański założony i postawiony przez Pana Sędziego Dubrawskiego; na te okopy i wały każdego wzgórza : tam wszędzie snuje się żołdactwo moskiewskie. Xiądz opat pomodlił się, zapewne o to żeby ich tam nie było, i rzekł do woźnicy — do Barbarowa.

Młodzieniec żywo się zarumienił i westchnął.

H.

W Barbarowie mieszkał Strażnik Oskierko, pan dumny rodem i znaczeniem, ale dobry polak; miał kilkoro dzieci a między nimi najstarszą córkę już dwudziestoletnią. Panna Strażnikówna była sławna z urody na całe okolice; kibicią smukła, rosła, hoża, a taka szykowna, że aż lubo patrzeć na nią. Licem mleczna jak kwiat kaliny, rumieńcem kraśna jak żurachwiny jagoda; ząbkami biała jak śnieg, a usteczkami koralowa jak sam koral; oczy błękitne, brew czarna i włosy krucze : a taka milutka, taka słodziutka, że zdaje się wołać twarzą i oczkiem na młodzieńców : kochaj mnie, kochaj. Ale czegoś zawsze zadumana; trudno jej na uśmiech, i jeśli się uśmiechnie to nieszczercze; łatwiej na łzę, i często też oko we łzie się kąpie : zdałoby się że już smutek i cierpienie wałęsało

się po jej duszy; że już troska i niepokoje kołatały nieraz do jej serca.

Sąsiedzi a nadewszystko sąsiadki, gadały, że przed czterema laty, młodzieniec nazwiskiem Kulikowski, dobry szlachcic, ale niższego rodu od rodu Oskierków, serdecznie, namiętnie pokochał się w Pannie Strażnikównie. Panna jeszcze dziecina niepodzielała jego miłości, a ojciec po prostu bez żadnej ogródki zakazał mu bywać w swoim domu, powiadając:—jeśli Waszeć jako sąsiad i brat szlachcic przyjeżdżasz odwiedzać mnie Oskierkę, to proszę; jeśli wzałoty do mojej córki, to nic z tego niebędzie: w takim razie, moje progi za wysokie na Waszeci nogi, Oskierczanka nie dla Kulikowskiego—i odwrócił się. Kulikowski miał szablę przy boku, ale to był ojciec tój którą on kochał; z resztą, tak z nienacka ta mowa na niego spadła, iż słowa nierzekłszy wyjechał z Barbarowa, niewrócił do matczynego domu, i gdzieś zniknął; czy umarł z rozpaczy gdzie na pustyni, czy wstąpił do jakiego zakonu, tego niewiadomo, bo ani w Owruckim, ani w Zytomirskim, ani w całem Braclawskim, nigdzie o nim dowiedzieć się niemożna było; przepadł dla matki, przepadł dla braci szlachty. Matka spokrewniona z Bechami, z Waśkowskimi, z Czopowskimi, z Koruszkami liczną szlachtą Owrucką, takich kłopotów nabawiła Panu Oskierce, że nim się od nich odkaraskał, musiał puścić na pastwę braci szlachty nie jeden antał wina, nie jedną beczkę miodu i wiele kuf wódki, a do tego, i sam z nimi, wypić. Strażnik pojednał się z bracią szlachtą, bo on Owruczanin i oni Owruczanie; w tym błogim zakątku polskiego kraju nie-

znają rodowych nienawiści, ale trzymają się gadki rodzimój Owruckiej : w zgodzie żyć, mało mówić, wiele pić, i tego bić, ale wroga nie swojego. Panna Strażnikówna jednak, chociaż niekochała bynajmniej Kulikowskiego, nie jedną chwilę w smutku spędziła, trapiąc się że mimowolnie stała się powodem cudzego nieszczęścia.

Strażnik przecie po téj przygodzie, wcale niezmienił swojego postępowania. Dwa lata temu jak zaczął uczęszczać do jego domu Pan Wiczfiński, i sam potomek z dawnéj szlachty, i spokrewniony z najznakomitszymi rodami Polski. On kochał pannę Strażnikównę i ona jego kochała, ale nieubłagany ojciec powtarzał jak pierwój: — Oskierkówna nie dla Wiczfińskiego.

Młodsieniec hoży, wesoły przedtem, smutkiem i cierpieniami sterał swobodę duszy, i zapadł na zdrowiu; dawniej hulaszozu harcował na koniu, z rusznicą w ręku uganiał zwierza po kniejach; zawsze czepko się nosił, w tańcu skocznie hasał, a teraz z miłości tak schyrlał, że od lada wiatru się slaniał, ale dusza nieschyrlała, bo w nią kochanie tchnęło i ogień i zapał.

Dziewica choć łagodna i potulna, odmawiała posłuszeństwa surowemu ojcu, kiedy szło o przyrzeczenie jéj ręki. Niemierzycowi, Pauszy, Trzeciakowi, albo któremu innemu z naczelnej Owruckiej szlachty; odważała się nawet powiedzieć — zostanę starą panną, albo wstąpię do zakonu, a niebędę niczyją żoną, jeśli nie Marczelego Wiczfińskiego. Ojciec zgniewał się, ale jeszcze nie miał tyle dumy, żeby dla niéj

poświęcał szczęście córki i używał przymusu; postanowił czekać i dokazał tylko tego, że przez cztery miesiące noga Wiczyńskiego niepostała w Barbarowie.

Wszyscy w okolicy mówili, nawet to mówienie dochodziło do uszu Pana Strażnika: — biedni, oni się kochają, on ich pozabija swoją dumą. — Strażnik na to, brwi nasepił, wąsa targnął i mruknął przez zęby — jakoś to będzie.

III.

Nie imieniny, nie rodziny, ani święto żadne, a jednak w Barbarowie u Pana Strażnika zebrało się bukiem gości i to naczelników Owruckiej szlachty; nie jedzą, nie piją polskim obyczajem; tylko tytón kurzą, tabakę zażywają, i coś radzą.

— Panowie bracia, rzekł Strażnik, radźmy przecież porządnie, żebyśmy byli w stanie zrobić postanowienie jak przyjedzie xiądz opat. Spojrzał w okno — coś go niewidać?

— Zaraz przyjedzie; ja mówiłem Waćpanom Dobrodziejom co go załrzymało — odpowiedział Jan Nepomucen Ochocki, synowiec xiędza opata.

Tadeusz Niemierzytz Podkomorzy Owrucki parę razy buchnął dynem z cybucha — Ale któż on taki ten Kościuszko, kto go rodzi?. przyjechał z Ameryki i ogłosił się naczelnikiem, jakby tu u nas brakowało na ludziach?

— Zapewne — podchwycił Tadeusz Pausza Szambelan Jego

Królewskiej Mości — Głosić się naczelnikiem, kiedy mamy Króla? z resztą ani z pierza, ani z mięsa nieznanym.

— Moszci Dobrodzeju — przemówił Pan Andrzej Dubrawski Sędzia Grodzki Kijowskiego Województwa, znany nietylko na całej Rusi, ale i po wszem polskiem królestwie — kto on taki mniejsza oto; chce bicz szelmów Moszkali, taj dosyć: my go szłuchajmy.

— Słuchajmy a niewadźmy się — domówił się Jakób Pausza porucznik kawalerji narodowej, brat Szambelana.

Stanisław Trzeciak Sędzia ziemiański Owrucki wása naciągnął. — Ja powiadam, że najprzod trzeba powiesić tego huncwota Józefa Czerniachowskiego, to skórka na buty zmoskalony; jak go powiesimy to niezmartwychwstanie.

— Pan Sędzia ziemiański skazuje na gardło Czerniachowskiego ja się piszę na to, to Targowiczanie; ale też niezapominajcie że i Pan Stolnik Załęski kandydat do szubienicy: byłaby krzywda jednemu bez drugiego wisieć; ja Felix Pągowski, oto was proszę.

— Łaskawco, porzućmy prywaty — odrzekł Józef Jakubowski — a miłoby było Waćpanu wisieć?.. ot radźmy o sprawie Ojczyzny. — Pągowski zabierał się do słów, nim by może przyszło do szabli, ale na szczęście spór przerwany został przybyciem poruczników kawalerji narodowej z pińskiej brygady Kopcia i Tyzenhauza, a niebawem też przyjechał i xiądz opat z Panem Wiczfińskim.

Strażnik trochę się naburmusił, ale cóż robić? z xiędzem opatem przyjechał, rad nierad musiał przyjąć gościa. Szlacheckim

nałogowym obyczajem, szlachta zaczęła radzić; to wszyscy gwarnie i tłumnie na prześcigi gadali, a jak w babilońskiej wieży ani składu ani ładu z ich gadaniny wyciągnąć nie można; to znowu jak któryś z tych gadaczy mimowolnem słówkiem klin zabił milkli wszyscy i tylko wargami poprzykiwali, pokręcali wąsy, pasy poprawiali. Temi niememi znakami dziwnie dobrze, lepiej jak na słowa się rozmówili, bo zaczęli przebąkiwać — ha — ot — co tam — jakoś to będzie — bić moskala.

Wtenczas zabrał głos xiądz opat — Jeśli pozwolicie, mnie stłudze Bożemu, dać wam dobre rady, to ja gotowem.

— Zgoda, zgoda xiężu opacie, prosimy. Rozkazuj, my zrobiemy wszystko — wszyscy się odezwali.

— Wiecie o tem, że wysłałem moich dziadów po grodach i po siolach; oni tam dójdą gdzie nikt niedójdzie; to powiedzą czego nikt niepowie; a teraz bierzmy się do roboty, ale wszyscy razem, bo gromada to wielki człowiek. Jest naczelnik co każe bić moskali; słuchajmy go a róbmy; naprzód trzeba złożyć pieniądze na sprawę, bo to potrzebne.

— Moszczi Dobrodżeju — odezwał się Dubrawski — Xiądz opat dobrze mówi, beż grosza ani sztap; na pierwsze potrzeby ja zaraż dam dziesięć tysięcy czerwonych złotych, na wszelki przypadek ja tu z szobą je przywiózł; bo kto ma, to nie prosi; a mnie nieboszczyk ojczecz mówił: szynu jak masz czo zrobić, to żrob dzisz, a jak masz co zjeść to zostaw choćby i na jutro, nicz niezaskodzi.

— Na pierwszy raz jest za co zaczepić ręce, ale na tem nie koniec; trzeba żeby wszyscy dali. Waćpanowie rozeszljcie

żony, córki, siostry, matki; niech z karbonką pomiędzy bra-
cją szlachtą jeżdżą; one i grosza uzbierają, i niejednego namó-
wią żeby do broni stanął. Na przejażdżki kobiet, moskał nie-
bardzo będzie baczył, a kobiety potrafią i w mężczyźniach za-
pał wzbudzić do ojczyściej sprawy, i inne kobiety przekabacą na
swoje, jeśli nie przez serdeczne przekonanie, to przez chęć
nie dania wyprzedzić siebie; ale z drobnymi szlachciankami
niech nie gadają z waszecia tylko jak równa z równą; tak
trzeba.

— Tak, tak. O dobrze, dobrze.

— Waćpanowie i cała szlachta, chłopów hołubcie do sie-
bie; mówcie im żeśmy wszyscy bracia polacy, i tak czyńcie
z nimi jak z braćmi. Xięży czy to unitów czy błahoczesty-
wych zapraszajcie na obiadki; datkami, grzecznościami jednaj-
cie i powiadajcie: jak z Polski wrogów wypędzimy, a osa-
dzimy na tronie naszym Króla, dla wszystkich będzie jedno
i toż samo dobro; wszystkim będzie wymierzona jedna i też-
sama sprawiedliwość; każdy zyska, nikt niestraci.

— Zapewnie, zapewnie.

— Po domach macie koni podostatek, w lesie jest osiczyna
na spisy; kowale nyszkciem nakuć grotty uśpieją; i szlachta i
chłopi mają rusznice. Nas samėj szlachty Owruckiej jest
przeszło dwadzieścia tysięcy; jak w dzwony uderzą, na koń, do
broni, na moskała.

— Na moskała, na moskała — zawołała szlachta i z miejsc
się porwała.

— Poczekajcie Waćpanowie, nie na tem koniec ; wziąwszy się do roboty, trzeba niezartować.

— Moszci Dobrodzieju, o nie żartować, moszkała bicz, klucz jak szwinie, we sznie żarzynać, trucz, wszelkiój zdrady używać, bo to szelma moszkał zdrajca najechał nasz kraj, trzeba go wytępić ; niech czo chcę szobie mówię, a ja zawsze powiadam : jak szwiat szwiatem, polak ani niemczowi, ani moszkałowi nie będzie bratem.

Stanisław Trzeciak pokręcił wąsa. — Ale jak przyjdzie do rzeczy, a który łyk niezechce na koń wsiadać bo to są i tacy ; między pszenicą bywa i kąkol ?

— Moszci Dobrodzieju, dobrze Waszmoszc mówisz, między pszenicą bywa i kąkol ; ale pszenicza i na pniu sze pele, i w ziarnie młynkuje ; jak który niechce powsztawacz z nami, to go żaraż poweszycz bez sządu i milosierdzia, a jak jeden będzie dyndał, to drugiemu nezechce się takiego tańcza. Jak który żechce na dwóch sztołkach szedzicz, albo tym szelmoszkim obyczajem gadacz ; jeszcze ne czas, ja chce Polski taki albo taki, i będę czekał nim żobacze ; takiego to gałgana odeszlijcze do mnie, a ja szędzia Grodźki oszadze, każe wyszpowiadacz i łeb szczyać.

— Na to zgoda — tłumnie zawołali — Panie Sędzio, w Waszmość Pana rękę i prawo i miecz.

— Że zrobię to zrobię, jakem Dubrasski, ne nemech, ne moszkał i ne żyd, ale polak ; a teraz Xięże opacze, mów czo dalej robycz.

— Porozumieć się z Żytomierzanami i dalej ; powysyłać do

Mozyrza, do Rzeczycy, do Kijowa nawet, ludzi zacnych, żeby do ogólnego powstania zachęcili. Metropolita Radomyślski wyda stosowne rozkazy do duchowieństwa, tylko trzeba żebyś Waćpan Panie Strażniku pojechał do niego w poselstwie od nas, a stamtąd po naradzeniu się, wysłać do Jenerała Prozora prosząc, aby przyjął naczelnictwo nad nami.

— A gdzież jest Jenerał Prozor?

— W Warszawie.

— Daleka i niebezpieczna droga do niego.

-- Chcącemu nic trudnego; z resztą, nie tylko zaproszenie do Jenerała Prozora, ale doniesienia o tem wszystkiém co myślemy zrobić, trzeba zawieść do Pana Kościuszki.

— Jak Moskale złapią, to bezzawodnie łeb utną takiemu posłańcowi — odezwał się Pan Strażnik,

— Moszci Dobrodżeju, żeby ne sztaroszc jabyim żaraz pojechał, bo to prawda: że raz maty rodyla, raz hynuty; jak raz łeb zetną, to drugi raz tego neżrobią; i tak, jak nikomu niebędzie wola...

Marceli Wiczfiński który przez cały czas rozmowy milczał i dumał, zerwał się nagle z miejsca — Ja pojedę — I w oczach i na twarzy błysnęła mu silna wola.

— Niech że czecie uszczyszkan Moszci Dobrodżeju; to mi żłoto ne chłopez, takich mi dawaj węcziej — i uściskał go.

Strażnik nic niepowiedział, tylko wziął rękę Marceliego i tak ją ścisnął; a Marceli po tem uściśnięciu, tak wypiękniął, tak rozzdrowiał, że aż miło patrzeć na niego.

Potem naradzano się, że część szlachty młodziej wiekiem pój-

dziedz Kopciem i Tyzenhauzem za Słucz, zwiększać wojsko narodowe, a reszta będzie prowadziła miejscową wojnę na urwisz.

Pan Dubrawski — Ja ne wojszkowy, ale wiem że tak będzie dobrze; my tu na miejszczu z wioszek powynoszmy się het w puszcze, w bagna; tam nasze dobytki żapędzmy; zboża pożawożmy; a jak trzeba to wioszki i miaszta popalmy; niech moszkal szelma niema gdzie sze szchować, czo jeszcz, a my bijmy i kólmy; z nienaczka napadać, i potem szchować się żeby znouwu tąż szamą sztuczkę żrobicz; wodę żatrujmy i chleb żatrujmy, nech jedzą szelmy, piją i mrą; niezawadzi żeby ten czo może z półkopy moszkali żatruć i szam się z nemi żatruć, to ofiara dla Ojczyzny, a to żrobi i kobieta i dziecko; wszyszczy szluzmy i bijmy wszędzie i zawsze. Szelmów szpiegowacz jak można i jak kto umie, i o wszyskiem szwoim donoszyć; jak się młodzież trochę żaprawi na moszkalach, to pomalutku ją kupkami wysyłać do narodowego wojszka: nechaj oni przebiegają kraj polszki z kończa w konecz i tłuką Niemcza i Moskala, w tenczasz, kiedy my to szamo będziemy robili u siebie; a dałibógże pobijemy wszyszczkich a wszyszczkich wrogów; bo to jak naród czały czo żechcze to wszysztko żrobi; i Pan Bóg mu dopomoze; a jak będzie się szpuszczał na czudłą pomocz, albo gadał i krzycział a nicz nerobił; to go djabli wezmą; tak zawsze durniom bywało i będzie; po wieki wieków, Amen.

Potem pisano listy, doniesienia, wyprawiano gońców, a potem nastąpiła wieczerza i staropolska pohulanka, ale wmiarę, bo się wszyszcy podchmielili a nikt się niezapił; każdy się wynętrzał ze swojej serdecznosci ku ojczyźnie i ofiarami sza-

fował. Xiądz opat, przyrzeczenia uświęcał słowami pochwały, a Pan Dubrawski z nich akt spisywał; ale w czas, bo to była nagroda po pracy.

Pannie Strażnikównie lubo było oglądać milego, a tem bardziej, że Strażnik widząc ich rozmawiających z sobą na stro- nie, brwi ni razu nienamarszczył, owszem uśmiechał się i sam pierwszy wniósł zdrowie Pana Wiczfińskiego. Kochankowie po długich troskach zaczęli oddychać tem pół szczęściem do którego się mieszała niepewność: czy to sen, czy to marzenie, czy też cud jaki co oni widzą na swoje oczy, co oni słyszą na swoje uszy?

W tem, ni stąd, ni z owąd, Pan Strażnik zagaił—Panowie bracia, mam do was małą prozbę.

— Co każesz Panie Strażniku?

— Oto dzisiejszy uroczysty dzień chciałbym zakończyć aktem, który przyniesie szczęście mojej rodzinie; chcę was pro- sić abyście byli świadkami zaręczyn mojej córki — zatrzymał się trochę, kochankowie spojrzeli na siebie, serca im mocniej w łonach bić zaczęły, i w piersiach zatrzymał się oddech; on domówił—z Panem Marcelim Wiczfińskim. Oboje nie słuchając reszty, do nóg się rzucili Strażnikowi, on ich zatrzymał i oboje pocałował w czoło. — Bądźcie szczęśliwi; kto się dla ojczyzny poświęca, temu ojczyzna przez ręce polaka daje nagrodę.

Przed północą były zaręczyny; a szlachta piła i powtarza- ła.— To i po polsku i po szlachecku; pobijmy tylko moskalów i niemców, a wszyscy na polskiej ziemi będziemy równi i warci jeden drugiego.

IV.

Nazajutrz dzień Pan Strażnik z Panem Wiczfińskim pojechali do Radomyśla ; xiądz opat wręczył Marcelemu srebrny obraz matki dziewicy. — To oddaj naczelnikowi Panu Kościuszcze , tam wszystko znajdzie ; niech ciebie Pan Bóg błogosławi.

Pożegnanie kochanków było lube i smutne zarazem ; w oczach łzy , na licach pół uśmiechu ; do dusz upojonych roskoszą lała się obawa , do kochających serc wciskał się smutek . Nie mówili sobie : pamiętaj o mnie , powracaj ; tylko oboje razem wyrzekli : zobaczymy się , zobaczymy się prędko , niebawem . Niepotrzebowali sobie powtarzać , że się będą kochać zawsze , że się nigdy niezapomną ; oni tylko obyczajem kochających a kochanych , na pożegnanie rzucili słowa nadziei i tę pewność , że ona tak się prędko ziści jak ich serca , jak ich dusze chcą .

Metropolita ich przyjął jak dzieci kościoła jedyne go , jak wśród braci polaków ; Strażnik pojechał do sąsiednich obywateli ; a Wiczfiński pozostał i jutro miał ruszyć w swoją drogę .

Dziwny to skład w człowieku , kiedy ciało i dusza boleją razem w parze . Człowiek wlecze życie i niknie pomalutku , zwolna , jakby tak porządek Boży nakazał ; ale kiedy po długim takim życiu , nagle i niespodzianie skołatany duch zacznie się szczęście roskoszy , albo smutek rozpaczy ! o wtenczas , i jeden i drugi napój trucizną dla ciała ; zda się że duch pjany

kruszy swoje więzy i z nich się wymyka do rodzinnej siedziby w świat nieziemski.

Zbytek szczęścia zwarzył już stérane zdrowie Wiczfińskiego, zapadł chorobą, na twarzy rumieniec jakby wypieczony, oko lśkni błyskotem, usta pobladły, niemoc owładła całe ciało; zda się że duch życia już, już z niego ucieka. Metropolitański doktor Szelemer, puls palcami szukał, i język rozpatrywał, wypytywał o wiele rzeczy, pocieszał nawet nadzieją zdrowia, a w myśli wyraźnie sobie samemu powiedział: niema ratunku, krew bije do serca.

Wiczfiński poznał myśl doktora; z ticha wymówił— spowiednika, spowiednika, ja nmieram.

Po chwili przyszedł spowiednik; był to xiądz młody, bładny i smutny twarzą, ponury okiem; widać że i on chory, ale nie na chorobę ciała, tylko na chorobę duszy.

Spowiedź była długa; w oczach chorego błyszczał żal że umiera w kwiecie wieku przed samym progiem szczęścia; ale na twarzy spokój; z lekka zrzuca grzechy z sumienia, widać że muszą one być nie ciężkie i miał ich niewiele; potem czy o co błagał, czy co opowiadał, bo zapał migotał w oczach jego, a ręce składał dłońmi jak do prozby, jak do modłów; zdjął Matkę Najświętszą z piersi, zdjął pierścień z palca i oboje oddał xiędzu.

Cóż się dzieje xiędzu? to bładnie licem i sinteje ustami jak trup, to czerwieni się jak upior; wziął obraz matki dziewicy i pierścień, nawet mówił do umierającego, rozgrzeszył, nakarmił ciałem i krwią pańską, dopełnił obrządku ostat-

niego namaszczania; ręce mu drżały i głos drżał w ustach, z pewnością żał mu patrzeć na ostatnie chwile młodzieńca; pierścień wciskał na palec, i przykładając do łona, jakby choremu niemyym znakiem przyrzekał: zrobię wszystko. Wicziński skinął głową na podziękowanie, a xiądz wychodząc, może powietrza świeżego zachwycić, jakieś niezrozumiałe słowa przemówił, i przysporzył kroku.

Kto był ten xiądz?.. Duchowném imieniem swano go xiądz Ezechjel, kilkanaście dni jak przybył z karmelitańskiego klasztoru, w którym dostał kapłańskie święcenie. Przewielebny Metropolita umieścił go przy sobie jako kapelana łacińskiego obrządku — i wielce go miłował.

Gromnica dogorywała przy łożu chorego, lekarz potrząsał głową jakby rachował wiele mu jeszcze zostaje chwil życia. Sam Metropolita przyszedł; chory do koła wzrokiem rzucał jakby kogo szukał, ustami nawet usiłował duch zatrzymać, spowiednika niebyło. Słabym głosem wymówił — Boże miej je w swojej opiece — westchnął i skonał. W skonaniu myślał o Ojczyźnie, o kochance; on je zarówno kochał, i jednej od drugiej nieoddzielał; ostatniem słowem życia u Boga modlił o opiekę dla nich.

Kiedy śpiewano pośmiertne hymny przy umarłym, na dziedzińcu metropolitańskiego zamku inna rzecz się działa. Od niejakiego czasu Caryca moskiewska nakazała mieć pilne oko na postępowanie Metropolity. Zaufanie swoje położyła w polaku, w Złotnickim; on przemieszkował w Radomyślu, a miał na swoje rozkazy majora Burdakowa, z pułkiem moskiewskich

dragonów. Przyjazd Strażnika Oskierki obudził całą czujność Złotnickiego; ciągle swoich zbirów wysyłał na zwiady do metropolitańskiego zamku, a tą razą szedł z Burdakowem w nieproszono odwiedziny do Metropolity.

W samej bramie zdybali xiędza Ezechjela; xiędz jakby obłąkany, całował pierścień na swoim palcu, a w drugim ręku niósł obraz Matki dziewicy i w głos mówił — ona... ona go kochała... ja zrobię tam... tam śmierć moskalom — i potrząsał obrazem.

Burdaków po moskiewsku załajał i w pół złapał xiędza; xiędz swoje wygadywał — puść mnie puść !.. ja przyrzekłem, ona tak chce i śmierć moskalom... — a w oczach i na twarzy widać obłąkanie.

Już ludzie zaczęli się zbiegać, kiedy Złotnicki kazał Burdakowowi puścić xiędza i sam go wziął pod rękę. Nieposzli do Metropolity, ale wracali do miasta. Xiędz szedł jak dziecko przy piastunce, tylko mówił — śmierć moskalom! chodźmy — i Złotnicki powtarzał — chodźmy — zdradliwie ale radośnie się uśmiechał, jedną ręką xiędza do siebie cisnął, a drugą czoło sobie pocierał; a Burdaków szedł z tyłu i w ojca i w matkę po moskiewsku fajał.

V.

Guślarze, lirnicy, i dziady z torbami, chodzą po gradach po siólach, od chaty do chaty; szepezą w ucho ludowi Bożemu,

brzęczą w liry, w teorbany, pieją kozackie pieśni, złote dumki opowiadają, o jałmużnę proszą, a wszystko to dla Polski, przeciw moskwie, przeciw niemcom, jak xiądz opat kazał.

Czopowscy, Bechowie, Meleniewscy, Kościuszkowie, Chodakowscy, Waskowscy i Baranowscy z Hoszowa rusznice ryczą, siekają z ołowiu rubańce na moskala. Rabsztyńscy, Szwabowie, Dytkowscy, Zielenieccy, Korkuszkowie, Kobylińscy, Korczewscy, Oszczapowscy, Lewkowscy i cała mnoga szlachta Owrucka, oszczepy stali, noże ostrzy na Moskala. Trzeciaki, Niemirzyczne, Pauszowie i atamańskie rody Wyhowskich i Daszkiewiczów konie ujeżdżają, przyrządzają spisy, żeby po swojemu, po kozacku zawieść taniec, zahulać z Moskałem. Wszyscy na wylocie, w łonach serca im skaczą do boju, ręce gotowe do broni; od świtu do wieczora uszy tęją czy dzwony nie zającą, a w nocy śnią i marzą o wojnie.

W Zaruczajskim monasterze xięży Bazyljanów odpust, mnóstwo szlachty przydążyło na nabożeństwo—jeszcze niewiedziano o śmierci Wiczfińskiego. Hukiem moskiewskiego żołdactwa nawaliło się do Owrucza, to bynajmniej nikogo niedziwi.

Strażnik jeszcze niewrócił, Strażnikowa z córką, Sędzia Dubrawski i wielu z tych co zawiązali rzecz w Barbarówce, byli w gościnie u Xiędza Opata. Już było po obiedzie, kiedy nagle i niespodzianie Moskale otoczyli monaster i wpadli do niego; na ich czele zdrajca Złotnicki, a obok niego dziki Burdakow, za nimi dragoni moskiewscy, a s tyłu jeden z nich prowadził na sznurku Xiędza Ezechjela. On obłąkany zdaje się że nikogo niewidzi, nikogo niepoznaje; to gorzko płacze, to dziwnie chy-

chocze; pierścień całował i wołał — oddajcie, ja przyrzekłem umierającemu... ja muszę oddać... oddajcie... — i rękę wyciągał, a bezlitośny dragon go szarpał i kutakiem mu usta zamykał.

Nim szlachta mogła rozpatrzeć się co to jest, Burdakow wrzasnął — Bery, wiąży maszenników, sukiny-synó — i z podniesionemi pięściami rzucił się na szlachtę, a Moskale za nim. Szlachta się broni, chce uciekać, niema rady; zbestwie- ni Moskale porwali ją w uściski, wałą na ziemię, pięściami tłuką, nogami kopią, lżą i włóczą po podłodze, bez względu na szaty kapłańskie, na wiek. Szlachta woła — za co, za co? — Złotnicki z uśmiechem wyjął obraz Matki Dziewicy, otworzył go i pokazał papiery pisane w Barbarowie — Najmiłościwsza Cesarzowa nasza Pani, panom podziękuje.

Szlachta już powiązana, zawołała — zdrada... zdrada... — Strażnikówna poznała obraz Matki Dziewicy, krzyknęła — Marceli — i załamała ręce.

Kilka głosów zawołało — Wiczfiński nas zdradził.

— On umarł — rzekł Złotnicki — od tego wiemy — i wska- zał ręką na Xiedza Ezechjela.

— Umarł — powtórzyła stroskana dziewczęta i rzuciła się w objęcia matki.

Wtenczas dopiero spojrzano na Xiedza Ezechjela i poznali go — Kulikowski — to był on; poświęcił się służbie Bożej ale niezapomniał o ziemskiej miłości, bo kochał; wpadł w o- błąkanie nie z zazdrości; bo szczęśliwy kochanek umierał, a on ślubował na wieki wieków zakonowi; ale dowiedział się że

ona go nigdy niekochala, a on tak kochał; zblakal mu sie umysl, oblakaniem zdradzil tajemnice, zgubil swoich a o tem nic niewiedzial.

Powiazana szlachte wyciagano z komnaty; Straznikowa zawolala — A moj maz? — Zlotnicki wskazal reką w okno, a ona ujrzala na kibitce meza okutego w lancuchy. Córka plakala i tulila sie do łona matki, matka chciala isc meza przy najmniej pozegnac. Moskale niepuszczali, a Zlotnicki stal i patrzal, zdawal sie cieszye temi łzami, tą rozpaczą niewiast.

Moskale migiem kuli wiedzniow w lancuchy i sadzili na kibitki. Dubrawski i w kajdanach sie sierdzil — Szelmy, huncwoty czo szie przewlecze to nie ucziecie; nie my, to nasi szynowie albo wnukowie wasz i zdrajcow, na zgnile jablko wymorduja, na naszenie niezostawia — a Moskale starca w kark, w policzki tlukli, w oczy mu plwali.

Xiadz Opat wzniost w gore rece okute zelazem — Boze nieopuszczaj Polski — Sam Burdakow przyskoczył ale niesmiatł go tknac, tylko krzyknal — Stupaj — Zategnialy kopyta konskie, zaburkotaly kola, pocztowe dzwonki zabrzczaly, ale niezajeczaly dzwony kościelne, tylko lud powtarzal modlitwe xiędza Opata — Boze nieopuszczaj Polski — i jakis rozglas cudowny nie ziemski, powtorzyl w powietrzu — Bóg Polski nie opuści.

Zabrano jedenastu naczelnikow Owruckich, i wywieziono het na Sybir. Pan Kopec z choragwiami kawalerji narodowej mimo cmy zoldactwa moskiewskiego, przernal sie za Stucz i poszedl laczyc sie z Kosciuszka. Moskwa dzika po swojemu

nękała Owruczanów. Lirnicy teorbany i liry pozawieszali na ścianach jaskiń kozaczej góry, a piosnek w pamięci uczą się i uczą. Guślarze dzieciom złote dumki opowiadają; u dziadów zostały torby i kije; kościelne dzwony gotowe zajęczyć. Owruczanie pod dęby pod sosny pochowali bronie, konie wypasują po łąkach i w stajniach, i wszyscy ciągle powtarzają to myślą to słowami — **Przyjdzie czas, przyjdzie czas.**



STARO-KIJOWIANIE 1809.

Niegdyś przed laty, za dawnych polskich czasów, województwo kijowskie składało się tylko z trzech powiatów : Kijowskiego, Owruckiego i Żytomirskiego. Od Słuczy i Sławecznej po Humańskie stepy, od sinago Dniepru po Braclawskie i Wołyńskie granice, wszyscy się zwali Kijowianami. Pano wie obywatele nosili się w kontuszach turkusowej barwy, z czarnemi wyłogami, ze złotými guzami, w białych żupanach; w takim stroju jeździli na sejmy, na służbę Ojczyzny, i do kościołów na służbę Bożą, bo na koniu wolno było wsiąść w przyborze jaki komu się podobał. Caryca Moskwy po zagrabieniu Polski, wszystkie Województwa ochrzciła zwaniami Gubernij, Kijowskie Województwo pokiereśzowała na części, a trzy potężne powiaty rozdrobiła na mnogie powiaciki. Jednak mimo ukazów tej carycy, i jej syna Pawła i jej wnuka Alexandra, Żytomirzanie i Rzeczyczanie tak dobrze siebie zwali Starokijowianami jak Czehryniec, albo obywatel Skwiry i

Machnówki. Co wróg zabierca Polski zrobił, tego Polak nie-
uznaje; na pozor znosi bo musi, a zawsze swoją dumkę uci.

Niegdyś przed laty, takoz za dawnych Polskich czasów, jak
to o tém świadczą traktaty Zborowski i Białocerkiewski, i u-
mowa Hadziacka, z Kijowskiego i Braclawskiego występowały
mnogie pułki kozacze, ku obronie i ku służbie Polski; stam-
tąd młodź kozacza, rażno i ochoczo biegła na Zaporozie har-
cować z Bisurmanem, gromić Suzdala za matkę Polskę. Za
sprawą moskiewskiej carycy, Zaporozce jedni ponieśli swoją
bezpieczeństwo za Dunaj i pobratali się z Bisurmanem, bo lepszym
widzieli sojusz z niechrzconą duszą, jak knut i niewolę mo-
skiewską; drugich jak psiarnię jaką, pognano nad Kubań rze-
kę, gonić po krzakach Czerkiesa jak zajaca. W Kijowskiem i
w Braclawkiem ukazami zakazano kozaczego życia, ale z mie-
szkańców niewygnano ducha: i chłopci i szlachta tęsknią za
polskimi czasami, każdej chwili gotowi chwycić za broń,
wskoczyć na koń, i zahulać po swojemu, jak to kiedyś bywało
za Królów Polskich.

I.

W Weprynie nad Teterowem, mieszkał Michał Gałęcki,
szlachcic bardzo zamożny, a nie dumny; przed żadnym czło-
wiekiem, choćby jakim malutkim szlachetką, nosa do góry
niezadierał, i żadnemu szlachcicowi byle nie przechrzcie
uścisku braterskiego nieodmawiał. Pieniądze u niego nietylko

w zasiekach, ale nawet w kantorku niepleśniały. Co rok jedną wioskę sprzedał, albo w zastawę puścił, żeby miał czem szumieć, i braci szlachtę częstować; jedném słowem wedle staropolskiej gadki, czapką i papką jednał sobie miłość w obywatelstwie. Choć młody wiekiem i tylko sędzia Żyto-mirski, ściągtał do swojego domu w gościnę najpoważniejszych i najzasłużeńszych ludzi z całej okolicy; do tego miał żonkę z domu Pannę Orłowską, między najśliczniejszymi najśliczniejszą, między najweselszemi najweselszą. Przy niej zawsze prawie bawiły, Panna Józefa Gałęcka mężowska kuzynka, Panna Felicja Trzeciakówna i Julja Pongowska, nie tylko nieszpętne, ale całą gębą urodziwe dziewczęta. Młodzież zlatywała się do Wepryna jak ptaki na przynętę, bo też to rołodzieńca kozaczęj krwi, djabli wiedzą gdzie zaprowadzić można krasiwem liczką, błyszczącym oczkiem i szykowną kibicią. Zgola, że w Weprynie u państwa Gałęckich, bywało hukiem ludzi rozmaitych znaczeniem i rozmaitych wiekiem, i to nie w święta, nie w dnie uroczyste, ale co dzień tak dobrze w poniedziałek jak i w piątek. W domu jedzą, piją i bawią się, nigdy tam niebyło ani niesytu, ani nudów; na dziedzińcu i w stajni służby koni i powozów jak na zarwańskiej ulicy; koni do karczmy na płatny obrok i gościnnych stąg na żydowski wikt nie odsyłano. Słowem jak to mówią ludzie: państwo Sędzicostwo trzymali dom otwarty. Ale przy tych zabawach światowych niezapominano tam o sprawie Ojczyzny. W Weprynie odbywały się pogadanki i narady tajemne o biednej matce Polsce. Pan Sędzic za pieniądze przez różne drogi do-

stawał gazety, pisma i listy z zagranicy. Gdzie kto złapał jaką nowinkę o Polsce, albo o Polakach, to zaraz wioził do Wepryna. Jeśli jaki legjonista potajkiem przywędrował w Kijowskie, zaraz był u Państwa Sędzicostwa, przystrojony i oczepuszony niby kuzyn Jegomości albo Jejomości; niby gdzieś tam od Dniestru, albo od Buga przyjechał w odwiedzin. Zaraz ni z tąd ni z owąd zjawiały się łosie, niedźwiedź, wilcy, a przynajmniej niesłychane hurmy sarn w Wepryńskich puszczech: duchem kozacy dworscy lecieli na wsze strony z listami zapraszać na polowanie; szlachta się zjeżdżała i polowała, a legjonista opowiadał o Napoleonie, o Dombrowskim, o Książewiczu, o Małachowskim, o Chłopickim, i o wszystkich tych rycerzach co po zagranicami roznosili sławę polskiego oręża; o tych przygodach, co łączyły polskie oko, a chlubą panoszyły polskie serca. Zawsze rzucił ziarno pociechy i nadziei tém słowem: nasi wrócą! a szlachta korowodem odpowiadała: my powstaniemy, i będzie Polska!

W Weprynie, pod pozorem tych polowań, szlachta i dworscy ludzie a nawet i sielscy chłopcy apesobili się do koni i do strzelby. Pan Sędzic Kapitanom Isprawnikom, Zasiadatelom i wszystkim czynownikom smarował łapy sinemi, krańnemi, a czasem i białemi bomażkami, a oni, za to na wszystko przez szpary patrzali, a między sobą gawędzili: kto smaruje to i jedzie; i Panu Sędzicowi donosili o wszystkich rozporządzeniach i ukazach rządu, nim one porodziły się jeszcze. Było postanowionę w Weprynie, że za każdą wiadomość a dobrą albo przestrzeżenie, czy błahoczystywiec, dostą-

wał, korzec zboża, spust wódki, albo i więcej, w miarę wartości towaru jaki dostarczył pańskiej ciekawości. Kiedy szło o dowiedzenie się jakiej ważnej rzeczy, albo o odwrócenie grożącej burzy, Pan Sędzic jechał do Kijowa albo do Żytomierza, sprawił suty objad, założył bank w faraona, niedostrzegał jak Pan Gubernator przegrawszy giął parol na wygranę, jak Pan Wicegubernator po frycowsku filował poniterkami a panowie Sowietnicy beczelnie stawiali na ślepo karty, wołali : *ja wygrał* — i capili pieniądze ; a jeśli który musiał się przyznać do przegranej, to rzekł : *za mnoju*, niezapłacił, a później brał wygrane pieniądze bez odtrącania. Oprócz tego, Sędzic przez faktora, ma się rozumieć Starozakonnego, posłał rebochem uczciwe tym panom, w podarku ich żonkom jakieś koczkodany na głowę albo inne niewieście dziwolągi, nawet o zabawkach dziecinnych i o cukierkach niezapomniał, i wszystko zrobił co chciał.

Czasami też adjutant jeneralski, albo i sam moskiewski Jenerał, chcąc *poszczegolic* jak mówią moskale, a po naszymu pofircykować, czyli udawać dudka, wygadał jak na spowiedzi wszystko co wiedział, a potem widząc zubożenie twarzy Pani Sędzicowej i panien, a niekiedy przyśmiechanie się szydercze, poszedł w kąć, po moskiewsku załajał siebie, i wynioskował : że on głupi, powinien był potargować się przynajmniej; wrócił i toż samo zrobił, co robił; bo czegoż niedokáže grzeczne słówko pięknej kobiety, przymilone spójrzeniem oka i nieśmiałym pół-uśmiechem? Jeden z sąsiadów Pana Sędzica, stary bywalec powiadał : kobietom naszym zastawiać

łapki na Moskale wolno, ale samym wnie wpadać i niewolno i byłoby brzydko.

Tacy byli Państwo Sędzicostwo i tak robili. Ludzie zawiśni co mniemają, że potępiając drugich siebie wynoszą, klewotali: Pan Sędzic marnotrawca, niezadługo pójdzie z torbami albo osiądzie na bruku. Pani Sędzicowa zalotna; żartem żartem, można przyjść do prawdy, a Bóg to święty wie co się będzie działo z mężowską głową, albo może już się dzieje. — Ludzie poczciwego sumienia i polskiego serca, co niezajrzą dobrego mienia drugim bo sami je mają, powiadali: Państwo Sędzicostwo zacni ludzie; wyśmienite i polskie serca u nich a i jedni i drudzy zjeżdżali się w gościnę do Wepryna.

II.

Nadszedł miesiąc kwiecień tysiąc ośmset dziewiątego roku. Napoleon po swojemu zaczął ćwiczyć Austrjaków, a Austrjacy po swojemu zmykali, i jeszcze się chwalili przed ludźmi takim rozumowaniem: Moskał to zwyczajnie świnia: bij go, a on albo stoi, albo lezie w ogień. My Austrjacy, kajzerscy żołnierze, mamy w głowie rozum, staniemy na pozycji i czekamy jak nieprzyjaciel idzie, a kiedy on idzie, to my uciekamy, żeby znowu tam gdzieś zająć lepszą pozycję, a kiedy niema rady uciec i on wpadnie na nas, to my broń rzucamy. Niech się kpy biją, a my nie kpy. — Xiążę Józef Poniatowski, z Dombrowskim, z Sokolnickim, na czele laskich pułków, począł

uganiać Austriaka po staro-polskiej ziemi, i już wstąpiła otucha w dusze polaków, że Xięstwo Warszawskie stworzone przez wojownika wieku, niebawem przeobrazi się w Królestwo Polskie, i plemie Jagiellońskie zasiądzie na Polskim tronie: a na pośmiewisko ludziom Car Moskiewski ogłosił się druhem i sprzymierzeńcem Francuskiego Cesarza.

I do Wepryna musiały przylecieć jakieś ważne wieści, bo Pan Sędzic naspraszal mnóstwo gości, choć to niebył czas tłumnych polowań na zwierza, wedle statutów myśliwskich; jednak Pan Sędzic wynalazł słómki, przeciągające Wepryńskimi smugami; ktoby chciał się przekonać o prawdzie, wolno mu było pójść przed świtem i po zachodzie słońca w Wepryńskie lasy. Mało który z gości żywił w sercu niewiarę; wierzono na słowo gospodarza, bawiono się w domu, a pohereźnicy znosili wiązkami słómki, ale już postrzelane.

Było już kilkanaście osób w Weprynie: Panowie Olizarowie, Głęboccy, Trypolscy, Pięnkowscy, Woronicz, Zaleski, Trzeciacy, i Józef Szlemer czech rodem, sławny lekarz przy byłym metropolicie Kijowskim, osiadły w Polsce i spolszczony, a zwany powszechnie konsyljarzem, kiedy przyjechał Pan Adam Wąsowicz Szambelan Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta, z córką Kordulą, młodziutką ale ładniutką panią, czwórka siwoszów zaprzężonych w poręcz, a przybranych w staropolskie pólzorki; za nim niebawem nadjechali młodzi pułkownikowicze Czaykowscy Prot i Symforjan, a tuż za nimi synowie Szambelana Józef i Stanisław Wąsowiczowie.

Sędzic polskim obyczajem wybiegł na ganek przeciw gościom, a jedna z panienek, Panna Julja Pongowska, żywym rumieńcem pokraśniała, tak jak gdyby szczerą krwią pofarbowano się mleczne lice; czarne oczki niby spuściła ku posadzce, a jednak z pod mszystej rzęsy z ukradka poglądała ku drzwiom.

Wszedł Pan Szambelan, a za nim i inni goście. Pan Szambelan mąż wiele szacowany w całej okolicy za swoje cnoty domowe i publiczne; często lubił sobie pożartować, ale to w takich rzeczach które niczyjjej sławie ani osobie żadnego szwanku nieprzynosiły; lubił gawędzić, a wszyscy lubili go słuchać, i teraz ledwie zakończono powitania, obrócił się do gospodarza domu.

— Wiesz Waćpan Dobrodziej że też to mnie dziwne rzeczy napotykają. Ledwie wyjechał ze Stawek, aż tu w brzezynie, bestja chłop furą siana zastawił mi drogę w poprzek. Mój Jakób krzyczy: z drogi, z drogi a tu ani weź, dyszlem palnął w brzozę, i naszyjniki popekęły. Ja wołam: Jakóbie ruszaj! Kordulka oczy zamknęła, Jakób świsnął batem po koniach, a moje siwosze jak orlęta sunęły, w duch z koczem przesadziły przez furę siana i pojechaliśmy dalej.

Wszyscy spojrzeli po sobie na znak niby niedowierzania Felician Głębocki poglądził się po łysinie.

— Ależ Panie Szambelanie Dobrodzieju to musiało być mimo fury z sianem?

— Co Waćpan gadasz? przez sam wierzch, a fura była z czubem, najmniej piąta część sąznia w sobie mieści; ale bo to widzicie Waćpaństwo Dobrodziejstwo, moje siwosze były

założone w poręcz nie wzdłuż, a to konie jak ptaki. Dobrze to mówią ludzie: kto nie miał siwego nie miał dobrego — a mój Jakób wszyscy wiedzą co to za chwast. Z resztą, niech powiedzą Panowie Czaykowscy, oni zemną tuż tuż jechali, musieli widzieć.

Symforjan był zajęty rozmową z Panną Julją, ale Prot odstąpił naprzód.

— Niewidziałem wprawdzie jak powóz Pana Szambelana przesadzał furę z sianem, bo w tém miejscu droga się zakrecała, ale na sianie widziałem wyraźnie dwie koleje i ślady kutyh kół.

Ani zająknął się, ani się zarumienił. Sam Szambelan dziwnie mu popatrzył w oczy, obrócił się do Głębockiego i powiedział niby półgębkiem, ale tak że wielu słyszało.

— Młody, ale co łże to łże. Któż to widział na sianie ślady kutyh kół? no niepowstydziliby...

Któs z cicha mruknął — I Pana kochanka Radziwiłła — a Głębocki szepnął na ucho Szambelanowi.

— Trzeba Pannę Kordulę wydać za Pana Prota.

Szambelan się uśmiechnął, bo wcale niebył obrażliwym — O tém pomysłę, masz Waćpan prawdę, szkoda by było żeby taki ród zaginął.

W tém nadjechał Tadeusz Teleżyński Prezes sądu głównego Wołyńskiego, i Wojciech Pruszyński, obadwa Owruczanie. Teleżyński miał twarz pogodną i poważną postawę; w oczach zaś Pruszyńskiego igrał spryt djabelski, ciągle się uśmiechał i zacierał ręce. Zaraz zaczęto mowę o sprawach Ojczyzny, Pre-

zes pokręcił węża, był całkiem po polsku przybrany w konfuzju i w żupanie.

— Mości panowie bracia, Owruczanie choćby dziś gotowi wziąć się do broni, i wsiąść na koń; ale to sęć co tu zrobić? Cesarz Alexander sprzymierzony z Cesarzem Napoleonem; moskiewskie wojska pod dowództwem Suwarowa idą w pomoc Xięciu Józefowi Poniałowskiemu. Jak my tu powstaniemy przeciw moskałom, żebyśmy czasem jakiego licha nienarobili; niezagniewali na siebie naszego opiekuna Cesarza Francuzów, i sami w jakąś kabałę się niewplątali. Siedzieć zaś w domu kiedy nasi bracia Wielko-polscy i Czerwonoruscy się biją, da-libógże nieładnie, i nam będzie wstyd, i Ojczyźnie z tego żaden pożytek nieprzyjdzie.

Szambelan chrząknął — Ja powiadam Waćpanom, że na niczyją łaskę się niepuszczajmy, na niczyje względy niebaczymy, pieczmy naszą pieczęć choćby przy cudzym ogniu kiedy jest. Co tam zważać na gniewy Cesarza Francuzów, albo jakiego tam djabła? powstawać i bić razem i moskała i niemca, bo inaczej zobaczycie Waćpanowie; oni się pogodzą a nas z niczem odprawią.

— Ależ ściągniemy na Polskę nowego nieprzyjaciela? — odezwał się Podkomorzy Karol Trzeciak, człowiek spokojny i przezorny zwany powszechnie dyplomata — Moja rada siedzieć spokojnie i czekać co okoliczności dla nas wywiążą; przy traktatach o nas niezapomną.

— Co Waćpan gadasz, siedzieć spokojnie! To dobrze babom przy kądzieli, pedogrzystom na krześle, ale nie nam po-

łakom, kiedy idzie o Ojczyznę. — Szambelan był w wielkim za-
pale, i dopiero po wymówieniu się o babach pomiarkował się
że to było w obec kobiet powiedzianem i pocałował w piękną
rączkę gospodynię domu — Na szczęście niemasz tu żadnej
baby tylko młode i piękne panie — Pani Sedzicowa uśmiechem
podziękowała, a Szambelan dalej rzecz prowadził : — Alboż
to moskał nasz przyjaciel ? to zdrajca ! zdradza Cesarza Napo-
leona jak i nas nieraz zdradzał. Dobrze to mówią : smaruj go
miodem, on zawsze będzie cuchnął dziegciem. My jak po-
wstaniemy razem, a przeciwko wszystkim wrogom, to i może-
my wszystkich się pozbyć ; bo wierzajcie mi Waćpanowie, że
kto nie waży to nic nigdy i niema.

Podkomorzy nie miał siebie jeszcze za pobitego — Ateż wi-
dzieliśmy co się stało w Tylży? O nas niezapomniano, dosta-
liśmy Xięstwo Warszawskie.

— A żebyśmy jak gapie cicho niesiedzieli, i tu, i na Litwie,
i na Czerwonój Rusi, a wzięli się do broni, tobyśmy mieli i
Królestwo Polskie, i naszego własnego Króla do téj pory.
Wszakci i Pan Bóg powiedział : rób człowiecze a ja ci dopomo-
gę, a inaczej, to będzie : siedź grzybie, póki cię kto niezdybie.

I kobiety i młodzież spojrzeniem i słowem oświadczyły się
za Szambelanem, i Podkomorzy ze swoją dyplomacją zamilkł,
ale natomiast odezwał się Pan Peszyński.

— Ale jakże my sobie poradzimy bez broni i mając na
karku tyle wojsk moskiewskich ?

— Jak poradzimy sobie ?... Jak naród cały zechce, to ce-
pami i kociubami pobijemy moskali.

— Prawda sem mówi Pan Szambelan — podchwycił Szlemer — Ja wam sem moi panowie powiem jednu rzecz : ne zawsze to ja był doktorem, nim mnie sem przyweźli do świętobliwego neboszczyka Metropolyty, ja był negdyś huzarem, taj Węgierskim ; było to już sem nepamiętam którego hoda : naszły Turki na cału węgersku ziemi, Nemcy drapnęły a Węgrom treba było samym wojować. Otoż jednaho dnia, było nas trydziesta huzarów, aż tu z za hury pokazały się tysiącze turków, a takie straszne, co to nech ich djabeł weźme — moje sem huzary położyły uszy po sobie i chtiely utiekat ; ja im powedam poczekaĵte, tu jest nedałeczko paseka, a chodmy no tam ; i my tam poszły. Ja kryknuł : basem terem tetem, z koni panowie huzary! dalej przewracać ule ! i my sia wzięły do roboty; aż tu łećą sem turki na spenonych oherach, kindżały w zubach. Moje pszcely jak poczuły sem pot, dalej na ohery, jak się prypną a zaczną tĩać. Ohery sem fyk, myk i dawaj jak zbiszone turków nosyt po polach, zrucać o zemlę ; my sem na kone, i za nymi : szablami sekli, konmi tratowały, co my nepobyły to zbiszone ohery w ryku zanesty i potopyły i same potopyły sia ; a zhyneło tam turków i oherow z wosim tysiaczy. Jak się sem turki dowiedziały, że my sia wzięły na sposoby taj i utiekły z węgurskiej zemli.

Wszyscy w śmiech, a jeden z Marszyckich niedawno przybyły, zapytał — Panie Konsyljarzu, panowie musieliście zapewne mieć w przódy z mowę z pszczołami, kiedy nienapadły na huzarskie kone.

— To tego Wacpan Dobrodziej newysz, że nasze kone nebyły

spotnałe, a pszczyły tylko na pot łęcą. Sem ja to dawno o tem wiedział, i dla tego sem tak zrobił. Oteż jak człowiek zechce to tysiacze wrahów pobyje sem jeden.

Szambelan się uśmiechnął — Ale nie pszczołami, tylko ręką; zawsze jednak Konsyliarzu winszuję ci, doskonale ci się udało opowiedzenie.

— Jak moja żona sem kocham tak to prawda; zresztą moje pszczyły, warte pana Szambelana furu z sienem; a co?.. Cha ! cha ! cha ! — rozśmiał się Czech.

Sędzic spójrzał przez okno na drogę — Niewiadać jeszcze Stasia, a powinienby koniecznie dziś powrócić z Mizocza.

— Prawda — pokręcił węża Teleżyński — że nim co postanowimy, trzeba wprzód wiedzieć wolę Pana Jenerała Karwickiego. Przyrzekliśmy bez niego nic nierobić, a co się rzekło to się i dotrzymać powinno — I gadano dalej.

Przed samym obiadem przyjechał Staś Karwicki; wszyscy ciekawi niedawali mu nawet powitać się z kobietami, każdy go pyta : i cóż Stasiu ? — każdy chciał go brać na stronę. On odpowiadał — poczekajcie, zaraz powiem — i ledwie na chwilę mógł się od nich odprosić. Nareszcie wzięwszy na stronę kilku starszych, powiedział im — Jenerał radzi żeby część młodzieży i co można zabrać dworskich ludzi z końmi i z jaką można bronią udała się do Czerwonej Rusi ; tam już są nasze wojska, a reszta niech czeka tu i będzie w pogotowiu do powstania.

Szambelan mruknął — Marnujemy czas a może i rzecz; tylko ser odkładany dobry do pierogów a nie powstanie odkładane.

Inni, w brew polskiemu obyczajowi, w pierwszej chwili bez żadnego sejmikowania zgodzili się na wolę naczelnika; młodzież w mgnieniu oka o wszystkiem się dowiedziała i wszyscy co do jednego chcieli jechać do Czerwonej Rusi.

Dano do obiadu, a Szambelan prowadząc do stołu Gospodynię domu, jeszcze się dąsał — Jak klamka zapadnie, będzie to znowu : mądry polak po szkodzie.

III.

Przy stole wyśmienite było jadło, wyśmienite wino, a gawędka trwała o ojczystych rzeczach; bo choć to przy sługach, Pan Sędzic tak zjednał sobie ich miłość sprawiedliwem i ojcowskiem obchożeniem się, tyle rachował na ich wierność, że przy nich wszystko gadano, robiono, a nawet używano ich do niejednej roboty: to zaufanie jeszcze bardziej jednało ich przywiązanie ku Państwu, a nawet ku Polsce.

Już byli w połowie obiadu, w środku najzwyczajszej rozmowy, przy rozpoczęciu rozmaitych wiwatów, kiedy się zjawił nieproszony i niespodziewany gość, Isprawnik Owruckiego powiatu, sławny w swoim rzemiośle Mewes. Cóż robić, zrobiono mu miejsce u stołu, a Szambelan jakby dalej przedłużał zaczęta już rozmowę, w ten sposób się odezwał :

— Otoż u nieboszczki Pani Działyńskiej matki Jenerała, widziałem na swoje oczy taki kamień, że jak potrzeba nim po

ziemi hyle jakież, natychmiast tam wyrastały grzybki i to najdoskonalsze pieczarki.

— Cha ! cha ! — zaśmiał się Szlemer — Aż to Pane Szambelanie kompozycja ?

— Już to , czy kompozycja , czy prawdziwy kamień, tego nie wiem ; ale to wiem , że pieczarki jak na drożdżach wyrastały.

Mewes otwierał oczy, przecierał uszy, jakby ze snu, sam sobie niedowierzał, widno że myślał trafić na wcale inną gawędkę, a tu jak na złość jemu, zaczęto gadać o polowaniu.

— Ja sem, na żytiu moim (rzecze Szlemer) ny jednoho wróbla ne zabył — Ale kiedy każdy zaczął wyliczać swoje czyny na polowaniu, i własnymi ustami opiewać swoją sławę myśliwską, on znowu się odezwał :

— Ja wam sem powym jedna rzecz. Jak ja seni był pry Metropolyti w Radomyślu, jednaho dnia my sem wyjechały na polowanie na medweda; mne postawły pod wysokym dubem, a koło mne nedałeczko stał metropolytański kozak Szelest a z druhej strony Pan Czesnyk Dzwonkowski. Słucham, aż tu treszczy les; patre aż tu straszna bestyja, kosmata z rozdziawioną paszczą ide a ryczy. Sem kozak przyłożył się, stuk ! chybył ; a medwid na nebo, za łeb kozaka uchwyczył i pokotył go na zemlu. Czesnyk w nogi utykł. Ja dumam sobie : szkoda człowieka... prymerył sę, i myślęm sobie : zabiję medwedia albo kozaka i zdałem sia na wolu Bożu, strelił... medwid hipnął i zdechtł, a kozak zdrowy jak ryba wyskoczył z pod medwedia.

Gospodyni domu spójrzała na Konsyljarza — Wszak Pan mówiłeś żeś wróbla niezabił, to nie ładnie tak nas oszukiwać.

— Mośca Dobrodzyczko, medwid to ne wróbel.

Po chwili obrócił się do Panny Felicji Trzeciakówny — proszu zgadnąć szaradu — persze sładkie, drugo dałeko, a wszystko razem to sem co ja zabył — i śmiał się ze swojego dowcipu, ale tą razą śmiech przerwany został uwagą na grę twarzy Mewesa i Wojciecha Pruszyńskiego siedzących obok siebie. Mewes niby jadł, niby pił, a lisiem okiem poglądał na wszystkich twarze, na wszystkie strony. Pruszyński na nim trzymał wzrok utkwiony, i ile razy spotkali się z sobą, tyle razy spuszczaali oczy ku talerzom, albo wino popijali; czy rozumieli się z sobą, czy śledzili siebie na wzajem?

Po obiedzie w kącie pokoju bawiałnego Pruszyński rozmawiał coś z Mewesem. Isprawnik głową kręcił jakby niedowierzał, a Pruszyński sięgnął rękę do swojej kieszeni, i ścisnął rękę Isprawnikowi — potem Mewes zbliżył się do Sędzica.

— Niech Jaśnie Wielmożny Pan pamięta o swoim sędzie.

— Panie Kapitanie, już poleciłem aby z moich Owruckich dóbr posłano panu trzy karmne wieprze, dziesięć spustów wódki i trzydzieści korcy męltego zboża.

— Upadam do nóg Jaśnie Wielmożnego Pana, wszystko będzie *blahopotuczno*.

Odjechał Mewes, a Pruszyński zbliżywszy się do Teleżyńskiego szepnął mu do ucha — Ptaszek miał rozkaz nas śledzić, a nawet poaresztować, ale trafiła kosa na kamień; od razu zgadłem po co przyjechał.

— I cożes mu powiedział Panie Wojciechu?

— Trzy rabe bumaszki dałem ; jednak radzę żywo brać się do roboty, bo ten Mewes da nam pokój jakiś czas, a potem znowu wróci. On trzyma się przysłowia : że trzeba doić mléko u krowy do ostatniej kropelki ; dobrze on nas poddaja.

— Zapewnie, że trzeba się śpieszyć, ale co tu poczniemy z młodzieżą ; wszyscy rwą się jechać.

Szambelan był ciągle markotny z zawieszania powstania.

— Ja przeciwny jestem postanowieniu Pana Jenerała. Ponieważ zaś większość głosów, to jest wszyscy oprócz mnie, za nim, niech i tak będzie. Wyszlijmy młodzież ale tylko część, a to tym sposobem : każdy dom niech da jednego ; żeby zaś nie było sporu, popisać na kartkach imiona wszystkich, i prosić niech nasze panie wyciągną na kogo los padnie. Tak będzie i po rycersku, i po polsku.

— Zgoda ! zgoda ! — zawołano, i wzięto się do pisania imion — Pani domu wyciągnęła imiona : Felixa Trzeciaka, Celestyna Trzeciaka, Mikołaja Trzeciaka i Józefa Trypolskiego.

Panna Felicja sliczną rączką żywo rozwinęła kartki z napisami : Stanisława Wąsowicza, Xawerego Marszyckiego i dwóch Zwolińskich.

Przyszła kolój na Pannę Józefę ; z jój ręki padł los na Józefa Chuchrowskiego, Jana Fedorowicza, na Mamertego i Jana Dłuskich.

W końcu Panna Julja Pongowska, z zapałem Polki w oczach, z drzeniem dziewicy wzięła w rękę papier. — Pierwsze imie było Hipolita Pruszyńskiego, drugie Stanisława Karwie-

kiego, trzecie Józefa Zaleskiego, a czwarte Symforjana Czaykowskiego. Czarnobrewa dziewica pokraśniała i pobladła, a Szambelan Wąsowicz zawołał.

— Już dosyć! z jednej okolicy szesnastu! niech się reszta przy nas zostanie. Jak każda da tyłu, a policzywszy do tego drobną szlachtę i dworskich ludzi którzy z nimi pójdą, Staro-Kijowianie sami kilka pułków wystawią; ale teraz trzeba pomyśleć o broni i o koniach, bo kiedy robić to robić.

— Pana Wojciecha Pruszyńskiego prosimy, aby broni dostał; już jeżeli on tego niewyszuka, to i djabeł niedokaże.

— Ja przyjmuję na siebie ten obowiązek, koni zaś dostaniemy w Berdyczowie; za ośm dni jarmark pochwalny, każdy tam pojedzie niby za kupnem ogierów, ja broni dostracę, a stamtąd dalej w drogę.

Goście jedni po drugich rozjeżdżali się; trzeba było im jak najspieszniej czas chwycić, bo na nieszczęście ludzkie niechce się on zatrzymywać, choćby im i jak najbardziej się chciało. Nawet i Pan Szambelan odjechał wyprawiać swojego kochanego Stasia, nierad czemu to pod jego okiem niebiją się z Moskalami.

Kilku gości jeszcze zostało w Weprynie; nadszedł szary wieczór, smutny ale miły zarazem. Chwila to uroczą w której serca śmieliej czują, a myśl wolniej puszcza wodze, nawet słowa więcej mówią, choć mniej ich jest jak we dnie; zdaje się że dusza zbiera rachunek całodniowy, i nie chce ani jednej myśli, ani jednego słówka napróżno trwonić, tylko co pomyśli, co powie, to wszystko szczerze i wyłonione.

Gospodyni domu rozmawiała ze starszym Olizarem zapewnie o ojczystych rzeczach; Józefa i Felicja zęgnali swoich rycerzy; Sędzic jeszcze doradzał coś z Prezesem Teleżyńskim i dał Pruszyńskiemu pieniądze na zakupienie broni, a Panna Julja siadła przy oknie w pokoju bliskim bawialnego, wzięła gitarę, grała i prześpiewywała półgłosem ruską dumkę :

Oj ty idesz w czuży kraj,
Tam ab omni pamiataj;
Ja o tabi nezabudu
Poki żyti w świti budu.

Czegoż nagle struny przestały brzękać i śpiew ucichł?.. ona myślała że była sama, a tam do tego pokoju podkradł się z cicha młodzieniec jasno-włosa, błękitnego oka : uchem i sercem słuchał słów i śpiewu dziewicy, ona umilkła, a on padł przed nią na kolana.

— Juljo , oh nigdy, nigdy niezapomnę. Juljo ty mnie Kochasz — i całował jęj ręce. Ona schyliła głowę ku niemu , cichym szmerem wiosennego wietrzyka szepnęła

— Kocham.

W tém w drugim pokoju zawołano — Symforjanie.

— Juljo , jeden pocałunek..... Bądź zdrowa.

— Symforjanie bądź zdrów ! wracaj !

— Juljo kochaj mnie... Bądź zdrowa... bądź zdrowa...

W kilka minut później czworokonny powóz szybko wyjeżdżał z Wepryńskiego dziedzińca, a Julja w oknie, złożyła dłoń do dłoni, i modliła się — Boże ! miej go w swojej opiece —

Boże ! powróć mi go — Boże ! zbaw Polskę — a łza cisnęła się do jej oka , a serce drżało w jej łonie.

IV.

Staro-Kijowianie w ruchu ; niemasz zakątka z któregoby młodzieniec rażny i ochoczy, z dziarskim poczetem nie pędził ku Czerwonej Rusi.— Moskwa przez szpary patrzy na te przybory do wojaczki i rada, że te gorące serca, te dzielne ramiona, w miejscu rozniecać pożar świętego ognia na rodzinnjéj ziemi, sotkami prowadzić młodźców do boju za Ojczyznę, lecą pojedynczo do narodowego wojska walczyć i ginąć, tak jakby i lada ciura potrafił. Moskwa rzecz zrozumiała i powiada : niech się tam wyszumią, a potem i tych i tamtych przydusiemy razem ; niech się lepiej sobie trochę pobawią, żeby doprawdy niezaczęli. A panowie szlachta dobroduszná tak się dał oszołomić, że wielbią Cesarza Alexandra i nihy przyjaciela Polski, i jawnie mówią : Moskale-nam pomagają, teraz bijmy Austriaka, a pewnie Cesarz Alexander powróci wszystkie zabory Polsce. — Jeden tylko Szambelan Wąsowicz na to niepozwalał i ciągle powtarzał — Dałby to Bóg żeby kiedyś na prawdę się ziściło. — Mądry Polak po szkodzie ; żeby już więcej tego posłowania nie powtarzano, a Polak już więcej niebył głupim. — To już był nie zart ale szczerá prawda Pana Szambelana.

W Berdyczowie siła młodzieży zjechało się na jarmark ;

ostrogami brzęczą, szumią i hulają, a służba werbuje ocuotników po karczmach, czynownicy moskiewscy udają, że niby to przez niewiedomość, niby przez przychylność wszystko puszczają płazem.

Zjawił się i Pan Wojciech Pruszyński. Praworny stanął u Cudnowskiego Mejerka na stacji, a za jego wpływem zapoznał się z Jenerałem Kabłukowem dowódcą Twerskiego dragonńskiego pułku. Jakie to tam między nimi było rozhowory, to im tylko wiadome, bo się odbywały we cztery oczy, bez świadków; dość że po tych przechoworach kilka wozów z warami i beczkami zajechało przed cekhauz czyli skład broni i amunicji pułkowej, będący za Białopolską Zastawą. Pruszyński z Jenerałem tam byli, Pruszyńskiego ludzie pakowali, a dragoni prostowali się przed Jenerałem i na wszystko odpowiadali: *śłuszaja wasze prawoschoditelstwo*.

Wieczorem, Pruszyński rozdawał między młodzież pałasze, pistolety, proch i kule, a w nocy cekhauz zgorzał do szczytu; na dziwo! wszystkim, proch ani razu nieprzytknął, a na miejscu pogorzeliśka nieznaleziono ani złamanego kurka, ani jednej klingi; proch musiał wziąć wsteczny kierunek, nie do góry ale w dół, i wszystko w ziemię popakować; dwóch dragonów straży i podoficer uciekli z polską młodzieżą zwiększać pułki Xięstwa Warszawskiego, oficer służby poszedł do kozy, reszcie dragonów wyrznięto po trzy sotnie pałek. Jenerał doniósł raportem do głównej kwatery, o pogorzeniu cekhauzu, o ucieczce trzech winowajców, i na końcu dodał: *wśio błałhopołuczno*. Główna kwatery przestała raport do Ce-

sarza ze swoim dołatkim : że *wsio błałopotuczno*. Cesarz rzekł *charaszo* i podpisał *był' posiemu*.

Pan Pruszyński ze swojej strony podał Sędzicowi Galeckiemu i Prezesowi Teleżyuskiemu malutki spis :

« Mejerkowi za faktorstwo tysiąc rubli assygnacyjnych. »

« Jenerałowi Kubłukowi dziesięć tysięcy rubli. »

« Za *colier* u Szafnagła dla Pani Jenerałowej Panczulinowej, żony dowódcy Kurlandzkich dragonów, sześć tysięcy rubli. »

« Inne drobne wydatki, trzy tysiące rubli. »

« Ogółem dwadzieście tysięcy rubli assygnacyjnych. — Za to uzbroilem więcej pięciuset ludzi i mam broni i amunicji na drugie tyle. »

Rząd moskiewski nakazał wydać nową broń i amunicję Twerskim i Kurlandzkim dragonom, pochwalono dowódców że kazali składać broń w cekhauzach przez obawę aby jej nie popsowano, a polecono żeby nadal mniej przypadków bywało. — Obadwa dowódcy odpowiedzieli : *staszaju*, i dodali dla swojej wiadomości ; *wsio można tolko ostorożna*.

Młodzież szumno, dworno, jakby na zapustny kulig ruszyła ku Czerwonej rusi. Przez granicę za kilka sztuk złota sami Dońscy Kozacy przeprowadzali, i ich starszyzna w głos mówiła — Ojczcie żeby nam dobrze zapłacili, toby my samego Cesarza Alexandra ukradli i przewieźli za granicę. Widzicie, on niepłaci, a nam trzeba żyć.

W Weprynie zawsze ludzi mnóstwo, ale jakoś nie tak we-

soło; wszyscy troskają się obawą o swoich, wszyscy wyglądają wieści i ciekawie i niespokojnie. Piękna Julia nie śmie ludziom powiedzieć swojej troski, ale nie raz przy blasku księżycowym siądzie w oknie, przygrywa na gitarze i śpiewa zawsze ruską dumkę.

Ej misiac misiaczenko ! ne swyty nykomu ,
Tylko memu myłomu jak pryjde do domu ;
Bodajże złyi ludy, na wieki propały,
Szczu moho myłenkocho , dla sebe zabrały.
Buły nam czasy myły, koły ja kochała :
I wesolo wraz z myłym , ktobi pohladała ;
Teper ja nieszczasływa , sama idna w świti ,
Chotia ty jasne zyjdziesz , ja nemobu żyty.

Księżyc i cisza nocy słuchały jęj pieśni ; serce dziewicy kochało i tęskniło, nikiła na krasie, wędła na zdrowiu, i żyła nadzieją w Bożem pomiłowaniu.

Nad Wisłą, nad Sanem i Bugiem po krańce Karpatów,
hulaszczy wódz Polaków, dziarski synowiec niewyśmienitego
króla, gromił austriackich knechtów i konnicę madziarską,
ce przepomniała o dawniej piosnce :

Węgier, Polak, dwa bratanki
I do konia i do szklanki ;
Oba zuchy, oba żwawi,
Niech ich Pan Bóg błogosławi.

Staro-Kijowska młodzież pozaciągała się do Tulińskiego hu-

arów, do ułanów Tarnowskiego, do Małachowskiego kirysierów i do Cesarskiej gwardji Krasinśkiego, a w Kijowskiem powstanie nienastąpiło i Adam Wąsowicz ciągle gadał: — Znowu nas oszwabia, znowu będzie: mądry Polak po szkodzie.

V.

Jak mówił stary Pan Szambelan tak się też i stało; Cesarz Napoleon zawarł mir z Cesarzem Franciszkiem, Moskal za szalbicrzą przyjaźń dostał kawał Czerwonój-Rusi, bo wyprowadził w pole stotysięczne wojska; Xięstwo Warszawskie powiększyło się o trochę, a o królestwie polkiem nawet niezagadano; tak to zawsze bywało i będzie tym co się spuszcza na cudzą łaskę a sami o siebie niedbają. Lackie pułki wysłano gdzieś tam za Pireneje, nad Ebr, Bóg wie za co i po co zabijać Iberyjców, i krew należną Polsce przelewać za złą sprawę, na ujarznienie niepodległego ludu. Wielu z Kijowianów wracało pod domowe strzechy, czekać nim znowu Ojczyzna powoła do broni.

Dzień był mglisty, słońce jak z za cieniutkiego rąbka pogłądało na świat; szlakiem po nad Teterowem, ku Weprynowi toczył się zgrabny koczyk taszczony czterma rączemi biegunami; w nim siedziało dwóch młodzieńców, jeden wesołego

lica, baraszkował sobie rozmową, drugi jasnowłosy czegoś był zadumany, niesmutny ale niecierpliwy : to Xawery Marszycki i Symforjan Czaykowski, podgrucznicy kirysierów Małachowskiego wracali do domu.

Zajechali przed dwór, Sędzic wyszedł na ganek, ale niewesoły był twarzą, przyjaciele uściskali się serdecznie. Xawery zapytał — A twoja żona ?

— Chora trochę.

Symforjan nieśmiało dodał : — A Panna Julja ?

Michał Gałęcki skinął głową.

— Cóż takiego ? — zapytał Marszycki. Symforjan pobałdł jak zmoczona chusta.

— Umarła...

— Kiedy?

— Cztery dni temu.

Już Symforjan oparł się o oddzwieriek, oczy mu słupem stały, ciało zdrętwiało, usta zsiniały, jak gdyby dusza chciała wyłonić się z ciała. Obadwa przyjaciele zawiedli go do komnaty, złożyli na łożu a posłano po lekarza; on w cierpieniach ręce łamał, płakał, i ciągle wołał : Juljo ! Juljo !

W kilka tygodni później, zwykłym torem tego świata, po smutku w ślad idzie wesele, a często obok smutku wesele w parze staje. Symforjan ledwie zwlec się mógł z łoża, a brat jego Prot żenił się z Kordulą Wąsowiczówną.

Stary Szlemer siedząc przy stoliku z kielichem pełnym starego węgryna, rzecze do Felicjana Głębockiego.

— I jest to sem sprawiedływost no tym swiecie?.. tamen

Symforjan łepski chłopec, poszedł i był się za Polsku, a Pan Bóg mu narzeczona kochanka zabrał. Ten Prot takóž nezły człowiek, ale nyc uezrobił tylko zelhał i dostał slycznu żunku. Ot Pane Fełycjanie nyina co robić, trzeba zapic te sprawe. Do Wacpana sem. Niech Bóg da dobre Polszcze i nam — I duszkiem tyknął.

Pan Szambelan błogosławił nowo zaślubioną parę i do swojej piosnki ulubionój wszystko nakręcał — Bądźcie szczęśliwi, dajcie mnie wnuków; ale takich, żeby ich nieoszukiwano jak nas; niechaj biją wszystkich wrogów Polski zarazem. Bogdaj po ich czynach nic mówili: mądry polak po szkodzie, będzie na kiedyś, ale niech powiedzą: Polak zmądrzał, swoje zrobił i już niegłupi.

Ł U C Z C Z A N I E 1812.

I.

Roku pańskiego tysiąc ósmset dwunastego, w Kościuchnowce dziedzicznej wiosce Pana Podczaszego Litewskiego Olizara, w drewnianym dworze, który chociaż zwano Ekonomją wybornie mógłby służyć za pomieszkanie jednowioskowemu dziedzicowi, zebrało się kilkunastu panów szlachty, obywateli Łuckiego powiatu. Byli tam i starzy i młodzi; w tem zgromadzeniu szczególniejszą część oddawano dwóm ludziom, Panu Podhorożeńskiemu, dawnemu Pułkownikowi jeszcze za Kościuszkowskich czasów i Szymonowi Sokołowskiemu, Chorążemu Sanockiemu, dobremu polakowi, który przed laty z rozkazu carycy Katarzyny zwiedził Sybir za karę swojej miłości ku Ojczyźnie, swojego poświęcenia się dla przyjaciela. Piękne to prawo do współobywatelskiego szacunku, to zwanie — stary żołnierz Ojczyzny — męczennik za Ojczyznę — jeśli pierwszy niepowie: już dosyć wysłużyłem się krajowi, niechaj młodszy służy, a ja będę siedział spokojnie w domu; jeśli drugiego bojaźń nieznikczemni, albo niecupoi samolubstwo i niewłoży mu w usta słowa: ja

dość cierpiełem, niech drudzy cierpią, mnie Ojczyzna dłużna a ja Ojczyźnie sownie się wypłaciłem; czekam na nagrodę, a na szwank, ani swojej osoby, ani raz zarobionej sławy poświęcać niemyślę, i dla tego do żadnej nowej pracy ojczystej brać się niechęć. Biada takiemu żołnierzowi i takiemu męczennikowi! politowanie dla nich a za niemkrok w krok pogarda: bo czyż można kiedy zadość wysłużyć się Ojczyźnie, zadość za nią wycierpieć? Panowie Podhorodeński i Sokołowski tak nierobili; Pułkownik choć stary wiekiem gotów był do służby Ojczyzny; Chorąży choć dobrze pomny swoich cierpień gotów był na nowe; obadwa nieczekali żeby ich wezwano, tylko sami biegli do ojczystej posługi; i dla tego to Łuczczenie szacowali ich wysoce.

Był tam i Pan Konopacki sędzia ziemski Łucki i Pan Stanisław Pietrowski Chorąży powiatowy, i kilku innych obywateli dziedziców i kilku oficjalistów z dóbr Olizara i Pocięja.

Ważna to sprawa zgromadziła Panów obywateli do Kościelnówki. Cesarz Francuzów, wszemwładny Pan zwycięstwa, dawca i wydierca tronów i narodowości, na czele mnogich tysięcy różnojęzycznych ludów posunął na Moskwę; za broń chwycili Litwini, Biało-Rusini naddnieprzańscy na koń siadają; i złamą słychać jak wszystko woła: Niech żyje Polska! śmierć Moskwie! Dombrowski z niezlicznym hufcem Polaków poniosł orły i pogonie w lesiste Polesie, i wszędzie gromi żołdactwo moskiewskiego Samodzierżcy. Szwarceberg z Austrjakami, Renier z Sasami, sprzymierzeńcy Cesarza

Francuzów, wtargnęli na Wołyn i ciągnęli ku Styrowi, z nimi była garstka Polaków; Moskale cofnęli się za Styr i rzeczką się zasłonili. Puszczono wieść nadziei że Xiążę Józef Poniatowski, plemie Jagiellońskie, dziarski wódz Lackich pułków, idzie utkwic chorągiew Polskę na siwych murach Peczerska, i po dawnemu, po Czarne Morze i po Zadnieprzańskie kraje pomknąć granice Polski, a Moskalów wygnać het precz nad Klazmę i Wołgę rzeki. Na Rusi w szlachcie krew polska zakapiała; spać gnuśno, siedzieć cicho, im i nie w smak, i nie na rękę; ona gorąco zachciała wziąć się do broni, wskoczyć na koń, i zabulać po swojemu, jak niegdyś robiła z Kniaziami Wiszniowieckimi, z Konstantynem Ostrogskim; i dla tego się zgromadza i naradza.

Gospodarz domu Pan Szymon Sokołowski kazał zastawić stół śniadaniem; były tam: i bigos hultajski, i zrazy z zawiesistym sosem, i kasza hreczana ze skwarkami, i kielbasa z wereszczaką; wódki rozmaite, miód domowy i nawet parę butelczyn starego wina. I któryżby to Lach nieuśmiechnął się na te wszystkie zastawy, nieuczul że mu po żołądku burczy z głodu, w gardle coś przysycha; a Panowie Łuczczanie Lachowie, a jednak do trunków i do jadła się niebiorą?.. Choć to obyczaj w lackim domu, żeby gospodarz przynuka gościom ochoty poddawał, Pan Szymon rzekł parę razy tylko — prosimy na wodeczkę, prosimy na bigos — i tak dalej, i potem już więcej niepowtarzał. Widno łaska Boża zstąpiła na szlachtę, i oświeciła ją że nie wielka tam korzyść dla służby Ojczyzny gdzie Panowie obywatele obezrą się, opiją, nakrzy-

czą na całe gardło i rozjadą się nic nieuradziwszy : bo już o robocie ani mówić.

W Kościuchnowce Panowie szlachta radzili przy pełnych butelkach, przy niepróżnych półmiskach — a nie pili i nie żarli, tylko przekąsili dla zdrowia i nic więcej ; tak iż stary kredencarz bywalec co nie w jednym domu ściany plecami wycierał , ruszył ramionami i pomruczał — Widzę że do tego przychodzi, iż szlachta Polska nie dlatego żyje żeby jadła i piła, ale je i pije żeby żyła i coś przecie robiła.

Pierwszy Konopacki uderzył się w czoło — No i cóż będzie ?

Sokołowski dobył list z kieszeni swojej czamary — Mój Jurysdator Pan Podczaszy Litewski pisze, że wysła tu Pana Narcyza starszego swojego syna, i że swoim własnym kosztem wystawi dwa pułki jeden jazdy drugi piechoty ; każe mi to oświadczyć Panom obywatelom i zawezwać was do wspólnej pracy. Pana Pułkownika Dobrodzieja prosi aby przyjął dowództwo nad ludźmi co on uformuje i syna poleca jego opiece.

Pułkownik skłonił się rubasznie po wojskowemu — Niczaś służyłem sobie na tyle zaufania u Pana Podczaszego Litewskiego, ale podejmuję się spełnić jego żądanie.

— Bardzo dziękujemy, odezwała się szlachta; ale róbmy co prędzej, ci Sasy i Austrijacy może dla tego tak leżą złotym krokiem że my niedajemy znaku życia.

Janusz Nowowiejski Marszałkowicz Rowieński, inłodziutki chłopiec ale sprytna sztuczka, podrapał się w głowę i rzecze — Pozawczoraj w Ołyce dowiedziałem się od Xiędza Biskupa Dederki, że Dombrowski tęgie ciągi wyprażył Bagrationowi, że sam

poszedł obiegać Bobrujsk, a tu wysłał ułanów żeby tym niemcom pludrom feferu dodać: Xiędzu Biskupowi to wysłanie niemców do nas bardzo się niepodoba; on choć wielce podziwiał Cesarza Francuzów, powiada że ten wielki pan tak zrobił, jak gdyby napuścił wilków do obory, albo owcom dał za pastucha wilka.

— Xiądz Biskup dobrze mówi: i ja do tych niemców nabożeństwa nie mam— mówił Pan Szymon pokręcając węsą— ale jak my swoje zrobimy, to oni radzi nieradzi muszą to robić co im kazał Cesarz Napoleon. Ot moi Panowie, ja mam upoważnienie od Pana Podczaszego wszystkich chłopów ruszyć do broni; mam przystanych dość pieniędzy na pierwsze potrzeby, to i powstawajmy.

— Bez Pana Narcyza?

— Nieturbujcie się, on przyjedzie.

— A Pan Gustaw?

— Pan Podczaszy młodszego syna zostawił przy sobie, żeby też samą sztukę zrobił w Radomyślskim i w Owruckim, jaką robi w Łuckim i Kowelskim.

— Wiesz Waćpan Dobrodziéj, odezwał się Pułkownik, że to nie głupio pomysłano, żeby paniczów niewysyłać jak jakich hołodryków do wojska, ale stawiać ich razem z chłopami i z okoliczną szlachtą; ho to i dla Ojczyzny korzystniéj, jak panicz przyprowadzi kilkuset albo kilkudziesiąt żołnierzy, niżli samego siebie; i ludziom serce rośnie, wiary i otuchy przybywa widząc swojego pana między sobą? Ja pochwalam postępowanie Pana Podczaszego.

— Ja wam powiem skąd to poszło — rzekł Sokołowski — Przeszłego roku Pan Narcyz pojechał do Warszawy w celu zaciągnięcia się do narodowego wojska, ale nasz Xiąże Józef Poniatowski powiedział: « Wracaj do domu, i tam czekajcie w gotowości; ja tam przyjdę, a wtenczas niech każdy na czele chłopów i braci szlachty czynszowej przychodzi zwiększać narodowe szeregi; to będzie i lepiej i korzystniej. »

— Dobrze mówił Xiąże Józef; dalibógże w szeregu Iwan albo Hryćko tyle wart albo może i więcej co marymoncik panielcz; a żeby te Xiążątka i Hrabiątka zalegali sztaby i zabierali miejsca ludziom doświadczonym, to bez tego by się obeszło; z resztą charłak co niema nic oprócz konia i kulbaki niech się sядzie na koń i drała do obozu; Xięciu Sanguszcze albo Radziwiłowi tak niewolno, on powinien na czele tysięcy swoich wystąpić; inaczej to i Ojczyźnie z tego nic nieprzyjdzie, i oni sami djabli wiedzą po jakimu szczeszna.

— A kiedy ci Panowie niezechcą należeć do powstania?

— To wiesz Waćpan Dobrodziej co zrobić; ot tak naprzykład: Pan Leduchowski albo Pan Bystry odmawia być z nami a ma ekonomia, lesniczego albo nawet pisarza prowentowego byle chwata; to niech ten staje na czele chłopów, a po wojnie skonczonej, kto niechciał pracy, niech też i nie je kołaczy. Panu Leduchowskiemu albo Panu Bystemu odebrać wioskę a dać ją na dziedzictwo temu kto spełnił jego powinność, bo Ojczyźnie ten lepszym synem kto jej służy od tego co o nią niedba.

— Zgoda, zgoda; tak być powinno a nieinaczéj — i wszyscy uściskali Pułkownika, a jemu łzy stanęły w oczach.

— O tylko chciejmy, to zrobiejmy.

W tem wszedł stary kredencierz — Panie! Dońce.

— Gdzie?

— Za Styrem.

— E mniejsza oto; oni tu nieprzyjdą, a gdyby i przysli to damy sobie rady. Poszlij tam ze trzech ludzi żeby wypatrywali i dawali znać jak tylko zaczną się przeprawiać.

Kredencierz wyszedł ruszając ramionami, a szlachta chciała się brać do strzelb, ale Sokołowski zagał.

— Koniec końców cóż tedy mamy robić?.. czas nagli.

— Powstawać zaraz — odezwał się Pułkownik.

— Panie Pułkowniku daruj — rzekł sędzia Konopacki — jest stara gadka: że co nagle to po djable; mnie się zdaje, że wprzódy wyszlijmy poselstwo do Jenerała Szwarcebberga co on każe zrobić, wszak on dowodzi i naszemu i sprzymierzonemu wojsku.

Pułkownik wása targnął, młodzież niewesoło popatrzyła na Konopackiego, ale Sokołowski otworzył usta:

— Ja zgadzam się na to żeby wysłać poselstwo do Feldmarszałka Szwarcebberga, to nieprzeszkadza wcale abyśmy się do powstania zabrali.

— Taże nieprzeszkadza, ale ja to wiem z doświadczenia, że jak niemiec do czego choćby najlepszego się wda, to zaraz wszystko opaskudzi. Moja rada powstawać i Króla Polskiego ogłosić.

To powiedzenie jakoś za nowe było dla wszystkich, bo Cho-
rąży Piotrowski się odezwał, a za nim młodzież powtórzyła

— Przysiężmy na wierność Cesarzowi Francuzów, i pro-
śmy żeby nam dał Króla.

— Prosić o Króla i to jeszcze cudzoziemca, dalibóg kiepsko;
zróbmy sami i to swojego, a zobaczycie że i Cesarz Napoleon
sam będzie się prosił aby nam dopomagał, bo on zobaczy że
my chcemy być narodem.

— Napoleon to nasz zbawca, w nim jedyna nasza nadzieja;
jego słuchajmy i jemu służmy! Niech żyje Cesarz Napoleon!—
Tak wołała młodzież.

— Niech żyje! — odparł Pułkownik — kiedy tak chcecie to
wysyłajmy poselstwo i do Niemca; ale pamiętajcie żeby on nas
w pierwszym poskoku nieopaskudził.

II.

Jeszcze gawędzono o tem kto ma pojechać w poselstwie do
Szwarcemberga, kiedy na dziedziniec zajechał jednokonny
wózek i z niego wysiedli mężczyzna i niewiasta przybrani
w chędogi strój szlachecki. Mężczyzna rosły wzrostem, smu-
kły kibicią, musiał już mieć przeszło trzydzieścia lat; śniade
czoło przedwczesne zmarszczki przyradliły, przerzedział włos na
głowie, a rumieniec widno dawno już z lica uciekł; tylko
w czarnych oczach iskrzy się silne zarzewie życia; ruchy jego i

składne i czepkie, nie choroba ciała wybiła swoje piętno na twarzy, ale cierpienia duszy poznały się tam jawnymi śladami. Niewiasta młoda zaledwie stanęła na tej chwili wieku, w której rzuca się wiosną dla lata życia: twarz miała czystą, białą, cieniem krasy przykraszoną, a tak pogodną jak u aniołka nieba: i błękitne oko ciągle w odbryzgach łezki się kąpało, i jasne włosy muskały lice, i szyja śnieżna jak puch labędzi wykradała się z pod grubiej koszuli; kibić szykowna, w stanie taka cieniutka że ją oburącz możnaby objąć, zdawała się być w sporze z pestrową przyjaciółką. Ona była jak rumak wschodni potępieńca ręką przybrany w parcianą szleję, choć idzie w tym przyborze, z oczów z każdej żyły, z każdego ruchu widać krew rodu i ducha rodu.

Z Panem Chorążym chcą się widzieć, i Pan Chorąży wyszedł na przeciwko nich; krótkimi słowy do siebie przemówili, ale ciekawsi goście widzieli, jak Pan Szymon witał obojga jakby własne dziatki, ścisnął w ujęciach ramion, i oni go całowali jak dziatki, potem zaprowadził na przeciwko do niewieściego mieszkania, i sam wrócił.

U Pana Szymona w oczach łzy, a w brzmieniu głosu wyraźne rozczulenie, nieczekał nim go kto zapytał.

— To dzieci inoich najlepszych przyjaciół, z Białowiezskiej puszczy tu przybyli; ona taka młoda, córka dostatniego domu, on rządowy urzędnik ceniony, wszystko porzucili żeby służyć Ojczyźnie; oh co to ta Polska może na polskich sercach!

— Czy wojskowy? czy nasi idą?

— On nie wojskowy, a nasi idą.

— Czy urzędnik nasz ?

— Oh! i to nie — westchnął. — On służy Ojczyźnie, bogdaż takich wielu było.

— Panie Chorąży czemuże on służy?

— Służy moi panowie, zobaczycie jak, a teraz wam donoszę że nasi idą, za parę godzin tu będą.

— Nasi idą, nasi idą! — i jak dzieci wszyscy w okna patrzali, i o mało nieskakali z radości jak dzieci.

— Poczekajcie Waćpanowie jeszcze nieidą, a ułożmy przecie kto pojedzie do Szwarceberga.

Prędko a zgodnie wszyscy wołali — prosimy Pana Kapitana Godlewskiego, Pana Chorążego i Pana Sędziego, a coraz to na dziedziniec wychodzili, to w okna zacierali, nareszcie jeden zawołał — chodźmy na przeciwko — i już zabierali się do wychodu, kiedy kilku chłopów wpadło krzyżąc: polaki idą — i przed wrotami dziedzińca ukazało się kilku polskich ułanów.

Proporce białe z czerwonym kąpały się w Nadstyrzańskim powietrzu, laskie konie kopytami stukotały po szlaku Nadstyrzańskim. Panowie szlachta Łuczczenie jak serdecznych braci witali ułanów; mężowie, niewiasty, dzieci i starcy wszyscy na dziedziniec biegli: okrzyki radości w ich ustach, łzy radości w ich oczach. I ułani płaczą a ściskają braci.

I ów szlachcic nowo przybyły także wyszedł, pohardział i postawą i twarzą, zdałoby się że to przebrany wojak zobaczył swoich i w ustach mu na wylocie: szabli, konia; po chwili sponurzał, trochę spuścił czoło ku ziemi jak gdyby mu się sromno zrobiło i znowu podniósł czoło i cieszył się z drugie-

mi, a młoda niewiasta drobną rączką uczepiła się jego ramienia, ciśnie się do jego boku, jak drobne piskle pod macierzyńskie skrzydło, i w błękitnych oczach błyszczą dwie żywe perły; na przezroczystym czole mgli się niepokój, obawa, a z rumianemi ustami półuśmiech igra. Ach co tam w jej sercu, w jej duszy się dzieje?

III.

W Kościuchnowce hukiem polskich ułanów: jedzą, piją, lulki palą i gawędę baraszkują z panami szlachtą; to wskoczą na koń, nad Styr pobiegną, nadrwią się z gwizdania dońskich kozaków, po swojemu na odpowiedź panom dońcom hukną z karabinków, aż w szlachcie dusza z radości pohula, laską pieśń zawiodą, to znowu wrócą jeść, pić, wczasować się pod polską strzechą.

To Jenerał Kwaśniewski przyszedł z ułanami. Pan Kwaśniewski stary wojskowy wyga, i przed Kościuszką, i za Kościuszki i po Kościuszcze Ojczyźnie służył; nie hramotny człowiek, ale co rębacz to rębacz; manewrować na mustrze ani w ząb, w prawo i w lewo pułkiem nieumiał obrócić i w ten czas zawołany Pan Rozniecki wołał: temu djabłowi żeby nie taka stara bestja, wartoby kulą w łeb pałać i do piechoty oddać, twardy łeb, nic z niego zrobić niemożna. Raz nawet

woczy Kwaśniewskiemu powiedział na jakiejś mustrze: Koniu, koniu, gdzie ty tego pułkownika wiesz? żebym ja był koniem tobym go zrzucił, pobił, podeptał i zostawił. Kwaśniewski na całą odpowiedź rzekł: a ja bym konia batem, ostrogami. Ale kiedy przyszło do boju, to pułkiem jak z płotka wywijał; jak komenderował, to komenderował, dosyć że zawsze uderzał na czele pułku, i zawsze nieprzyjaciela rozbijał. Raz w którejś potyczce roku tysiąc ośmset dziewiątego, piąty pułk strzelców konnych, uderzył na węgierskich huzarów, nie-rozbił, i sam musiał się cofnąć: dowódcą tego pułku był dzielny żołnierz, ale wychowany na Dreźnieńskim czy Berlińskim dworze, polak nieumiejący mówić po polsku, Kwaśniewski przypadł do niego:

— Niemcze pludrze, to ci honor Ojczyzny niemity, uciekać przed niemcami, jak niemcy — obrócić się do swoich ułanów — ułani moi pomścimy honor Ojczyzny, pokażemy tym pludrom jak to u nas biją! — natarł, w puch rozbił huzarów i zabrał harmaty, siadł na jednej i wrzeszczał — Jak mi Bóg miły, jak mi honor Ojczyzny drogi, sam wziąłem tę harmatę, ułani moi zabierzcie mnie z nią, bo ani kroku nieruszę, jakem Kwaśniewski nie niemiec nie pludra — I ułani przywiezli pułkownika na harmacie, a z nim i inne.

Pod Mirem czy też w jakiejś innej utarczce, bo to się często zdarzało zawołanemu manewrzyście Roźnieckiemu, kiedy rzucałszy wojsko biegł we wsteczną stronę bojowemu ogniewi, a Kwaśniewski jak pies gończy na postuch strzałów skakał tam pułkiem, i ujrzał czwałującego Jenerała, rzucił się w bok i

konia zatrzymał. — Na miły Bóg koń nosi, Jenerale tam się biją, chodźmy, na honor Ojczyzny zaklinam.

Różniecki się zmarszczył — Puść Waćpan, niechaj nosi — konia ostrogą macnął i obadwa pobiegli każdy w swoją stronę.

Później Kwaśniewskiemu Jenerałowi, dano już w dowództwo zbieraninę rozmaitych ulanów i posłano ze Szwarcebergiem na zgubne imię, bo nieumiał tylko rąbać się.

Różnieckiego wyprawiono manewrować i sztyftować a niebić się. Cesarz Jegomość Francuzów wołał do boju głupich chwatów, jak rozumnych zajęczego serca.

Taki to był Jenerał Kwaśniewski.

Szlachta go serdecznie przyjęła, a on im powtarzał — na honor Ojczyzny wam się zaklinam, jak kapustę posieczemy moskali, tylko suimy się naprzód.

Kiedy zgadano się o poselstwie, pochwalał to, tylko dodał — Na honor Ojczyzny was zaklinam, tylko po polsku się znajdźcie; ten Szwarceberg choć niemiec, to wielki pan. Jak mi Bóg i Ojczyzna miłe, ja to wiem, jak z tymi wielkimi panami trzeba się znachodzić. Niech powie Hempel, jakim się znalazł z Cesarzem Napoleonem, a to wielki pan.

Hempel, był to młody, jasnowłosy podporucznik, którego posądzano o szepianie Jenerałowi na manewrach, i w innych przygodach rozmaite rady; szlachta zaczęła prosić, a Hempel opowiadał.

— Najjaśniejszy Cesarz francuzów przyjechał przed naszą brygadę i zaczął mówić do Jenerała po francusku, Jenerał

nie; Cesarz po włosku, Jenerał milczał; Cesarz po Hiszpańsku, Jenerał zawołał: Latine Majestate, latine— Cesarz po łacinie, a Jenerał rzekł — polak jestem — i Cesarz odjechał.

Szlachta się uśmiechała, a Jenerał się poczwaniał:— jak mi honor Ojczyzny miły tego się znalazłem. Cesarzowi Jegomości z pamięci to niewyszło, oti teraz przysłał mi order, — i wyjął jakiś papier z kieszeni mundura — czytaj Waćpan.

Hempel czytał — Ordre du jour.

— Tak, tak, order jak Waćowie nazywacie oprawny ajzur.

— Ależ Panie Jenerale to rozkaz dzienny.

— Co mi Wać gadasz? jak mi honor Ojczyzny miły tak tam wyraźnie napisano jak byk, order ajzur, zapewnie z brylantami i z koroną cesarską.

Hempel czytał — Dalibógże Panie Jenerale to rozkaz dzienny i bardzo pilny; niech Pan Jenerał słucha.

— Idź Wać precz, jak mi Bóg i Ojczyzna miłe zwatjował — chodził po pokoju i spał, a Hempel ciągle mu powtarzał

— Niech Pan Jenerał pozwoli.

Nareście stanął — No mów Wać, co tam jest.

— Jenerał Szwarcemberg każe żeby Pan Jenerał natychmiąszedł do Kowla pod rozkazy Jenerała Renie, gdyż Jenerał Bagration wysłał znaczny oddział moskiewskiej piechoty w lasy Osmiechowickie, i przeciął komunikację z Jenerałem Dombrowskim, a Sasi niemają przy sobie żadnego oddziału Polaków, któryby znajomością języka ułatwił im wyprawę.

Kwaśniewski kręcił głową i pomrukiwał — Order, order —

a potem uderzył się w czoło — języka im naszego potrzeba, szabli polskiej, szabli, — przeszedł się znowu — a kiedy tam trzeba było być?..

— Pozawczoraj.

— Do diabła, jak mi Bóg miły i Ojczyzna, każ Wacpan niech trąbią na koń, zaraz pojedziemy, lepiej później jak nigdy; po niemczech niebędzie nam *tarde venientibus ossa*, zastaniemy cokolwiek mięsa.

Pan Pułkownik Podhorodeński oświadczył się, że chce powstanie zbierać i iść za Jenerałem. Sokołowski wyszedł na drugą stronę i niebawem wrócił, wziął Jenerała pod rękę, odprowadził w kął komnaty, i długo z nim po cichu rozmawiał; na starą twarz Jenerała wystąpiło podziwienie, pokręcił głową jakby powątpiewał, w Sokołowskiego oczach był smutek, ale był i zapał; z całej rozmowy można było uchem połapać te słowa.

— Dziwny.

— Kocha Ojczyznę.

— Gubi się.

— On wie.

— Wać go znasz.

— Jak siebie samego.

— Rewucki?

— Rewucki.

Przed wrotami na ulicy długim szeregiem na koniach stali polscy ułani; ów szlachcic nieznamy chwilę rozmawiał z Jenerałem i z Panem Sokołowskim, wskoczył na koń i pojechał: gdzie?.. jemu pewnie wiadomo, a im dwóm wiadomo

albo i niewiadomo. Przy samym odjeździe rzucił okiem w okna gdzie była młoda niewiasta, szybko twarz odwrócił, konia nogami ścisnął, ręką machnął, zdało się że krzyżem świętym powietrze w stronę okna przeżegnał, i przeżegnał siebie.

Niebawem Kwaśniewski dosiadł konia, pożegnał braci szlachtę, stanął przed ułanami i donośnie krzyknął — *Baczność, brygada trzema w prawo zajdź, stępo, sun się napród* — Stary Jenerał przez nienawiść ku cudzoziemszczyźnie, a może ku manewróm, nigdy nie chciał powiedzieć: *marsz*, ale zawsze mówił: *sun się*. I ułani ruszyli w pochód *muąc* laskie pieśni.

W półgodziny później, Podhoroński udał się w swoją drogę, Sokołowski, Konopacki i Godlewski pojechali do Włodzimierza do Jenerała Szwarcemberga. Zajechała i bryczka kryta na rysorach: do niej siadła Pani Chorążyna z ową młodą niewiastą, zapłakaną, a tak piękną jak kwiat wrzosu olzawiony rosą; już ona była nie w szlachecko-chołopskich, lecz w szlachecko-panskich sukniach; pojechały nad Styr i za Styr się przeprawiły, a Dońców nie było na ich przyjęcie: oni zaraz uciekli za pokazaniem się ułanów.

Szlachta rozjeżdżała się tam gdzie im polecili Pan Podhoroński i Pan Sokołowski, a wszyscy odgadywali co to za jeden ten mężczyzna? co to za jedna ta niewiasta? Rzewuski nie Rzewuski?... wyraźnie słyszano imię Rewucki.

IV.

Jeszcze dwóch dni nieupłynęło od owego zebrania się szlachty w Kościuchnowce, a już w Rafałowieckich i w Dombrowickich lasach ludzie nyszkciem w gromadki się zbierają; w karczmach więcej gadu gadu gawędzą jak piją, a jakieś dziwne przygotowania robią. Balarze, budnicy, siekiery ostrzą jak brzytwę, jak gdyby chcieli jednym cięciem na dwoje brzozy rozcinać, pobereźnicy i miszuki nabijają rusznice rubańcami, albo rozciętą i nadzuta kulą: czy na dzika, czy na niedźwiedzia się sposobią?.. Boczniemi ścieżkami chodzą, a wszystko na szlaki wyzierają; kiedy niekiedy w lesie huknie strzał i jeden i drugi i trzeci i więcej nawet, i znowu cicho; a kiedy do wioski albo do Rudni jakiej, zabije oddział moskiewskich żołdaków, albo zajedzie carski czynownik, to tam widzą jak niewiasty, dzieci i starzy ludzie siedzą i pracują jak gdyby nie o bożym świecie niewiedzieli; a rzecz dziwna! na wielkim szlaku z Rafałówki do Kowla znaleziono pięciu ludzi nagich jak ich matka na świat porodziła, a wszyscy kulkami postrzelani; koło nich leżały moskiewskie mangierki zielone z ezerwonym obszlagiem. W Rafałowce gadano o wysłanych pięciu dońcach od Jenerała Tormansowa z ekspedycją do pułkownika Kołogrywowa będącego w Osmiechowickich lasach, powrotu ich nie doczekano się, gdzieś jak w wodę przepadli. Niedaleko Kołodziejów w Rudni, znaleziono zasiedatela powieszono go na wierzbie jak parszywego psa; djabeł go musiał powiesić; bo ludzie

nieprzyznawali się. I nie jedną taką sztuczkę splełano, a sprawców odkryć nie można było; tylko po wioskach dzieci bawiły się guzikami mundurów moskiewskich, chłopcy sprzedawali Sasom i Austrjakom dońskie konie, baby liczyły moskiewskie i cudzoziemskie pieniądze, ale wszystko to robiło się nyszkciem.

Tak kazał Podhorodeński. Przyjechał on do Kołodziejów, zwołał pobereźników, samych cymesów z balarzy i budników, i kilku praworniejszych miszczuków, i taką z nimi miał gawędkę.

— Jak się macie dobrzy ludzie, a coż to u was słychać?

— Dziękujemy Wielmożnemu Panu, at kiepsko słychać; my jak groch przy drodze, i Moskał skubnie, i Niemiec skubnie, a niema do kogo i na sprawę pójść.

— Trzeba sobie samym sprawę zrobić.

— My biedni ludzie, coż my zrobimy? Trzeba cierpieć a spokojnie w domu siedzieć.

— To niedobrze, trzeba przecie być za kimś.

— Tażcz to wielmożny Panie, temu Bóg niech dobro daje kto dla nas o dobru дума.

— A któż wam dobra życzy? pewnie nie Moskał.

— O! Moskał szelma, drze nas ze skóry, laje i bije.

--- Panowie was kochają.

Chłopi milczeli.

— Pamięta z was który polskie czasy?

Jeden się odezwał — Ja pamiętam; w tenczas dobrze było; jeden dzień na tydzień na pańszczyznę gonili: niebyło ani za-

siedateli, ani kluczwojtów, ani Moskali na kwaterach. Na całej wiosce stał jeden tylko towarzysz; prawda że czasem stulnął, ale też i zapłacił.

— Otoż widzicie, to były polskie czasy, a teraz moskiewskie. Moskal każe was bić, na pańszczyznę gonić, podatki wybierać, grabić; Moskale uwłaczają waszym żonom, córkom; musicie ich karmić i jak wrzodowi dogadać.

— Prawda Wielmożny Panie.

— Otoż trzebaby ich się pozbyć.

— Ależ Wielmożny Panie, za polskich czasów był król w Polsce?

— I teraz będzie, tylko bijmy Moskali.

— Dobrze to ich bić, ale oni mają wojsko?

— A my mamy ręce — tu wziął sztof w rękę, nalał wódki w czarę: do ciebie Iwanie — i wypił. Pił Iwan i tak dalej pili kolejną. — Ot tak słuchajcie, jak zechcemy to pobijemy. Niech każdy przyrządzi rusznicę, siekierę, noża, co ma. Wy Iwanie, Charytonie, Mykito i Ostapie idźcie do balarzy, do budników, do rudników; wy Jakowie i Wasylu do pobereźników i do ludzi sielskich, wybieracie co praworniejszych, i każdego mianujcie starszym dziesiętnikiem i naznaczcie mu dziesiątek albo i więcej. Mówcie im że jak przyjdą polskie czasy, wybijemy Moskala, to niebędzie pańszczyzny, ani żołdatów nie będą karmić po kwaterach; ani w rekruty ich nie będą brać; jak który zechce to z ochoty pójdzie do wojska. Teraz potrzeba dowiadywać się gdzie są Moskale, skąd i dokąd idą, i wiele ich jest? Jak mało, to zasieć i postrzelać i pobić.

Jak wiele, to w nocy napaść, a żadnemu życia niedarować. Do wsi żołnierz albo czynownik przyjedzie, to powiesić. Rozumiecie ?

— Rozumiemy Wielmożny Panie.

— Groble psuć, mosty podrębywać; swoich przestrzegać żeby tamtędy nieszli, a Moskali naprowadzać. Pobitych obdzierać i zdobycz nieść do dziesiątnika; połowa temu zostanie kto zabrał, jedna część dziesiątnikowi, a jedna na cerkiew.

— Dobrze Wielmożny Panie, to i Bóg nas pobłogosławi.

— No, jeszcze po jednej czarce — Chłopi pili, a panosze postawami.

— Ot Wielmożny Panie, tak dobrze będzie, a Panowie czy będą z nami ?

— A jakże; my z wami i wszędzie i zawsze. Po wioskach siedzieć cicho, pracować jak gdyby nic niebyło. Jeśli nieprzyjaciel silny przyjdzie, to go pokornie niech witają starcy, niewiasty, a ludzie co się poczuwają do czego niech w las uciekają. Jeśli można to popoić Moskali i pijanych wyrznąć.

— Zapewnie Wielmożny Panie, to można; piją szelmy wódkę jak woły brahę, byle im dawać.

— Oprócz tego, każdy co się odznaczy dostanie osobną nagrodę.

— O Wielmożny Panie, to dosyć dla nas będzie jak Moskala się pobędziemy i pańszczyzny niebędziemy robili; bo co te dwie rzeczy to już kością w gardle nam siedzą.

— Dobrze moje dzieci, Mykita i Maxym zostaną przy mnie, a wy idźcie, prawornie się sprawcie. Rozumiecie ?

— Rozumiemy Wielmożny Panie, i sprawimy się prawornie; niech Pan będzie spokojny.

Wyszli chłopci, a Pan Podhorodeński zabrał z sobą co rżniejszych parobków uzbrojonych w strzelby i wyszedł w las. — Toż samo robiono w sąsiedztwie, a tegoż wieczora jeszcze w Koifodjach śpiewano piosnkę.

Jak były stary Pany, lęhki na robotu,
Tyżdeń robyw doma, panszczyna w sobotu,
Nastały młody Pany, tiazki na robotu,
Ciły tyżdeń panszczyna, tołoka w sobotu.

I powtarzało chłopstwo — przyjdą stare polskie czasy, i starzy polscy panowie. Chłopstwo jak Pan Podhorodeński mówił rozochociło się, i widziano skutki ich sprawek.

Nawet gdzieś po niżej Dombrowicy rozbito wozy moskiewskie z żywnością z prochem i z kulami, żołnierza w pień wycięto, rzeczy zabrano, a wozy porąbane zostawiono na drodze; jeden Moskał uciekł, i na świętego Mikołaja przysięgał, że to nie Francuzy, ale muzyki licha narobili. Bagration niemógł dośledzić winnych i rzekł — Poliszuk to durny jak wrona, a chytry jak lis.

V.

Kiedy tak polskie chłopstwo wzięło się do broni ale nyszkciem, Jenerał Kwaśniewski ze swoimi ułanami chodził po

Osmiechowickich lasach, w prawo, w lewo, w tył i naprzód, a niemógł przydybać Moskali. Tu byli, z tamąd wyszli; tu stoją w gęstym lesie, ułani nie niemoga, a Saska piechota nie nadeszła, czyli raczej z Kowla nie wyszła. Renier powiedział: — niech ci Polacy łby kręcą, nam Niemcom życie nie na zbyciu.

Już tak się znudził Kwaśniewski, iż chciał natrzeć na Moskali choćby w lesie, i mówił do Hempla — E co Wać mi tam swoim rozumem gadasz? Jak Pan Bóg depuści, to i z kija spuści; lasu dla nas umyślnie nie wykarczują, a chodzić jak błędne owcy, to nie ładnie. Niech tak robią Niemcy pludry — W tém przyjechał jakiś szlachcic: z Jenerałem długo na stronie rozmawiał; po tém szlachcic odjechał, a Jenerał powrócił z wesołą twarzą i krzyknął — Baczność! prawe ramie naprzód! suń się! — I ułani poszli wsteczną drogą od téj którą szli, przez rzeczkę Turję, ku Stochodowi.

W lesie, pomiędzy bagnami, stało dwa bataliony moskiewskiej piechoty i pułkownik Kologrywow z oficerami. Pili herbatę z wódką, czyli raczej wódkę z herbatą, bo jak mówił pułkownikowski *deńszczyk* (służący), *stakan* (szklanka) wódki, dwie *kaple* (krople) *czaju* (herbaty). Żołnierze gryzli suchary i popijali błotnistą wodę z kałuży, kiedy przyjechał jakiś człowiek na koniu; zsiadł i z pokorną postawą siedł do pułkownika; widać jednak było, że ta pokora ciążyła mu na sercu, dziękem okiem rzucał na żołdactwo moskiewskie, a posępny smutek osiadł mu na czole. Pułkownik podszedł ku niemu.

— A co?

— Jest gradka Panie Półkownika.

— Gdzie?

— W Czerkasach jest trochę austriackiej piechoty.

— To pusta; co nam po tych czaraparach? to Niemcy, funta kłaków niewarci. A więcej niemasz nic?

Szlachcic milczał; już pułkownik miał w ustach — Ta i poszedł won; kiedy szlachcic potarł siebie w czoło jakby co przypomniał.

— Ale ci Niemcy mają pieniądze?

— A wiele?

— Mówią że wiele?

Zatarł ręce — To dobrze, trzeba im dać w skórę; no chodź, napij się z nami czaju, i zaprowadził go między oficerów.

W pół godziny później Moskale ruszyli z miejsca, przeszli Stochod po drewnianym moście i milczkiem manowcami ciągnęli ku Czerkasom. Nadzieja pieniężnego obłowu wyprowadziła Moskali z lasu.

W Czerkasach małej wiosce, o dwie lekkie milki od Ośmichowicz, stanął na spoczynek oddział austriackiej piechoty z pułku Maczuseli czy Minotoli dowodzony przez Oberst-Liejtanta Bartolomeo: prowadził on znaczną kwotę pieniędzy z Kowla do Brześcia Litewskiego. Austriackim obyczajem po południowym pochodzie rozłożył się na prawdziwe leże; a że owi sprzymierzeńcy Napoleona podobni byli do kundysa wyprowadzonego gwałtem na polowanie, któremu kazano być chartem, kundys włókł się póki go powrozem ciągnięto a bat

nad nim wisiał; jak go samopas puszczone, to za zającem niepobiegł, ale ozierał się jak złodziej, i jeśli nieczmychnął do grubego, to przez strach. Do tego już gadano, że Austryjacy zwąchali się z Moskalami, zwyczajnie swój ze swoimi, obadwa złodzieje pokumani kradzieżą Polski; dla tego też szłapaki czyli czarapary Oberst-liejtanta porozbierali się jak do łaźni, spali jak karmne wieprze, i we śnie nawet chrapali niemieckim szwargotem.

W tém nad świtem Moskale jak trzoda djabłów zawrzeszczeli — hura! hura! — Niemcy budzą się, rozdzierają oczy *Her Jesus! Her Got! der teffel!* w niebo-gwałtu wrzeszczą i uciekają nie tam gdzie pieprz nierośnie, ale w grubego, pod łóżka, w siano, na strych; gdyby mogli, toby i pod spódnicę starych bab się chowali, ale i z tamtąd Niemca odpychano. Moskale krzyczą — hura! na sztyki! — i kolą bezbronnych, bo to Niemce; a oni choć Carscy żołnierze ale Sławianie.

Pułkownik Kologrywow woła — *Gdzie dieńgi* (gdzie pieniądze)? Na to słowo, dieńgi brzęczą w uszy żołdatom, moskale jak szuchnęli się, znaleźli furgon z pieniędzmi i oberst-liejtanta wyciągnęli z pierzyny, oberst-liejtanta poszturchali, a pieniądze nietknęli. Pułkownik tak przykazał, a w lasach jest pełno pałek na nieposłuszeństwo.

Oberst-liejtant coś po niemiecku, po francusku, do moskiewskiego pułkownika gadał. Kologrywow choć te języki znał jak na palcach, bo służył niegdyś w preobrażeńskiej gwardji, na wszystko odpowiadał

— Nerozumiem.

Oberst-liejtnant dał mu jakiś papier do czytania; moskal przypatrywał się, obracał i oddał na powrót.

— Nieznam tego.

! Kazał jeńców prowadzić niby do Pińska, a praporczykowi służby rzekł na ucho — Obedrzeć niemców, to dla was panowie oficerzy i dla *rabiat* (dzieci żołnierzy), a potem puścić do licha. — Sam zajął do furgona, aż mu oczy zaiskrzyły się z radości; tam hukiem srebra i złota: dobył garść srebra, feldfeblowi oddał — między rabiata rozdać — obrócił się do oficerów — My się porachujemy — czerpnął garścią złota i dał szlachcicowi — To dla ciebie — Szlachcic podziękował, westchnął, aż trzy mu w oczach stanęły — Chwilkę rozmawiał z Pułkownikiem po cichu, Kologrywów pokręcił głową.

— Ja zaraz idę, a ty ruszaj. Tam koło Rudeńki zejdziemy się.

Kiedy ów szlachcic odjechał, a moskale stali gotowi do obrodu, jeszcze raz przykazał denczycykowi żeby pilnował furgona jak oka w głowie, mówiąc: to nie *kaziennie* (skarbowe), ale moje; saterł ręce, obrócił się do dwóch majorów.

— To chwyt ten Rewucki.

Właśnie w tej chwili niedaleko Stochoda, za czarnym laskiem, stali polscy ułani; szwadrony rozwinięte w kolumnie pułkowej, groty spis przyłożyły się nad uszy końskie a proporce muskały końskie szczeki; ułani w pole okiem wypatrują, czują się jak szczerwacz na lisa.

Koło mostu na Stochodzie kilku ludzi się snuje: to na moście stana, to na most wlezą; do ucha dołatywało jak tarcie piły,

jak siekiery stuknięcie i wszystko ucichło, a ludzie w las się powołęśli jak cienie nocy, i w lesie znikli.

Już słońce dobrze rozświetliło na niebiosach, ptaki gwarnie świegotały; ranny wietrzyk ściepiał, a na polach nic widać nie było. Pan Kwaśniewski już się nudził, pomrukiwał do swoich—
E wać! wyprowadził nas w pole; szlachcic bestja, Cześnikowicz, jakiś pludra niemiec; nauczę łyka — aż tu ułan z po za lasu przybiegł :

— Idą !

Kwaśniewski po za las poskoczył, stanął, patrzy: idą moskale.... długim sznurem, idą bezpiecznie, bo na polach ni żywój duszy niewidzą.

Kwaśniewski dowódczom szwadronowym podawał rozkazy, a sam stanął przed naczelnym szwadronem i czeka.

Pierwszy moskiewski bataljon już mijał ułanów, a drugi na pośeć im nachodził, kiedy Kwaśniewski pokręcił węża i zawołał :

— Baczość ! szwadron w lewo ! klusem ! suń się naprzód!

W mig klusem szwadron pociągnął się na wskos w lewo, i odkrywał przed sobą czyste pole.

— Na prost !... cwałem ! — suń się naprzód !

Konie zapruły ziemię kopytami, bryzgi lecą pod niebiosa, ziemia jęczy i tętni; chorągiewki furkoczą, a dzikie hura ! hura ! brzmi w powietrzu.

Drugi batalion moskali duchem w czworobok się ustawił, a pierwszy prze na most. Most zakrechał i zawalił się z moskalami, a z lasu gęste strzały huknęły.

Z czworoboku rotowym ogniem powitano ułanów, a oni na odpowiedź ostrogami konie naparli, spisami dźgnęli w czworobok, i końmi tam wskoczyli. Konie kopytami mieszają moskali na ciasto, ułani kolą spisami, szablami sieką, a dziko krzyczą. Moskale bronią się i jęczą, i o życie proszą. Kwaśniewski woła — Ej Wac! na honor Ojczyzny, bij szelmę, bestję — i sam rąbie.

Podhorodeński z powstańcami z lasu wyskoczył. Poleszuki podkocili świtki, w brod przebrnęli rzeczkę, we łby moskali siekierami ciukają i palą do nich ze strzelb, jak myśliwi do kaczek.

Niewystarczyłoby czasu na przepiewanie pięciu psalmów pokutnych, tak się prędko lackie dzieci z moskalami uwinęły. Większa część wrogów trupem leży; niewiele rannych, a jeszcze mniej zdrowych przy życiu zostało. Ułani zbierali się w szyk, a powstańce oporzędzili trupy z pieniędzy i z cacek.

Pułkownik moskiewski zginął w obronie furgonu.

Po skończonej bitwie Kwaśniewski rzecze do Podhorodeńskiego — Na honor Ojczyzny się zaklinam, że aż lubię takeśmy się popisali; to niemców pludrów pieniądze! połowę weź Wac sztyftowanie powstania, daję jedną część moim ułanom, drugą zaś powstańcom oddać. Tęgie bestje, smoki! jak mi Bóg i Ojczyzna miła. Ja tego niewiem czyje to pieniądze, zabraliśmy to nasze, i basta. No chwat ten Rewucki.

Podhorodeński oprócz powszechnego działu, nagroził osobno szczęściu balarzy co most podrąbali. Chłopstwo krzyczało — Niech żyje Polska, chodźmy jeszcze na Moskali!

— Na honor Ojczyzny wam się zaklinam że pójdziemy. Ja jadę i powiem temu pludrze, niech nas puszcza, a my sami bez jego niemców i Bagrationa i Ertela i Tormansowa zgniemy na zgniłe jabłko — i mruknął do siebie — Ten Rewucki to łepska bestja, jak mi Bóg i Ojczyzna miła takich mi dawajcie a dużo !

VI.

We Włodzimierzu, Feldmarszałek Szwarceberg, opasły Niemiec, przyjmował poselstwo Łuczczanów ; ale przyjmował ich po odwiedzinach, niestety ! Polaka, dobrego imienia z ojców, który stał się podłym sługą moskiewskiego cara, wroga Polski, i przywiózł Niemcowi w darowiznie faszki, nie z masłem i serem, ale ze złotem wydobytym ze skarbu pani Branickiej, moskiewki z rodu, a żony zdrajcy. Szwarceberg darowiznę przyjąwszy odpowiedział : — « Mój kajzer a twój car, to bracia ; kruk krukowi oka nie wykołe ; — ale spojrzal na faszki ; było ich trzy, i dodał : — ale trzeba więcej. — Niemiec pomyślał nawet sobie po żydowsku : kiedy być szelmą to przynajmniej za dobre pieniądze.

Łuczczanów przyjął, ale ci mu złamanego szelęga nie przywiezli, oświadczyli tylko swoje chęci wzięcia się do bronzi kochaną ojczyzną ; polskim obyczajem nakłaniali się mu, nagadali

grzeczności tysiącami i o rozkazy prosili. Niemiec jak pudęł zaślinione wargi wykrzywił.

— No, to panowie przysięgajcie na wierność naszemu kaiserowi Francowi, on Polaków kocha.

Panowie szlachta wówczas, choć grzeczniej, ale butnie odpowiedzieli: że chcą mieć Polskę z królem polskim swoim, nie zaś szukać obcego pana; rzucić jedno jarzmo a sadzić karki w drugie. Pan Sokołowski nawet pomyślał, ale nie powiedział: wymieniałby stryjek za siekierkę kijek. Nalał nam sadła za skórę moskal, ale i Czerwonorusinomu niemiec taką nalał sadła za skórę. Moskal sobaka a Austrjak pies.

Szwarcemberg butnej postawy Łuczczanów trochę się załkął; zaczął tedy jak zajac zaskakiwać: mówił że nie może nic stanowczego wyrzec bez rozkazu cesarza Napoleona; nawet panów obywateli głaskał obietnicami żeby wstrzymać powstanie. Oświadczył, że pójdzie naprzód za Styr, jak tylko dokładnie dowie się o siłach Moskali i o stanowiskach jakie zajmują ich wojska. W końcu zaprosił panów obywateli na obiad.

Takoż polskim nałogiem, szlachta Łucka, obiadem feldmarszałkowskim udobruchała się; bo też to rzecz nielada! powiedzieć żonie, dzieciom, sąsiadom, a w braku tych, klucznicy albo żydowi arędarzowi: obiadałem z feldmarszałkiem, xięciem niemieckiego cesarstwa; on do mnie gadał, jak ja mówię do Wacpani, albo do Wacpana; bo wtenczas pan szlacheć napuszony swoją przygodą klucznicy dawał miano *Wacpani* a żydowi *parchowi Wacpana*. Koniec końców, że szlachta wstrzymała się z ogłoszeniem ogólnego powstania,

a szatnęła się żeby dostać wiadomości o sile moskiewskiego wojska i jego stanowiskach i to jak najdokładniejszych.

Wieczorem, w jednej z karczem miasta, widziano pana Szymona Sokołowskiego rozmawiającego z owym szlachcicem Rewuckim, który także zjawił się we Włodzimierzu. Po tej rozmowie szlachcic pojechał drogą do Łucka, a Sokołowski wracał do Kościuchnowki.

Nazajutrz dzień, przybył do Włodzimierza Kwaśniewski z niewielu jeńcami i z wieścią o zwycięstwie, przybył także i oberst-lejtnant Bartolomeo ze swoimi czaraparami.

Po rozmowie ze Szwarcebergiem, oberst-lejtnant ubierał swoich czaraparów na nowo, a Kwaśniewski sierdził się. — Jak mi Bóg i Ojczyzna miłe, niemiec pluder zdradza; nie chce mnie puszczać od siebie. Otoż to na niemieckie ręce powierzyć sprawę polską! Nagadałem ja mu nagadałem; jeżeli ten Hempel wszystko mu powiedział!... To bieda że człowiek tego szwargotu nauczyć się nie może!... Przynajmniej pieniądze niemieckie pójdą na sprawę Polski, dla nich jak w studnię przepadły.... Ha! umarłego z grobu nie wracają.

VII.

W staro-wołyńskim grodzie, w nadstyrzańskim Łucku, miał główną kwaterę moskiewski generał Tormansów. —

Mnóstwo tam moskiewskiego żołdactwa, dzikich tłuszczy z Sybiru i z Azyjskich krain. Car moskiewski stawia *banco* siły swojego cesarstwa przeciw potędze dotąd wszystko-możnej cesarza Francuzów, a moskale choć mnodzy i dzicy spotulnieli jakoś; jak mogą hołubią do siebie Lachów, a sami jak na wylocie w ciągłym strachu. Zwyczajnie, w obcej zagrodzie złodzieje. I dzieci krzykiem, i baby kociubami by ich wygoniły, gdyby tylko w rzeczy porozumiano się.

Jenerał Tormansow rozpatrywał karty jeograficzne i czytał rozmaite doniesienia, kiedy wszedł młody porucznik Kanczajałow, ulubiony adjutant jenerała. Kanczajałow był rodem Gruzjanin, ze znamienitej Imertyńskijskiej rodziny. Zmuszony służyć w carskiem wojsku, ale pod barwą moskiewskiego mundura, żywił gruzijskie wolne serce. Bagration pokrewny młodego gruzińca polecił go Tormansowi, i ten go pokochał, bo to był rodzimy moskal; przechował w swoim sercu wiele sławiańskiego. Porucznik stanął przed nim :

— Wasze prewoschodytelstwo, ten szpieg polak chce was widzieć. — Widać że z odrazą wymówił te słowa.

— Jaki? ten leśniczy białowiezkiej puszczy? Rewucki?

— Ten łajdak.

— Niech przyjdzie. — i jenerał nieskarcił zniewagi swojego przybocznego.

W przedpokoju stał Rewucki, ponury jak mroczny dzień jesieni; czasami dumnie spojrzął i przyśmiecnął się z zadołnieniem, ale częściej wzdychał. — Wszedł Kanczajałow.

— Pójdź do jenerała — i ręką na drzwi jak psu wskazał.

Zatrząsł się Rewucki, zatoczył się nawet w chodzie jak pijany, ale skinął głową i poszedł.

W tejże samej chwili wszedł obywatel Łuckiego powiatu, tenże sam co woził faseczki ze złotem Szwarcebergowi. On narzekał na losy Polski uwodzonej przez Napoleona a słysząc nie otwarcie ale nikczemnie wrogowi łackiego imienia, I Gruzinięc pocieszał go i witał dłonią przychylności.

Po chwili Tormansów zawołał Kanczajałowa, i kazał mu iść do swojej osobnej kancelarji, sprawdzić i spisywać rozmaite wieści przez niego przywiezione, a sam rozmawiał z owym obywatelem Łuckiego powiatu, którego Łuczczanie zapierali się jak parszywój owcy.

W kancelarji, Rewucki kociem okiem pozierał na raporta urzędowe o stanowiskach i siłach wojsk Ertela, Bagrationa, Tormansowa i innych, rozrzucone między nawalem papierów, a sam opowiadał obszernie o stanowiskach wojsk Szwarceberga, o przygotowaniach i ruchach na Litwie. Kanczajałow podwakroć mu spojrział w oczy. — I ty Polak?

Rewucki milczał a swoje mówił. Nareszcie adjutant wstał. — Piszy sam — i chodził po komnacie, parę razy wyszedł i wrócił a przy odejściu Rewuckiego jeszcze raz pogardliwie powtórzył: — I ty Polak?

Rewucki zębem zgrzytnął. — Polak jestem. — I obadwa zamilkli, ale zmierzylili siebie okiem.

Jeszcze trzy albo cztery godziny było do zachodu słońca, kiedy w domu marszałka Lipskiego, w jednej z tylnych komnat, aszedł się Rewucki z ową młodą niewiastą, która przy-

jechała do Łucka z Kołodziejów a panią Chorążyną. Rewutki przyszedł cichaczem furtką od ogrodu.

Młoda niewiasta wsparła głowę na dłoni, w oczach łzy a na twarzy damanie. Kiedy wszedł Rewutki, rzuciła się mu w objęcia.

— Mój mężu ! mój mężu !

— Moja żono !

— Czy już koniec ?

— Nie jeszcze.

Moja luba — tu wyjął wiązkę papierów — jedź z tém do Włodzimierza, tam w karczmie Icka, oddasz panu sędziemu Konopackiemu, on na to czeka.

— A ty ?

— Ja jeszcze zostanę, jutro mają przyjść ważne wieści, pojutrze będą z tobą.

— Jedź dziś; tyś dosyć i tak zrobił.

— Nigdy dosyć !

— Mój luby, mój drogi, ty się gubisz ! — i ramionami ucałowała mu się na szyi. — Jedź ze mną, albo ja zostanę z tobą.

— Żono, puść mnie. Bóg nam dopomoże, nagrodił ójezyczna.

— Ojczyzna ! — smutnie odrzekła.

— Żono, czy ty nie kochasz Polski ?

— O ! kocham ! kocham ! ale i ciebie kocham !

— Moja jedyna, kiedy ty mnie kochasz to jedź. — Uściskał ją i ucałował, a łzą gwałtem cisnącą się do oka mył jej piękne lice, jakby łzą smutku chciał zmywać smutek ; a tak

serdecznie błagał, że ona załamała ręce, zaszlochała, i ze łkaniem wymówiła :

— Pojadę, pojadę.

Jedną i tejże samej chwili z zastawy Łuckiej na długi most wysłany słomą i polany smołą dla przedszego zapalenia wjeżdżał koczyc z owym obywatelem co woził Szwarcembergowi faszki ze złotem, i bryczka z młodą panią Rewucką. Obadwa powozy dońskie strażę przepuścili; taki był rozkaz. Obywatel patrzył na nowe faszki i uśmiechał się, młoda niewiasta cisnęła dłoń do serca i łzy roniła.

Nazajutrz dzień, ów obywatel powrócił, spiesznie się udał do Jenerała Tormansowa. Tormansow był pomieszany, wydał rozkazy groźne, i wnet okuto w kajdany Rewuckiego; on się nie bronił; smutek mu dręczył serce, ale duma osiadła na twarzy. Zdawałoby się że te żelaza przydały mu godności, bo hardem okiem spozierał na moskiewskich zbirów.

Tormansow wydał rozkaz wieść go do Żytomierza, a młody Kanczajałow przyszedł do więźnia, swoją dłoń, jego rękę okutą w kajdany uściskał. — Ty Polak! Bagration mój krewny, cesarz dla niego zrobi, bądź spokojny.

— Ja spokojny.

— Niech Bóg czuwa nad tobą.

— Dziękuję, niech czuwa nad Polską!

VIII.

Czas płynął i rzeczy ludzkie się zmieniały. Szwarceberg kupiony złotem pani Branickiej, zmitrzążył powstanie Łuczczanów, sam się cofnął, a Moskwa załała Polesie wołyńskie. Godlewski namiestnik Podhorodeńskiego z częścią powstańców poszedł do Dąbrowskiego, inni po domach się rozjechali, czekali lepszych czasów, pomyślniejszych okoliczności. Napoleonowi nie szło po myśli, a Moskale otuchy nabrali, i a zarazem rodzimój, dzikiój srogości.

W Żytomierzu gubernatorował podówczas Grek Komburlej; bez czei i wiary, zwyczajnie podły cudzoziemiec w carskiej służbie. Przed nim stawiono Rewuckiego. Rewucki na wszystkie zapytania odpowiadał śmiało i hardo :

- Ja to zrobiłem.
- Ty zdrajca! maszennik!
- Ja Polak.
- Ty cara zdradzites!
- Polsce służyłem.
- Car twój pan!
- Wróg Polski.

Greki na uwięzionego człowieka wpadł i pięściami go tłukł, a on z pogardą potrząsał głową :

- Ja mam kajdany.... — i wstrząsał niemi.

— Rozstrzelać maszennika ! wyprowadzić go won ! — i wydał wyrok rozstrzelania.

Surowy wyrok śmierci rozgłosił się po Żytomierzu. — Dwóch obywateli ośmieliło się pojsć do Komburleja i mówić z nim. Jednym był Tadeusz Czacki, Starosta Nowogrodzki, ów wielki mąż Wołynia; drugim Filip Olizar, Podczaszy Litewski, ta dusza staropolska. Z godnością zeszli do prośby żeby ocalić życie Polaka; a kiedy prośbę nie mogli wskórać, pan Starosta Nowogrodzki rzekł :

— Panie gubernatorze, pamiętaj że prędzej czy później krew za krew.

— Jak to? wy śmiecie mi to mówić !

— Tego powiedzieć nie bałbym się i Cesarzowi.

— Jak to ?

— Bo Cesarz sprawiedliwy.

Nadarmo były rzucone te słowa, Grek swojej woli nie zmienił.

Dzień był jasny, słońce świeciło, jakby to były jakie uroczyste gody. Siła moskiewskiego wojska i konnicy i piechoty, nawet harmaty, wyszło za wilskie rogatki, i lud różnej płci i wieku tam biegł. Między wilskim a czerniechowskim szlakiem w koło stanęło wojsko a lud z dala patrzył. Drążkami i koczami zbiegli się czynownicy moskiewscy; był tam i Komburlej.

Między lasem bagnetów, piaszo, okutego w kajdany prowadzono Rewuckiego. Obok niego szedł ksiądz. On spokojnie z kapłanem bożym rozmawiał, a na świat swobodnie, dumnie

poglądał. Raz tylko się zasmucił i do księdza przemówił : —
Ojcie pamiętaj.... moja żona.... — łezkę uronił, i tój łezki
przed ludźmi i przed Bogiem się nie wstydził.

Już stanął na miejscu śmierci, tuż nad swoim grobem.
Rozkuto mu kajdany, on wolnie się przeciągnął ramionami,
odetchnął. — Chciano mu oczy wiązać, on zasłonę zerwał :
— Pozwólcie niech przy śmierci patrzę na polską ziemię.

W tém tumanem zakurzyło na Włskim szlaku, dzwonek
jak pijany dzwonił, konie na rozparcie goniły ; kurjer przy-
bieżał, skoczył z kibitki, i gubernatorowi oddał w ręce jakiś
papier.

Milczenie szerokie roziało się po całym tém wojsku, po ca-
łym tym ludzie : a było takie, że słyszećby można trzepotanie
ptaszego skrzydła w powietrzu, brzęczenie muchy.

Komburlej zmarszczył się, zbladł, zadrzał, zmiął papier i
krzyknął — Strzelaj.

Rewucki dłoń przyłożył do serca : — Tu, w polskie serce !

Oficer kazał dać ognia. — Dwanaście razy strzelono, dwa-
naście razy trafiono więźnia, a żadna kula w serce go nie tra-
fiła : padł na ziemię i tarzał się we krwi własnej, i wołał : —
Żono!... Polsko !

Dziki głos Komburleja wrzasnął : — Kolbami dobić ! —
I żołdactwo kolbami głowę rozbijało więźniowi. Potém w wy-
kopany dół włożyło na pół żywego jeszcze i ziemią zasypało.—
Wojskowi i lud od okropnego widoku odwracali oczy, a serca
ich krwawiły się zniewagą i chęcią zemsty.

Już ruszano z miejsca, kiedy nadbiegła druga kibitka; w nią

była niewiasta młoda, i młody moskiewski oficer. Kanczaja-
łow wyskoczył z kibitki i głośno krzyknął :

— Cesarz przebaczył.

Komburlej odjeżdżając mruknął : — Ale ja, nie.

Lud głucho zaszemrał : — Zapóźno ! już nie żyje !

Młoda niewiasta oczy zakryła i boleśnie wrzasnęła : — Li-
tości ! pomsty !

Lud korowodem zawył : — Pomsty ! pomsty ! — Wojsko
milczało i bronią brzęknęło.

W kilka niedziel później smutny orszak ludu prowadził ciało
zmarłej pani Rewuckiej na cmentarz. Kibitka pocztowa wiozła
Kanczajałowa na Kaukaz pod szablę Czeczeńca. U Kumberteja
był wielki objad na obchodzenie łaski cesarskiej za przysłanie
mu orderu świętego Andrzeja. Cesarz nie gniewał się za nie-
wykonanie wyroku przebaczenia ; nagroził przestępnego zbi-
ra. To sprawiedliwość carska !! Kiedyś, kiedyś przyjdzie spra-
wiedliwość Boża ! —



ŻYTOMIERZANIE 1812.

Smutho, tęskno w kozaczéj krainie. Orzeł wzleciał het pód niebiosa i tam wiatry goni; kozak nie wsiadł na koń i po stepach wrogów matki Polski nie ugania. W dzień biały, psy korowodem jak płaczki wyją, a kozacy nie hukną wrzaskiem: do broni! na koń! Król Jegomość kazał... a więc: Sława Bogu! pohulajmy za króla, za Polskę!... A tak to jednak bywało.

Teraz wsza Ukraina cicha, pusta, jak mogilnik kozaczéj sławy, niepomarléj, ale uspiónéj snem głébkim, długim. Poszeptami tylko z wiatrem pogaduje: zjawi się, o zjawi się Król Jegomość, i kozacka sława ze snu się obudzi, i Polska ze snu wstanie!... Tak będzie jak dawniéj bywało.

1.

Nad Hujwą rzeką, stał domek ubogi, ale białą gliną olepiony, ale gładką kalenicą pokryty; jakby jasnym weselem mówił do każdego oka: we mnie szczęście i swoboda mieszkają.

I szczęście tam mieszkało.

Trzech lat jeszcze nie upłynęło, jak Jan Gorajski dziedzic sioła ożenił się z Marjaną Hoholówną, i Bóg ich małżeństwo pomógł dzieciną.

Słodko płynęły chwile życia, zwyczajnie miłością tkane. U ciemno-okiej Maryni, był zawsze na podorędziu uśmiech przymilenia dla męża a pieszczota macierzyńska dla dziewczyny, córeczki jedynaczki. Drobniutka Olesia, jak aniołek w raj do Boga, tak ona ku rodzicom wyciągała rączkę; to płaczem, to uśmiechem na przemiany wabiła ich do siebie, i Jan miał twarz pogodną, wesołą. Czasem tylko harde czoło zasunęło się zmarszczkami gniewnego smutku i w oku żarzył się dziwi zapal i światło do niego gwałtem się cisnęła — Czy to ślady dawnych napiętności obudzonych przypomnieniem z uspienia?.. O nie!... Świat życia Jana nie był steroki; dusza myślą biegała po nieznanym obszarach, ale serce rozhasało się po krajach napiętności. Wychowany w staropolskim szlacheckim domu, zaczął i skończył nauki u XX. Bazyljanów w Lubarzu, i stamtąd wyniósł bogaty zasób enót chrześcijańskich i polskich. Ojcowie sławiańskiego zakonu, nauczyli go nie oddzielać jednych od drugich. Oni to słowami wiary i miłości leli w jego duszę święte prawdy: czcij Boga, miłuj bliźnich; służ kościołowi świętemu ale służ zarazem i Ojczyźnie — i te słowa jak kropla wody po kropli spadające na kamień, wymyły w sercu młodzieńca uczucie powinności. Polak i chrześcijanin jestem — a tym uczuciem rozdmuchiwał nadzieję: — i zbawię duszę, i Ojczyźnie się zasłużę...

Bardzo młodo pokochał Marynię, ożenił się i żył na wsi; dusza i serce jego nabyły hartu prawego uczucia. O jego sercu nie można było powiedzieć: to zwaliska Bóżej budowy! Szatan ich nie dotknął; budowa Boża miłością i kochaniem krzepiła się z dnia na dzień.

Skądże więc te posępne chmury smutku na czystém tle pogody? Oto rodzime lackie dumki: ja Polak jestem, a Niemiec i Moskal dzierżą polskie kraje prawem zdrady i przemocy; ja Polak jestem, a mój kark jarzmo niewoli gniecie, i bicz chłosty wsi nademną. Zapyta mnie kto: kto ty jesteś?... Polak, poddaśny cara Moskwy; Polak, poddany króla pruskiego; Polak, poddany austriackiego kajzera. I jakże po takiej odpowiedzi człowiek od sromu nie oślepie, nie oniemieje, jeśli polskie serce w nim bije, kiedy wspomni jak Żółkiewski wodził jeńców carów do podnóżka Króla Jegomości polskiego, jak pod Wiedniem szabla lacka zbawiła niemców od bisurmańskiej niewoli; jak Xiążęta na Brandeburgu na kolanach składali hołd lenny Piastom i Jagiellonom, prawym panom Polski!...

Jan Gorajski po takich dumkach, w niewielkiem siole, włościanom, sługom, żonie, dziecinie nawet, nie śmiał hardo spojrzeć w oczy; uciekał na ustronie, koniem biegł w stepy, i tam bolał nad każdą godziną straconą w nieczynności: złorzeczył, niewiedzieć komu, i bawił się starą dumką kozacką:

Ja zaklątem się Królowi Jegomości, że czart moskal nie uciecze.

Po stepie rozglądał, czy kto nie bieży z rozkazem do króla, wystuchiwał, czy gdzie rozgłos nie ozywa się: w imię króla do broni! na koni! — i nikogo nie wypatrzył, żadnego rozgłosu się nie dosłuchał, a boleść targała myślą, a srom ołowiem ciężył na sercu.

II.

Było to roku 1812: Już cesarz Francuzów wypowiedział wojnę carowi Moskwy, a zasłych o niej doleciał i nad brzegi Teterowa. Choć w Żytomierzu pełno carskiego żołdactwa i carskich zbirów, jednak imię Ojczyzny w myślach i na ustach wszystkich żytomierzanów, bo polskie serce za łada iskierką nadziei gotowe płomieniem buchnąć. Snadniej wynaleśdź drzewo na oczakowskim stepie, jak Polaka któregoby duch bieda przygniotta, albo strach serce zastudził w uroczystej chwili porwania się do broni za Ojczyznę: Każdy, taki śmiały, taki ochoczy, jak dziecko które nigdy ani widziało, ani słyszało co jest niebezpieczeństwo; albo jak śmiałek, u którego niebezpieczeństwo jest powszednim chlebem, nałogowym trunkiem.

W Łuce, pani Górajka siedząc niedaleko kołyjski dzieciny, pończoszkę dla niej robiła, a bezustannie okiem rzucała to na malutkę Olesię, to na męża. Dziecina we śmie się uśmiechała, widać myślą aniołka snuła sny aniołka. Jan nie był posępny jak to czasami bywało, ani wesoły tém domowém szczęściem, tą błogością sobie zwyczajną; ale hardy zapal strzelał mu z oka,

bulaszca przechwałka igrała po twarzy. Podobny był do dawnego kozaka, kiedy wyjeżdżał na pohulankę na Krym, za Dunaj; albo do dzisiejszego, kiedy przyjdzie tu do głowy, zanućć starą pieśń o dawniej kozaczej sławie. Jakby umyślnie odwracał oczy od żony i od dzieci; niecheiał lubości kochania stawiać na harc z wojenną dobrowolą kozaczą.

Sród tych dumań wszedł wierny sługa Harasim.

— Ojcie serdeczny, przyjechał posłaniec od Pana Wojakiego z Żorokową.

— Cóż przywiózł?

— Nie wiem co, ale chce z samym Panem gadać.

— Niech przyjdzie.

Po chwili stanął w komnacie Bazylek, najpoufalszy sługa pana Wojakiego, rzucił okiem na okno i oddał list Gorajskiemu, ale z takim ruchem, jak gdyby to wręczenie chciał ukryć przed wzrokiem samej Pani. Gorajski przeczytał,

-- Bazylku, cóż tam?... i zaciął się w mowie.

— Pan kazał przywieść odpowiedź.

— Zaraz, zaraz. Héj Harasim!

Ledwie drzwi skrzypaneły, Gorajski zawołał:

— Kasztanka mi osiodłać natychmiast, a ty Bazylku jedź; ja sam może tam wprzódę będę od ciebie.

Kiedy Bazylek wyszedł, Marjanna wstała z miejsca i zbliżyła się do męża.

— Janie, cóż to jest takiego?

— Czytaj Marysiu.

Marysia wzięła list i czytała;

« *Panie Janie,* »

« *Znam WPana serce i gotowość do postug Ojczyzny. Nadeszła przecie chwila w której będziemy mogli bez zająknięcia powiedzieć: jesteśmy Polakami! Przyjeżdżaj WPan jak najprędzej. List ten posyłam przez mego Bazylka, co tak jest jak gdybym go posyłał przez samego siebie. Czekając z niecierpliwością WPana przybycia zostaję prawdziwym jego przyjacielem, gotowym do wszelkich postug.*

MICHAŁ GŁĘBOCKI,

Wojski Owrucki.

— O mój Janie, cóż tam jest takiego? — I rękoma objęła męża za szyję, a niepokój zamglit się w oczach.

— Maryniu, nie lękaj się, proszę cię. Ja sam nie wiem co się tam stało. Pan Wojski woła w imie Ojczyzny.

— Ty nie powrócisz!

— Co ci jest Marysiu? Coż mi się może stać u Pana Wojskiego? Chceszże bym nie szedł służyć Ojczyźnie?

— Nie... ale ty nas samych zostawiesz, a ja tak się hoję.

— Kilka godzin drogi, nad wieczór powrócę.

— Mój luby, ty mi wszystkiego niemówisz?

— Wszak widziałas że mi nie wzięcój od Pana Wojskiego nie nadesłano, a Bazylek nic nie powiedział.

— Ale ty wprzódzy wiedziałas?

— Jak ciebie kocham, nie; ale słuchaj, Marysiu... Polka i Polak zawsze i wszędzie powinni być gotowi do służby Ojczyzny i wszystko dla niej poświęcić.

W tém wszedł Harasiu.

— Pański koń osiodłany.

— Marynią, do zobaczenia się.

Pocałował ją w czoło; ona zalała się łzami.

— Powiedz do zobaczenia się Olesi, tak nie jedź.

Gorajski zbliżył się do kołyski i ucałował dziecinę.

— O! nie tak! nie odjeżdżaj spiacznej, hoby jej to wróżyło nieszczęście.

I obudziła malutkę.

Dziecina zakwiliła trochę, ale wnet rączką uczepiła się za twarz ojca i ciągnęła ją do swoich usteczek.

— Widzisz jak ona cię prosi: nie jedź, nie jedź.

— Nie płacz mój aniołku, do zobaczenia się Maryni.

Ucałował jedną po drugiej i wybiegł z pokoju, a żona wzięła za nim:

— Powracaj, powracaj.

A dziecina kwiliła: — Tato, tato.

On siadł na koń i z miejsca poskoczył, a za nim jeszcze brzmiały, tklivy głos Maryni: *Powracaj, powracaj*, i kwilenie dzieciny: *Tato, tato* — lecz w myśli mu była Ojczyzna. Parł konia, chciałby jednym susem przesadzić: ślasy i stopy i wody i parowy; chciałby odskoczyć od smutnego przecucia żony; chciałby wiedzieć gdzie i jak ma służyć Ojczyźnie. O! on miał serce tklive i duszę gorącą!!

W Zorokowie mieszkał Michał Głębocki szlachcic herbu Doliwa, pan i dziedzic mnogich włości, zagorzały polak, zacięty szlachcic. Pedogra nogom władzę odjęła, a on jeszcze gotował się siadać na koń, i wieśdz lackie rycerstwo do boju.

Miał wronego wierzchowca; co dzień po dwa razy siodłano go i przyprowadzono przed ganek. Pan Wojski patrzył nań przez okno i wołał na Bazylka:

— Bazylku! czapkę konfederatkę i karabelę, żywo mi chłopcze!

Próbował podnieść się z krzesła; w tēm strzyknęło w nogach, zakłuło w żołądku i cierpko znowu zawołał.

— Jawdocho, rumianku.

Bazylek przyszedł z czapką i karabelą, Jawdocha z filizanką rumianku, Wojski włożył czapkę na głowę, na prawe ucho; karabelą brzęknął i oparł o poręcz krzesła; wypił rumianek i tak ciężko stęknął jakby mu co w łonie się urwało; a kiedy zobaczył pomieszanie na twarzach przytomnych, kiwnął głową:

Nie z kijem się wyrwało,

Nikomu w łeb niedało.

Potem zwracał mowę do nadwornego lekarza Szylknechta

— A cóż tam piszą właścic gazety o Najjaśniejszym Cesarzu Napoleonie?

Zdjął czapkę i głowę się pokłonił.

— Piszą gazety że już wyjechał z Paryża, Jaśnie Wielmożny Panie Marszałku.

— Pfu, co mi W. C. Pan gadasz ! precz mi z tym moskiewskim marszałkowstwem ! *Mości Panie Wojski* ! to mój urząd. Król Jegomość Pan nasz miłościwy mi go nadał. Mospanie Strzemecki pójdź Waszmość do kantorka, poszukaj nadania.

Strzemecki, chorąży pińskiej brygady, na respekcie bawiący u Pana Wojskiego odszedł, a Wojski jeszcze sapał i nie mógł przyjść do siebie.

Po utworzeniu gubernji, szlachta w pierwszych latach obrała Wojskiego marszałkiem żytomierskiego powiatu. Wojski przyjął wybor, bo powiadał: trzeba wojować z huncwotem wrogiem jak można, a kto ma urząd to mu może łatwiej kurtę skroić. Chciał szlachtę do powstania podmówić i sam jej naczelnicyć ale to mu się nieudało ; musiał dać porękawicznego panom urzędnikom moskiewskim wartości czterech wiosek ukraińskich, żeby go nieposłano polować sobole i czarne lisy. Urzędnicy na śledztwie pokazali, że Pan Wojski taki niewinny od zarzutów, jak dziecko nowonarodzone; ale Wojski tak zniemawidział marszałkowski moskiewski urząd, że jak tylko go nim nazwano, zaraz autentycznie czarno na białem chciał dowieść że jest Wojskim Owruckim.

I teraz tak się stało. Szylknecht jak najpokorniej przeproszał, a Wojski zapewniwszy się z gazet że Napoleon nie przy-

był jeszcze do Warszawy, kazał wronego konia do stajni odprowadzić.

Wojski wierzył w gazety i powiadał : słowo nieszlacheckie to wiatr, a pismo każdego to grant; struk to święta rzecz, byle się nie dostał w ręce żyda albo przechrzty.

Moskalów nie cierpiał. Razu jednego Wicegubernator wołyński Kozumiakin, dowodził, że on spokrewniony z Butowiczami pokrewnymi Wojskiego. Na to się Wojski ofuknął.

— Co waśc gadasz ? U nas po polsku *koża* znaczy skórę, a *miakin* ten co ją gniecie; waścia ojciec, albo waśc sama może gnieliście skóry u którego z Butowiczów, czyli grzecińiej rzekłszy, byliście garbarzami u niego. Otoż to takie pokrewieństwo.

Na co odpowiedział Wice-Gubernator.

— Nie rozumiem po polsku.

I na tem się skończyło. A Pan Strzemecki bez opowiedzenia się Wojskiemu, posłał kilka fur legumin i rozmaitych wiktuałów P. Wice-Gubernatorowi, czem go tak ujął iż wszędzie rozgadywał : Pan Wojski taki czestny człowiek, taki polityk w swoim domu jakiegom ja nigdzie nie widział; nawet w stolicy w Sankt-Peterburgu. Bogiem i Carem wam się świadczę.

Pan Wojski po Bogu nad wszystko w świecie kochał ojczyznę, potem dopiero pamięć nieboszczki żony i swoje dzieci. Dla ojczyzny wszystko był gotów poświęcić i zrobić, ale nadzwyczaj miłował staropolskie rzeczy prawem boiem i zwyczajami ludzkiemi uświęcone ; dla tego też, według niego, nikt niemógł ani władać, ani rządzić Polską, tylko Król Jegomość;

chciałby wszystkich moskali, jak to mówią w łyżce wody utopić; uwielbiał poczciwość pierwszych konfederatów Barskich, a dla tego nie należał do Konfederacji, że się nie zawiązała z woli króla, i owszem przeciw królewskiej władzy; nie poszedł do Kościuszkowskiego powstania, bo tam wszystko robiono w imieniu naczelnika, nie w imieniu króla, i powiadał: Dla Polaka djabła warta ta nowość. Naczelnik najlepszy, to króll królewskie miano wsza Polska rozumie: to ojciec chłopków, pan szlachty. Lada szlachcic jak stanie na czele pięciu ludzi, to i naczelnik, a król tylko jeden w Polsce być może, jak jeden Bóg w niebie. Praojcowie nasi pod królami wojowali wrogów i dobrze żyli u siebie: róbmy i my tak, a będzie i nam dobrze.

W 1807 i 1809 latach pomrukiwał nawet na samego Napoleona, czemu Polsce króla nie dał.

— Mopanku, prawda, że kiedy koniowi co ma cztery nogi zdarza się potknąć, i człowiekowi o dwóch też samo może się zdarzyć. Bóg wie jakim Szwabom i Włochom nadawał królów, a nam narodowi wielkiemu, nic nie dał. Otoż to służy obcemu panu: szarga tobą jak psem i karmi ogryzkami jakichby i pies niechciał. Piękna mi rzecz! Księstwo Warszawskie, i niemiec za pana? Coby to nasi praojcowie z czasów Bolesławów, Jagiellonów, albo Batorego, na to powiedzieli? Pfu! bogdaj to djabli wzięli taką robotę. Nam trzeba całej Polski, od Bałtyku po czarne morze; od Odry po Nizowskie stepy; całej jaką kiedyś była. Mopanku, jak będziemy mieli króla naszego polaka, to i wszystko to będzie.

W 1812 roku Pan Wojski nabrał otuchy :

— Napoleon się pomiarkuje, i nam w głowach rozumu zaświta.

Taki był P. Michał Głębocki wojski owrucki, szlachec od praocjów, dziedzic i pan mnogich włości.

IV.

Nie było tam wiele gości w Zorokowie, Pan Wojski nie lubił dumnych narad.

— Te hała bała, mawiał nieraz, na nic się nie przydadzą. Sto butelek węgryzna pęknie; nabuczą, nakrzyczą jak chłopci w karczmie, nawet czasem i za czuby się wezmą, a pożał się Boże! nic z tego.

Byli w ową chwilę u Pana Wojskiego: Pan komornik Droweński stary i dawny przyjaciel, X. kanonik Pawłowski, Pan sędzia Wojnarowski z Kroszny i Pan marszałek herbu Prawdzic, a przytém chorąży Strzemecki. Zasiadli koło krągłego stołu. Na stole nie było ani pióra, ani kałamarza, ani papieru, ani kart, tylko przed każdym stał spory kieliszek nalany winem złotawem jak bursztyn a zsiadłem jak oliwa i trącącym myszka. Przed Panem Wojskim stała filiżanka z rumiankiem także złotej barwy. Popijali i gawędzili.

— Posłałem po Pana Jana mopanku, to zuch! — popił rumianku — bo młody.

— Tnę potnę Panie Michale , i myśmy kiedyś zuchy byli ; teraz już nie do tańca, a niebawem i do różańca się nie zdamy.

— Mopanku w starym piecu djabeł pali ; jeszcze pokazemy co to szlachta polska umie. Waszmość mopanku , na tém zjadłeś zęby, a u mnie to nowina. Mości komorniku, będę ciebie prosił na bakafarza — i znowu popił rumianku.

— Tnę potnę, prawda że się zęby zjadło, a djabli wiedzą po jakiemu. Prawdę to mówią : sięj na wiatr, to i urodzaj na wiatr pójdzie. Tnę potnę, tłukłem się za konfederacji ; pod naczelnikiem trzech synów straciłem, jeden mi tylko pozostał, a z tego wszystkiego tnę potnę dla Ojczyzny nic.

— Mopanku, a ja mówiłem : król nakaze konfederację, to ja tam pójdę. Król stanie na czele narodu, to ja stary zaraz tam ruszę ; inaczéj to pusta rzecz : wodę warz to woda będzie.

— Tnę potnę, Waszmość Pana prawda ; ale Mościpanie stało się, odstać się nie może. Tnę potnę nie czas zamykać stajnię kiedy konie wykradną.

— Prawda Mopanku ; ale kiedy się nowych nakupiło, trzeba zamykać , żeby i ich nie pokradziono. Ot nadzieja znowu błysnęła dla nas, korzystajmy.

— Tnę potnę, zgoda ! choć dziś na koń ! Powołajmy wszystkich do broni, w imie króla, do służby Ojczyzny.

— Ale w imie jakiego króla ? — odezwał się Xiądz kano-
nik.

— To sęk — pomruknął młody marszałek.

Sędzia wypił wino , zapewne szukał prawdy na dnie kielicha :

— Oto w imię króla, który będzie królem, jak wypędzimy Niemców i Moskali!

To było *dictum acerbum* dla panów szlachty. Ha... Et... Pfu... pobąkiwali, ale żaden nie chciał na to pozwolić, a nie wiedział jak zaprzeczyć.

Nareszcie X. kanonik głos zabrał :

— Ja duchowna osoba, Waszmość panom radzę, że nie zaczynać, tylko w imieniu widomego króla; to będzie w zgodzie i z kościołem świętym i z potrzebą krajową. Duchowienstwo was wesprze, kościół święty pobłogosławi; bo to nie będzie bunt przeciw istniejącej a nieprawej władzy, ale wojna w imię i na rozkaz prawej i widomej przeciw wrogom wiary i Ojczyzny.

— Tnę potnę, wielebny ojcze; tak mówisz jak Jan co to go Złotoustym zwali. Tnę potnę, jak duchowienstwo będzie z nami a ojciec święty nam pobłogosławi, nie tylko na miazgę zbijemy naszych wrogów, ale, tnę potnę, kacerzy szymatyków i bisurmanów nawet, nawrócimy na katolicką wiarę; bo to, już niech co chcą sobie mówią, a szlachcie polski za stą szablą macha, kiedy wie że to w imię Boże. O tak! tnę potnę.

Sędzia słuchał i na dno kielicha poglądał.

— Zapewnie, Xiądz. kanonik ma prawdę, ale co do potrzeb krajowych...

— Jak będzie król widomy, to nie będzie frymarki o koronę, waśni, bójk i całego tego paskudztwa co nasz kraj zgnbiło. Król Jegomość miłościwy każe, my będziemy słuchać; a z królem co rozkazuje i z narodem co słucha, nie masz rzeczy którejby dokazać nie można było.

Wojnarowski zabierał się na odpowiedź, ale Wojski mrugnął na Strzemeckiego, żeby nalał węgryzna w kielich, nie dał sakle szyschać, a sam wesa musiał.

— Co tu gadać na darmo, trwonić czas na sporach, tu trzeba robić. Xiądz kanonik tak nam powiedział jakby w książce czytał. Efekejów robić nie można, i co do mnie, przyznam się Waszmościom, że to wielkie głupstwo. *Konstytucja trzeciego Maja...* (Tu wszyscy pochyłili głowy na znak czci należnej) skasowała te frymarki, ustanowiła dziedzictwo. Sasi do korony się nie kwapią, bo jej szczerą krwią dokupywać się trzeba, i nie złotą ale cierniową nosić czas niejakiś: a to Niemcy. Xiąże Józef synowiec ostatniego króla nieboszczyka, (niech mu Bóg odpuści jego winy jako i nam) jest pośród narodu. Nie my obieramy Xięcia Józefa, ale z prawa mu się to należy.

Tu otworzyły się drzwi i wszedł Jan Gorajski. Po przywitaniach i uściskach wzajemnych, Wojski odezwał się.

— A cóż, jakże Waszmość myślicie? Mopanku czas drogi.

— My się zgadzamy — wszyscy odpowiedzieli.

— Tnę potnę, ale zaraz do roboty. Jak pokażemy że u nas jest ład i gotowość, to tnę potnę, i Xiąże Józef, nie będzie się wahał wydać rozkazu; bo inaczej, to dawnym nałogiem będzie my gadać i nic nie wygadamy.

— Prawda Mopanku; jak my swoje zrobimy, a on swego nie, to wtenczas jego wina, a inaczej to nasza: otoż do roboty. Kto tu z nas będzie starszy?

— Tnę potnę, a już ci Waszmość mości Wojski!

— Pana Wojskiego prosimy — wszyscy mu zawtórowali.

— Zgoda Mopanku. Xiądz kanonik tu starszy od nas, jako duchowna osoba. On nas pobłogosławi a my róbmy. Gdyby trzeba się było bić, starszeństwo należałoby się Panu komornikowi, ale teraz, to i ja zastąpię. Naprzód tedy, przeznaczam Pana Jana żeby jechał do Xięcia Józefa...

Tu zaturkotały koła zajeżdżającego powozu przed ganek i zaraz potem wszedł Bazylek z doniesieniem że Pan Szydlniecht przyjechał.

— Powiedz Mopanku, że ja zdrow jestem jak ryba, niech sobie odpocznie, a mnie da czysty pokój.

Skoro Bazylek odszedł, tak dalej mówił:

— Mopanku, pojedziesz do Xięcia Józefa jako nasz pełnomocnik. Powiesz że my tu wszyscy gotowi na jego rozkazy, ale na rozkazy jako od króla polskiego. Zaraz Pan marszałek pojedzie po wszystkich godnych obywatelach, wybierze dobrowolny podatek i takowy przeslemy do władzy. To jest rzecz konieczna, *sine qua non* mopanku, bo jest wyraźnem uznaniem władzy. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda!

— Ja zaraz wezmę się do tój rzeczy — rzekł marszałek.

— Tnę potnę, tak lubię, dziś nie jutro; od Pana Wojskiego zaczynaj.

— Ma się rozumieć. Dam dwa tysiące czerwonych złotych, to grosz wdowi. A teraz Xiądz kanonik nakaze duchowieństwu

przysposabiać umysły ludu z kazalnicy i ze spowiednicy do powstania, do usłuchania rozkazu prawej władzy.

— Dobrze Mości Wojski, tego mi kościół święty nie wzbrania, a uczucie Polaka nakazuje.

— Chwała Bogu, a teraz my wszyscy po sąsiedztwie się rozjedziemy, i każdemu bratu Polakowi szepniemy w ucho, aby przyspasabiał sobie konie, rusznice, groty do spis; upatrywał i przyhołubiał do siebie, to słowem to datkiem, ludzi zdolnych do broni; popów także żeby nie zaniedbywał głaskać i wszystko miał na pogotowiu, a za pierwszym rozkazem w imieniu Króla Jegomości zrobimy z Moskalami, jak mi to moja córka czytała w książce: że Sycyljczycy zrobili u siebie *nieszpory sycylijskie*; trzeba żebyście waćpanowie tę historyjkę przeczytali, to ciekawa i wielce nauczająca rzecz. Albo ot mopanku, ja wam powiem, że te nieszpory znaczą: wybić, wytłuc, wyrznąć moskali wszędzie w jednym umówionym razie.

— Tnę potnę, to to miłe takie nieszpory! Jak prosił na wielkanoc, nakolemy moskali i zaśpiewamy im *requiescunt in pace*; a co nie wydusimy z nienacka, to wybijemy w czystym polu. Tnę potnę, a co Panie Janie?

— Za zaufanie panom dziękuję. Rad jestem i szczęśliwy — zapał mu iskrzył się na twarzy i tamował słowa.

— Mopanku, kochany Jaś, ojcowska dziecina. Tylko powiedz, że my nic więcej niepotrzebujemy, jedno królewskiego rozkazu. Podatek przysłemy i sami weźmiemy się do broni.

— Czy mam zaraz złąć jechać?

Wojski popatrzył mu w oczy.

— Jedź, pożegnaj żonę. Szlachcianka polska kiedy nie spanieje i na udawaczkę się nie puści, to popłacze trochę, ale nie wstrzyma męża od służby Ojczyźnie, owszem dopomoże, z domu nawet wypędzi.

— Teraz mopanku, my swoje róbmy, a jak Xiąże swego nie zrobi, to jego wina.

— Tnę potnę niech i on zrobi i my zróbmy. Niech nikt nie będzie winien, to będzie najlepiej. Boże dopomóż dobrej sprawie : uratuj Polskę!

VI.

I miesiąc, i dwa, i trzy i więcej ich upłynęło, a Gorajskiego jak niema tak niema. Żona oczy wypatrzyła, a męża niewiadać. Olesia zachrzyła od wołania : tato, tato ! a taty niemasz przy niej.

W Zorokowie wyglądają go także niecierpliwie. Xiądz kanonik snadno skłonił duchowienstwo do sprawy polskiej i kościoła świętego; marszałek podatek obywatelski uzbierał, szlachta żytomińska przysposobiła się w broń, w konie i w ludzi, i wszystko czeka tylko na rozkaz Króla Jegomości.

— Tnę potnę, rzecze komornik, nasz Jaś zagrzął jak kożyła w błocie. Jużym do téj pory i z Rzymu piechotą powrócił; tnę potnę, i *Agnus dei* przyniosł : a tu rozkazu nie masz, a czas bieży.

— Mopanku, odpowie mu Wojski, nie Pana Jana to winą; on nie zaspł sprawę, ja go znam. Nie zdaje mi się żeby Xiążę Józef miał pobałamucić... ale czas bieży.

I bieżał w samėj rzeczy. Napoleon wszedł z szarańczą różnójczyznego żoldactwa do Litwy, na Białorus; i nie było Polskiego króla coby rozesłał Litwinom i Białorusinom wici pospolitégo ruszenia. Panowie litewscy i białoruscy, szli na wojaczkę; ale et tak sobie, żeby wojować, jak wojowali Połady nad Ebreem, po włoskich, niemieckich i innych zamorskich krajach. Dąbrowski z garstką lackiego wojska szedł ku Bobrujskowi. Szwarcenberg z niemiecką niewiarą wkroczył na Wołyn, ale żaden nie niośł rozkazu królewskiego do powstania. Xiążę Józef, jako rycerz jaki, nie zaś jak król Polski, pod Smotenskiem walczył za sławę Cesarza Francuzów — O Janie Gorajskim ani słycho, ani wieści.

Już po wszėj Rusi trąbiono o zgorzeniu Moskwy i cofaniu się wojsk Napoleona. Już nie pod tajemnicą gadano o zdradzie Szwarcenberga; tylko dwóch ludzi nieuchciało temu wierzyć... Wojski i Komornik.

— Mopanku, Moskale lga jak szelmy; wszystkie nieprawda. Napoleon tu idzie, ja to wiem.

— Tnę potnę, kto bił to bije; kto uciekał to i ucieka. Tnę potnę, siadajmy na koń, jeszcze czas; a jak my pokażemy się gracko, to i Napoleon inaczéj będzie z nami śpiewał. Siadajmy i bez rozkazu! Tnę potnę, ja mówię...

— Jeszcze widzę Mopanku waszeć konfederata; czekajmy na rozkaz — Tu westchnął Komornik — Czekać, czekać, to djabła

warto; tnę potnę, bić zaraz to rozumiem. Ot tak Panie Michale, Waszeć *de jure* a ja *de hajda*; ale *verbum nobile debet esse stabile*, daliśmy sobie słowo to i czekajmy, ale daj Boże żebyśmy nie przeczekali.

W Łuce takóž czekano, ale ze smutkiem, z rozpaczą w sercu. Olesia nauczyła się powtarzać: niema tata; ty płaczesz Mamó? nie płacz, ja ciebie kocham.

Maryanna zmarnowała życie w tęsknocie i tak zapadła na zdrówiu, że treskliwy ojciec zabrał ją do siebie. Nie narzekała, ale żaloba wcisnęła się w jój serce; płakała męża, jakby on już był nieboszczykiem, i u Boga modliła żeby ją co rychlój z nim połączył.

Już o berezyńskiej przeprawie wiedziano w całym Żytomierzu, a w Zorokowie Wojski z Komornikiem jeszcze radzili jak tu powstać, i zgodzono się żeby wystać kogo do Napoleona.

— Tnę potnę, ja pojedę: zobaczysz Waszmość że się z nim rozmówię to po łacinie, to na migi. Tnę potnę kiedy idzie o Ojczyznę, to i z Niemcem człowiek się rozgała, a cóż dopiero z Francuzem.

— Czekaj Mopanku aż Napoleon tu przyjdzie — i laską szturchnął w środek karty jeograficznój, którą od niejakiego czasu wieszano tuż podle miejsca gdzie siedział Pan Wojski.

— Gdzie tam? tnę potnę.

— Tu Mopanku w Mozyrzu; do nas wyhulknie tamtędy. Za to ręczę.

— Tnę potnę, to siadajmy na koń. Mozyr, tnę potnę, pod nosem.

— To siadajmy Mopanku. Héj Bazylek!

Nim Bazylek przybiegł, pocztarski dzwonek zadzwonił na dziedzińcu, i razem z Bazylkiem ukazał się zasiadatel, ubrany w całą formie, w mundurze, przy szpadzie; skłonił się grzecznie ale z partesu.

— Pan Jenerał Gubernator pozdrawia P. Marszałka i donosi że Bonaparte sam oszukał Kozaków Płatowa i uciekł do Francji, a Francuzów nasi w puch wykłuli. Najjaśniejszy Cesarz posłał Płatowa aż do Francji, żeby przyprowadził w San-Peterburg tego maszennika Bonaparte.

Wojski niesłuchał, tylko powtarzał — Szelmo łiesz, szelmo łiesz!... Komornik wesa pokręcił — Tnę potnę i ujął za rękojeść karabeli.

— Niech Pan Marszałek czyta — dodał Zasiadatel, i wręczył pakę papierów drukowanych i pisanych.

— Łiesz, łiesz — i papiery odpychał. Poczzerwieniał jak burak, a kiedy przyszedł lekarz

— Szylknecht czytaj! zawołał.

Szylknecht czytał i potwierdził prawdę doniesień zasiadателя.

— Mopanku i ty łiesz, to i ty mnie zwodzić będziesz? — Podniósł laskę, chciał wstać z krzesła ale opadł w krzesło — Rumianku!

— Rumianku, trzeba Pana w łóżko położyć — rzekł lekarz.

— Tnę potnę.

Zasiadateł pomagał komornikowi i Szyknechtowi rozbierać Wojskiego. Kiedy Zasiadateł odszedł, Szyknecht rzecze :

— Ja Pańów chciałem ocalić ; wiedziałem o waszych zamiarach i z mojej to roboty ujęto Gorajskiego i odwieziono na Sybir.

— Mopanku ! szelma, zdrajca, Moskal..... i dalej słów mu zabrakło.

— Tę potęgę, tę uciąg — ozwał się Komornik i już dobywał karabeli.

Szyknecht krzyku narobił, Strzemecki wpadł z ludźmi i Komornik skończył tylko na pogroźce. Tak dawniej u niego nie bywało, ale starość nie radość ; przyjaciel był chory, a lekarz potrzebny.

Tejże samej nocy, Wojski po spowiedzi i ostatniem namaszczeniu ducha wyzionął ; powtarzając : — Biedny Jaś.... on nie winien.... Mopanku Króla trzeba.... a Polska powstanie.

Komornik na klęczkach przy ciele zmarłego przyjaciela odmawiał pacierze i do nich w myśli dodawał : — Tę potęgę, Boże daj Polsce króla. Tę potęgę, niech się sprawdzą słowa Wojskiego. Wieczny odpoczynek jego duszy a zmartwychwstanie Polsce.

VII.

W rok później, kiedy Pani Gorajska uprosiwszy u ojca pozwolenie, pojechała do Łuki na dni kilka, żeby tam popłakać

na mogiłniku minionego szczęścia, została wszystko smutno, tęskno, jak było po odjeździe męża. Zadumana, usiadła w oknie i poglądała na szlak ku Żytomierzowi idący. Stary Komornik przyjechał w odwiedzinę. Biedna niewiasta mało z nim mogła mówić, ale przy nim wolno jej było płakać. Małutka Olesia powtarzała tylko: niema tata, niema tata.

— Tnę potnę, przyjedzie, zobaczysz.

I dziewczynka skoczyła na kolana matce:

— Mamo, tata przyjedzie. Ot jedzie!..

Szlakiem trojka pocztowych koni taszczyła perekładnę, a taszczyła w cwał i w prost zawróciła ku dworowi.

— Tato jedzie! Mamo chodź— i biegła ku drzwiom, a matka łzami się zalała.

Powóz zajechał przed ganek. Olesia krzyknęła: Tato przyjechał!.. ale matka nie miała sił powstać z krzesła, patrzyła ku drzwiom, a łzy zalały jej oczy.

Komornik wybiegł ku drzwiom:

— Tnę potnę, Pan Jan?

— Janie!

— Maryniu!

I już oboje byli we wzajemnych objęciach.

— Tato, Mamo! Zawołała Olesia i uczepliła się rodzicielskich kolan.

Komornik się rozpląkał — Tnę potnę, dajcie pokój, będzie już tego.

A kiedy mu Jan opowiadał, jak go Baszkiry porwali pod samym Żytomierzem, jak go zamkniętego w kibitce posłano na Sybir do Omska i tam w więzieniu trzymano, i wypuszczono dopiero za ulaskawieniem Alexandra; jak go pytano o wiele wiele rzeczy, ale on nic nie wydał; jak go zawsze myśl trapiła że nie dotrzymał słowa i nie dojechał tam gdzie go posłano. Komornik mu na to:

— Tnę potnę, co się przewlecze to nie uciecze. Nieboszczyk Wojski przepowiedział: Będzie król, będzie i Polska! tylko tak róbmy, to jest tak róbcie, bo ja tnę potnę, już się tego nie doczekam, jak radził X. Kanonik, jak mówił nasz ś. p. Wojski. Boże świeć nad jego duszą. Tnę potnę, oni dobrze mówili, a jak król rozkaże, tnę potnę, my będziemy, albo wy będziecie dobrze się bili.

BITWA POD MOŁOCZKAMI

(OPOWIADANIE ŻYDA.)

— No i cóż tam słyhać panie Rebe?

— No, co słyhać? aj waj! wiele słyhać; aż strach gadać.

— I cóż takiego?

— Żeby Jasny Pan wiedział co tu się narobiło? aj waj!

— Mówźc Panie Rebe.

Na twarz podróżnego obywatela występowała coraz większa ciekawość.

— Jak tu gadać? to trzeba było widzieć co tu się stało; tego nikt nie wygada: ani Różynski rabin, ani ten żyd Chaim z Berdyczowa, co to Jasny Pan musiał o nim słyhać?

— Nie słyhałem nigdy.

— To niech Jasny Pan słyha. — Kiedyś temu dawno, jak był jakiś Xiążę wielki Pan, gubernatorem w Żytomierzu, nazywał się Szeremetów; przyjechał do Berdyczowa, tak nasi żydkowie przyjmowali jego, jak jakiego monarchę, i jeden

był taki bardzo rozumny Chaim. Kiedy gubernatorowi kahalni podawali, Jasny Pan wie, na srebrnym półmisku nie hamonowe ucho, ale same dukaty nieobrzezane, to Chaim jemu powiedział :

Pływa łabędź po oczerecie,
Kłaniam Panu Szeremecie.

To gubernator był bardzo kontent i uderzył jego w czoło taki dobrze, i powiedział. — Wot mienia łob!

— Cóż to ma za związek z tem co się tu stało?

— No, ja mówię że i Chaim gdyby żył i tu był, tegoby nie potrafił wygadać co się tu narobiło.

— Wygadajże Waćpan Paunie Rebe.

— Jaby chciał... ale tu, jak ja powiem?... — Obejrzał się do koła i podrapał w pejsy.

— Tu przecie nie masz nikogo. — Zbliżył się obywatel do żyda.

— To nie to, ale jak tu gadać, tu.... No jeśli Jasny Pan chce, chodźmy het na dwór, ja tam pogadam.

— Chodźmy!

Wyszli z karczmy, żyd pokazał ręką obywatelowi na ściany stajni.

— A widzi Pan, co to jest?

— Dyle powyjmowane.

— No dyle, aj waj! to wszystko się stało. Chodź Jasny Pan dalej.

Żyd zamilkł, ale z gry twarzy widać że myślał zbierał wspomnienia. Obywatel milczenia nie przerywał, i tak wyszli aż do kołowrotu. Żyd zatrzymał obywatela za rękę.

— A widzi jasny Pan, co tam jest daleko?

— Niewidzę.

— Jak to, Jasny Pan niewidzi wioski?

— Widzę Krasnopol.

— No, to Jaśnie Wielmożnych Marszałków; a widzi Jasny Pan co tu jest na prawo?

— Pola.

— A za temi polami?

— Nie wiem.

— No, to ja wiem; tam są rzeczka i błota, od samego Krasnopola, aż do naszej wioski — a takie grząskie — że i sam djabeł tamtędy nieprzejdzie — a na lewo?

— Pola.

— No pola, a za temi polami rzeczka i rudy, aż do samej Troszczy. A przed nami, widzi Jasny Pan jaka droga?

— Jak wszystkie drogi.

— Ale jakie rowy głębokie?.. chłopski koń nie przeskoczy, chyba pański, a po bokach drzewa; a tam niedaleczko mostek. Otoż to, tu się narobiło... aj waj!

— Mówże do djabła.

— Niech Jasny Pan poczeka trochę: ja gadam. Jasny Pan zna Zerebki?

— Znam.

— No ja tam pojechał kupić pszenicy u tych posesorzów

Jaśnie Wielmożnego Jenerała Korzeniewskiego. Jasny Pan ich zna.

— Słyszałem o nich.

— No, cztery chłopcy jak dęby, stawne jak buben za górami. Takie były zuchy, żyda wybić, w Rajgródku na jarmarku burdę zrobić, na cudzych gruntach gwałtem połować, a teraz źle się popisali: zostali w domu jeszcze gorzej jak baby przy kądzieli.

— Ale gadaj co się zrobiło?

— Ja od nich jeszcze pojechał do Tereszpoła, i powracał do domu, kiedy tu od czarnego szlaku, ni stąd ni z owąd idzie niby wojsko, a wszystkie na koniach. Ja sobie myślę: niech idzie, co to mnie szkodzi?... aż tu dwóch, dawaj za mną gonić; ja nie uciekał, oni mnie dogonili. Stój szelmo, parchu! — Ja stoję, nie jadę; czego wy chcecie Panowie Kozacy? (bo to byli Kozacy, nie ci moskiewscy, ale nasi, Jaśnie Wielmożnych Panów). — Jedź psie niechrzczony do naczelnika! mnie się strach zrobił, bo tutaj oni byli straszni, i ja jechał.

— Gdzież to było?

— Nie daleko Mszanieckiej karczmy; ale niech Pan słucha dalej. My podjeżdżali i sam naczelnik do nas wybiegł — a wie Jasny Pan kto to był?

— Jużci niewiem.

— To ten raby kapitan, Pan Cudnowskiej huty; ja jego zaraz poznał — to bardzo poczciwy Pan, i kto by się to spodziewał? Jak ja widział jego zinnową porę, to myślał, że on głupstwo zrobi i niedoczeka do wiosny: taki był słaby chy-

lak ; a teraz , taki chwata ! że to ach waja ! On mnie zaczął pytać : gdzie Moskale ? co ja słyszał ? Ja na wszystko jemu prawdą odpowiadał , jak na sądny dzień ; bo na cherym przysięgam , tak mi miło było widzieć to wojsko nasze ; a tam byli panicze z Korowińczyk , z Terechowy , z Halczyńca , z Kikirczówki , synowie Pana Ignacego z Wygnanki — i drugich dużo ; opyleni kurzem , już nawet poobdzierani , ale tak im wesoło patrzyło z oczów , jak gdyby to panicze jechali . Pan Kapitan powiedział : idź sobie , my tobie niemyślemy nic złego zrobić — I pewnie że oni nie myśleli nikomu złe robić , tylko Moskałom , i takim co im służą .

— Te Waćpan pojechałeś ? a z niemf co się zrobiło ?..

— Niech Jasny Pan słucha . Ja pojechał i zajechał do Krasnopola do dworu . Ja myślał sobie : Jaśnie Wielmożni Marszałkowie , to nasi sąsiedzi , a ich Tatko to był zuch Polak . Ludzie mówią , że jabłko od jabłoni niedaleko się odkaca . Jasny Pan ich zna , obadwa Panowie z wąsem pod nosem od dawna , a silni choćby do cepa ; takich urodziwych jak oni to i w gwardji w Petersburgu nie wiele . Ja tam zostałem młodszego panicza z Moskałówki , jego ojciec to był wielki wojak , i taki człowiek choć do rany przyłożyć ; no , myślał ja sobie , jak ja im to powiem , to to oni będą kontenci , zapewnię i podarunek jaki dadzą .

— I cóż oni ?

— Nic , nie chce się nawet gadać tego ; i nasi żydkowie na taką rzecz ledwięby się zdobyli . Niech Jasny Pan pozwoli , nie gadajmy o tém .

— Powiedz Waćpan Panie Rebe, ja nikomu niepowiem.

— A pewnie Jasny Pan niepowie? Dalibóg oni dobrzy, tylko nie porozumieli rzeczy: A nie powie Pan?

— Nie powiem.

— No, to ja im to mówię. A starszy panicz, natychmiast padł na kolana, i zaczął się głośno modlić, żeby Pan Bóg to nieszczęście od Krasnopola odwrócił.

— Jakie nieszczęście?

— Zapewnie naszych. Młodszy Pan już od roku pełnoletni, krzyknął: mamó chowajmy się, ja niechcę ich — jakby on był bachur pięcioletni — i, to nie szlachcic! A panicz z Moskalówki zdrów jak ryba, tylko co z konia zsiadł, zaczął się skarżyć że jego krzyże bolą; że mu się czyrak zrobił na plecach. Imość to poczciwa kobieta, ona na nich patrzyła. — Co wam jest takiego? to nasi idą! wyście Polacy; gdyby wasz ojciec żył, mogliłby się on ale wsiadając na koń. I prawdę mówiła, ho aż zapłakała trochę; ale dla paniczów to było jakby groch rzucać o ścianę. Imość swoje, a oni swoje. Skończyło się na tém, że Imość kazała przygotować śniadanie dla miłych gości, a ja sobie myślałem: i toż to Polska ma być z takimi bogatyrami?

— Cicho żydzie! wszyscy nie tacy.

— Jasny Pan niech się nie gniewa. Prawda, że wszyscy nie tacy, niech Jasny Pan słucha. Jeszcze ja niewyszedł z pokoju, kiedy nadlecieli tamci dobrzy panicze na koniach; jaćy oni byli zuchy, to aż miło pomyśleć. Starszy panicz zaraz ich przywitał.—Ja postanowiłem być księdzem, do niczego się nie

mieszam — młodszy rzekł : Ja tać tego nie chcę ; nieprzerobię mojej natury i dla tego z wami nie pójdę , a panicz z Moskálówki także mówił : ja bym z wami poszedł , ale taki mi się czyrak zrobił że żadnym sposobem nie mogę ; jak się wykuruję to was dopędzę .

Panicze powstańcy spojrzeli po sobie -- możeby byli co niedobrego im nagadali , ale spojrzeli na Imość płaczącą , i prosili ją o błogosławieństwo . A ona ich błogosławiła jak własne dzieci — Mnie żydkowi to tak się w sercu zrobiło , że gdyby był młody , to by był siadł na koń . A panicze nie siedli , tylko powtarzali : — My was podziwiamy , ale żałujemy zarazem . Ja sobie pojechał , całą drogę tak mi sumno było . Biedna Polska , jednych ma-takich zuchów , co to nie żał się Boże , żeby nazywali się polakami , ale drugich takich , co to niech Jasny Pan przebaczy , podszytych nierozumem , co to aż nie dobrze :

— Cóż powstańcy na to ?

— Panowie nic — to grzeczni ludzie ; ale kozacy , to zwyczajnie hajdamacy . Oni wołali na pana Kapitana : Ojczce , co Polsce po takich dzieciach , powieśmy ich ! mniej kilku dar-mojadów będzie na Bożym świecie :

— Dobrze mówili , ale nauka w las pójść nie powinna , cóż dalej :

— No , ja przyjechał do domu , a tu nowi goście . U mnie w karczmie moskale , a tyle ich co to ha ! piechota i uralce na koniach — Ich komendent mnie pyta . Jewrój widział ty miateżników ? — Ja zatrzymał się i niechciał mówić , ale on wziął mnie za kołnierza i wyprowadził ; ot tu gdzie ja z Jasnym Pa-

nem stoję. Widzisz ty pod Krasnopolem, to młatezniki stoją, ja wiem wielu ich jest, sto osmdziesiąt koni; a widzisz tam za Krasnopolem nasi idą: ot my ich weźmiemy we dwa ognie; wszystkich połapiemy, i poszlemy w podarku Gosударu Imperatoru. Popatrzył ja — prawda; z drugiey strony Krasnopola idą moskale i piechota i konnica — ale i powstańcy na koni siedli i zaczęli po polu się kręcić — komendant mnie nie puszczał, kazał stać koło siebie — i rozpowiadać kto ten, a kto ten? Ja gadał, ale sam nie wiedział, bał się żeby on mnie na wojnę nie poprowadził.

— A z moskiewskimi żołnierzami co się stało?

— No jak jasny pan widział te dyle powyjmowane — tak oni zasiedli w karczmie, jak w fortecy, i przez dziurę mieli strzelać na drogę — drudzy toż samo zrobili w małyńie i w chałupach — On koniecznie chciał wszystkich wystrzelać albo wyłapać — a uralców posłał na wieś żeby wybierali po chłopach postronki i dyby, do wiązania i zabijania powstańców — I on taki był pewny że to zrobi, jak Jasny Pan tego pewny że dziś dojedzie do domu.

— Djabła tam, czego można teraz być pewnym? ale i coś się stało.

— Nu, Moskale tu stali, a powstańcy tam po polach to w prawo, to w lewo ciągnęli się. Taki mustę robili, jakby to wszystko było na śnieżach, a komendant tak się złościł, po moskiewsku łajał: czemu oni tu nie idą, żeby ja mógł ich postrzelać — Niewiem skąd mi to przyszło, taka odwaga mi szepnęła do ucha: żeby ja do niego, do moskiewskiego komendanta, prze-

mówił, tak jakby do Jasnego Pana — Panie Wielmożny Komendancie, proszę się nie zagniewać, a ja powiem — że ten pan Kapitan, to nie jakiś tam błazenek, on zna się z Napoleo-
nem tym Cesarzem francuzów, on pod nim wojował — I ja ni troszeczkę się niezałąkł — a komendent tak się zapyrzył jak pies wściekły — Ja jemu dam Napoleona; nie chce do mnie przyjść, ja pójdę do niego — i natychmiast kazał tarabanić w hębny, jak na gwałt i wszystkim żołdatom maszerować.

— Dokąd?

— A jużci w pola i tak oni szli jak bydło jakie, za nim a on po przedzie — Aj waj co tam się działo, ja przyznam się Jasnemu panu, że ze mną stała się dziwna rzecz, nie uciekł do karczmy, tylko tutaj z tego miejsca na wszystko patrzył, choć oni szli i szli ze strzelbami, na ręku — ja patrzył i widział tak jak Jasnego pana widzę, jak Pan Kapitan z Huty Cudnowskiej, jedną kupkę swoich paniczów i kozaków obrócił do Krasnopola i tam postawił widno żeby tamtych pilnowali; drugą tu na wzgórkę nie wiem na co patrzeć. On to zapewnie wiedział na co — a z resztą i po drodze i po za rowami siedł w prost na Moskali: a tak szli sobie ładnie, porządnie, jakby to było prawdziwe wojsko. I szli stępą. Myślę sobie co to będzie? aż tu raptem jak się zakurzyło na drodze i poczęło strzelać: paf! puf! paf! ja usiadł na ziemi i oczy sobie zamknął; a tu tak strzela, tak wrzeszczy, gorzej jak żydzi w sądny dzień, gorzej jak chłopci kiedy się popiją w karczmie — I ja nic nie widział długo a długo — i wszystko krzyczało i strzelało — aż dopiero oczy otworzył kiedy koło mnie tuż tuż konie zate-

tniały; to był Uralec dawał znać że już postronki gotowe — ale na djabła już te postronki były; tam się porobili dziwne rzeczy — Soldaci zwyczajnie muzyki, chamy, taki chłopci i tylko w mundurach przybrani, jak zobaczyli, że tam po przdzie biegną sami panicze, taki obywateli — a za niemi kozacy co to już nie chamy, zwyczajnie wyludnieli we dworze, tak im zrobił się strach — i panicze z kozakami pobili wszystkich tak na kupę jedną — i Uralca nawet złapali — a reszta uciekła jak zające gdzieś w las.

— Pobili l..

— Dziwo że pobili? albo to inaczej mogło być; to byli panowie, taki jak jasny pan, a tamto muzyki, ot tacy chłopci jak ci co pan widzi we wsi. Już to Iwanowi nie zadawać się z panem; bo co pan to nie Iwan.

— A potem co się stało?

— Stało się... oni tu wszyscy przyszli, a tak śpiewali jakby na weselu. Pan Kapitan kazał swoim kozakom dać po troszku wódki, a chłopcom tutejszym wystawić kilka spustów żeby sobie za zdrowie Polski pohulali, i oni hulali. Aj waj co to byli za ludzie ci powstańcy, a jakie konie — o! takich drugich trudno na tym świecie.

— Powiedźże panie Rebe co z Moskalami się stało?

— Nu, co? wszystkich pokłuli; jednych taki na śmierć, a drugich to tak, że aż przykro było widzieć. Z dwiestu ośmdziesięciu żołdatów, tylko trzech było zdrowych, i ci zaraz poszli służyć powstańcom i jeden oficerzyna, uratował się.

— A komendant?

— To był zuch, tylko szkoda że moskał — On jak panicze skoczyli między żołdatów, a żołdaci zwyczajnie muzyki krzyknęli: *pardon* ! — porwał za szpadę, i taki na miejscu przebił swego żołdata co pierwszy krzyknął *pardon*, a krzyknął na *sętyki rabiata!* i tak się bili, jak gdyby oni nie byli ludzie tylko zwierzęta — I ja powiem Jasnemu Panu, że mnie mówili: jeden tam był taki, z powstania prosty kozak, co zszedł z konia, śpiewał modlitwę: *hospody pomytaj*, a kłutł i bił, i nawet zębami kasał moskałów. Pan Kapitan raby, wołał: dosyć, dajcie im pokój!! — ale nie było rady.

— Ale cóż z moskiewskim komendantem się stało?

— Co się stało? — a jużci zakłuli tak jak i drugich. A żeby Jasny Pan wiedział, to tam na tém miejscu była taka wielka kałuża jak gdyby wielki deszcz upadł, a czerwona, bo z samęj krwi; tam kropelki wody nie było.

— A naszym że nic nie było?

— Nu nic — kilku dostało małe guzy, takie jak się łapią i przy karczmie w bójce; a jeden tylko chapnął dwie kule, ale to jak na żart, nawet z konia niezsiadł. Jasny Pan wie, że ten co dobrze bije, to jego niebiją; tylko szkapy były wszystkie pokalczone; ale co to szkapy, wszędzie ich można dostać u nas. Nu ale co tam się stało z marszałkowiczami i z paniczem z Moskałówki?

— No i cóż?

— A Jasny Pan nie powie?

— Nie powiem..

— No to ci moskale, co przyszli do Krasnopola — stchórzyli

i poczęli uciekać, jak powstańce pobili tych co stąd wyszli, ale zabrali z sobą wszystkich trzech paniczów, i w drodze poczęstowali ich taki jak muzyków.

Jak ?

— No jak — nie wódką — ale pałkami — aż panicza z Moskalówki widno wykurowali — bo znowu taki był zdrów jak ryba kiedy ich przywieźli do Żytomierza — Wojenny Gubernatorz kazał ich wypuścić — powiedział : dajcie im czysty pokój — niech sobie siedzą spokojnie w domu; takich gdyby było najwięcej, toby Gosudaru było najlepiej.

— A za pobicie nic ?

— To przeszło — i nikt ich nieżałował, bo niebyło za co. Panicz z Moskalówki bał się żeby nie powtórzyli poczęstowania i uciekł w cesarski kordon.

— To pójdzie może do wojska ?

— Może — zawsze jest czas się poprawić — daj Boże żeby marszałkowicze mogli się kiedyś poprawić takż — Ale o nich już niegadajmy — Jasny Pan musi wiedzieć, co się stało z naszymi powstańcami ?

— Niewiem.

— Na to i ja niewiem — ale to wiem, że oni muszą wszystkich i wszędzie bić — i ja co tu wszystko na swoje oczy widział, przysięgłby na cherym, na sorę i na bachurów, że gdyby wszyscy panicze tak zrobili, toby nogi moskala na naszej ziemi już niebyło; i byłaby Polska taka wielka jak kiedyś, a taka szczęśliwa jak za króla Kazimierza.

BITWA POD IŁŻĄ.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Było to roku tysiąc ósmset trzydziestego pierwszego w miesiącu Lipcu.

Po kilkunocnych i kilkunocnych utarczkach z wrogiem, który przeprowadzał się przez Wisłę, na lewy jej brzeg w miasteczku Józefowie, weszliśmy do Opatowa, gdzie nasz pułk jazdy Wołyńskiej miano za stracony. Jenerał Szeptycki dowodzący dwoma pół-bataljonami piechoty, i naszymi trzema szwadronami jazdy, złożonemi z 300 jeźdźców, zostawiony jakby na żart, bez żadnego działa do bronienia przeprowady korpusowi moskiewskiemu pod dowództwem jenerała Rydygiera, złożonemu z kilku pułków piechoty, kilku jazdy i z silnej artylerji, cofnął się z piechotą legji Wołyńskiej z Tarłowa do Opatowa, a nasz pułk zostawił nad samą Wisłą w Pawłowskić Woli, i trapił się żeśmy zginęli. Już w prawdzie jazda moskiewska była w Tarłowie, kiedy Karol Różycki, dowódzca naszego pułku, nie odebrawszy żadnego rozkazu od jenerała

i dowiedziawszy się że ten ruszył ze swojego stanowiska , dał rozkaz do pochodu.

Jedna część jazdy nieprzyjacielskiej przecinała nam drogę od Tarłowa, a tym samym sposobem i od Opatowa ; druga wprost szła na nas. Już kulki dońskie i dobrze i gęsto świ stały nam koło uszów, kiedyśmy ruszyli z miejsca.

Nasz dowódca, jak zawsze tak i teraz , nie stracił ani serca, ani nadziei. Udał się w prawo po nad Wisłę, drogą ku Solcowi. Pułk szedł sporą stępą, a plutony jedne po drugich na przemiany szły do tylnej straży ucierać się z Dońcami. Tym pochodem, zupełnie sprzecznym naszemu kierunkowi, zostawiliśmy s tyłu siebie obadwa oddziały nieprzyjacielskiej jazdy : pewność zaś z jakąśmy szli, i zuchowate ucieranie się naszych jeźdźców w tylną straż, musiały zrodzić mniemanie u wrogów, że ich prowadzimy na zasadzkę; ponieważ mając się o dzień sięć razy większą od naszą, nie śmieli nacierać na nas, tylko ogniem harcowników, i to bezskutecznie; gdyż ani jednego człowieka, ani konia nie mieliśmy rannego.

W tym kierunku uszedłszy z półtóry mili polskiej, kiedy już nie było podobieństwa, aby jazda nieprzyjacielska mogła nam przebiec drogę z przodu, zwróciliśmy się nagle w lewo, a będąc w ciągłych harcach z wrogiem aż do zmroku, w nocy weszliśmy do Opatowa.

Generał Szoptycki już miał wysłać doniesienie do Warszawy, że cały pułk jazdy Wołyńskiej wyginał eo do nogi, kiedyśmy się zjawili jak zmartwychwstańce, jak upiory z tamtego świata. — Trzeba powiedzieć, że poczciwy generał; witał nas

z wielką radością serca, i z wielką radością podarł swoje doniesienie; chociaż napisanie tego doniesienia, musiało kosztować z pół godziny czasu, a czas w chwilach wojennych bardzo drogi.

Smutno nam było; niedobrze; ani spać, ani jeść się nie chciało. Każdy z nas, jedną i tę samą dumkę nucił w myśli. Czyż po to rzuciliśmy nasze nad Teterowskie stopy, żeby uciekać w Święto-Krzyskie góry?... bo już wiedzieliśmy o postanowieniu generała Szeptyckiego, chronienia się w to niedostępne miejsce podług niego.

Siedziało nas kilku koło ogniska, kiedy przyszedł stary kozak Zaremba.

— A co Panowie Starsi, a gdzie Ojczyzna?

Spójrzeliśmy w oczy naszemu towarzyszowi, ale żaden nie odpowiedział, on dalej mówił:

— O! tak Panowie, jak my rzucali naszą ziemię, to mówili: za Bug! tam Ojczyzna, tam Polska; a tam byli Moskale jak u nas. W Zamościu gadali: za Wisłą Ojczyzna, tam Polska! a tu Moskale jak i u nas. Ot Panowie, wszędzie Ojczyzna, i wszędzie Moskale, zewsząd trzeba ich wypędzić, a pewno wszędzie będzie Ojczyzna; trzeba było od siebie nie wychodzić i tam bić Moskali, a teraz to lepiej wracajmy do siebie, a jeszcze będziemy bili.

— Jakże wrócimy?

— *Zaspiewamy: Hej Kozacko w imie Boga!* I tak pójdziemy. Konie nam nie przystaną, a spisami rozepierzemy sobie drogę.

— Trudno to...

— Panowie znają to, że kto nic nie waży, to nic niema. U nas starzy ludzie dobrze mówią: raz matka rodziła, raz ginąć; albo zdobyć, albo w domu nie być.

— A jak nam na to nie pozwolą?

— Prawda Panowie; *Skacz wraze, jak starszy każe*. Prawda, to i pójdziemy gdzie nam każą; a zawsze spisa przed siebie, w imie Boże, to i jakoś będzie.

Chciał stary Zaremba przed nami nadrobić postawę i twarzą, ale nadarmo; chmurno mu było w oczach, jak w myśli, i nam było nie weselej. Patrzaliśmy to na ogień, to na czarne niebo, kiedy nadszedł Jan Dłuski, kapitan naszego pułku.

Był to człowiek niepoczesny na oko, małej wzrostem, ohydlawy ciałem, ale dziarskiej duszy, i pięknego serca. O nim to można było powiedzieć, że w czasie pokoju zawędził się na łowach, i chociaż z górą pięćdziesiąt lat liczył, po kozaczemu lubił umywać się deszczem, a suszyć się wiatrem. Nie był on ani nudny gawęda, bezustannie prawiący o dawnych czasach, ani rubacha obozowy, co spryt zastępuje brzmieniem słowy bez sensu i smaku: ale chwyt żołnierz, i figlarz towarzyszy. Po pochodzie, albo bitwie, kiedy każdy z nas rad był z kawałka ziemi nawet błotnistej, na którejby mógł się przespać, Pan Jan Dłuski, którego powszechnie nazywaliśmy Jasiem, wnet jakby piórko zesmailił, spletał figla.

Zaledwie on przyszedł, zaczęliśmy mówić o jego figlu przed kilku dniowym, który o mało nie pozbawił nasz pułk jednego z najdzielniejszych oficerów. Figiel był taki.

Mieliśmy podporucznikami w naszym pułku dwóch braci Budzyńskich.— Michał miał lat ośmnaście czy dziewiętnaście, a Wincenty szesnaście, — obadwa dzielni żołnierze i tędzy oficerowie. O nich to można było powiedzieć owe wiersze Cyda :

Bo w sercu człowieka

Z dobrej krwi zrodzonego, męstwo lat nie czeka.

Wincenty w czasie powstania zaczął jeździć na koniu, a jeździł dzielnie; fechtunków się nie uczył, a gracko rąbał Moskali. Był on jednak pod obuchem figłów Dłuskiego, który, jako *pater* oficerstwa całego pułku, wziął w swoją opiekę, a raczej w swoje figle najmłodszego oficera z pomiędzy nas. Służyli zaś razem z sobą w drugim szwadronie.

Kiedy nam dano znać że Moskale myślą przeprowiać się na lewy brzeg Wisły, po kilku pochodach do Janowca i do Pawłowskić-Woli, przyszlśmy do Tarłowa. Znużeni, ci co nie robili żadnej służby, rzucili się na ziemię, żeby choć chwilkę przespac : pułk nasz stał koło nadbrzeźnej stodoły, Wincenty Budzyński wszedł do tćj stodoły, i tam się położył. Dłuski zaraz wziął się do figła.

Spędził do stodoły stado gęsi : te z wielkim krzykiem i trzepaniem skrzydeł wpadły na Budzyńskiego, i zbudziły go ze snu.

Dłuski wchodzi między nas i opowiada, że Budzyński myślał iż to Moskale wpadli na niego z wrzaskiem : hura ! hura !

w pierwszej chwili krzyknął : *pardon!* ale potem ocknąwszy się zrębał ze dwadzieścia gęsi.

Opowiadanie rozbiegło się pomiędzy oficerami i żołnierzami, a nie mieliśmy czasu sprawdzić prawdę na gęsiach trupach — bo pod lasem pokazali się Dońce; siedliśmy na koń, i ruszyliśmy zawodzić z nimi harce.

Po rozpedzeniu Dońców, w nocy szliśmy na zasadzkę do Pawłowskięj-Woli; ta wyprawa moeno nas cieszyła, bo Dońcami dowodził Florjan Rzewuski, syn Seweryna Rzewuskiego, dobrego Polaka. Ten Florjan Rzewuski zuchwały człowiek, i zapewnie najlepszy oficer lekkiej jazdy z całego moskiewskiego wojska, chociaż najpaskudniejszy Polak, był towarzyszem szkolnym jednych, towarzyszem wojskowym drugich, a znajomym trzecich z naszego pułku. Mielśmy na niego niezamysłony chrap.

W czasie naszego pochodu żartowaliśmy z owęj przygody o gęsiach. Wincenty Budzyński się gniewał, i ciągle gadał Dłuskiemu :

— Ja nigdy nie wołałem, ani wołać będę *pardon*, żeby tam djabł wiedzą wiele było Moskali.

Pawłowska-Wola, wioska niebardzo wielka, leży nad samą prawie Wisłą. Uważając ją frontem obróconą ku Wiśle, na prawo ma rzeczułkę niewielką, ale błotnistą, która wpada do Wisły; po nad Wisłą są krzaki, i gęste łązy, przed krzakami zaś, ku Tartowskięj drodze najpiękniejsze błonie, czyste, bez rowów i wypłoczy : wyśmienite do harców jazdy. W prawo za

Wisłą bieleje miasteczko Józefów, a na lewym brzegu rzeki, między krzakami były okopy moskiewskie. W nich się znajdowały trzy bataljony piechoty, kilka szwadronów dragonów i pułk Donców z dwoma armatami; z tych to okopów Florjan Rzewuski robił wycieczki do Pawłowskiej-Woli.

Z lewej strony Pawłowskiej-Woli były pola górzyste, ciągnące się ku Solcowi.

Od tej strony lewej, była ogromna stodoła z toczyskiem na sterty, mająca czworo drzwi wychodowych. Dwór był niedaleko stodoły, a od strony moskiewskich okopów trzeba było wjeżdżać przez most na błotnistej rzeczulce, przed mostem były płoty i ogrody zasadzone fasolą.

Nasz dowódca Karol Różycki, miał z sobą trzy szwadrony naszej jazdy, z nich bowiem składał się pułk cały, i kompanję strzelców celnych Sandomierskich. Rozporządził swój oddział tym sposobem.

Kompaniją strzelców zasadził po pod płoty w fasoli, z rozkazem, aby dopiero jak cały oddział nieprzyjacielski przejdzie przez most dali ognia, i formowali się przed mostem, bagnietem zagradzając nieprzyjacielowi drogę ucieczki. Jazda zaś nasza, stanęła na toczysku, plutonami frontem poobracała ku wrotom wychodowym. Wszyscy dowódcy szwadronów i plutonów odebrali rozkazy, któredy mają prowadzić swoje oddziały: tak zaś wszystko było urządzone, iż nieprzyjaciel musiałby się znaleźć obaczonym ze wszech stron. Każdy oddział miał przednią część, która miała uderzyć na nieprzyjaciela, i tylną, która była niejako w odwodzie, w porządku, na przypadek gdyby

nieprzyjaciel wymknął się i przebił oddział nacierający, mógł być zabrany przez oddział odwodowy. Idąc zaś na zasadzkę, mieliśmy pałasze, strzemiona i ostrogi poobwiązane sianem, aby nie było słychać najmniejszego brzęknięcia; jeźdźce zaś nasi byli nawykli w takowych nocnych podjazdach, prowadzić konie tą ślępą nierówną, którą kozacy zowią wilczym chodem, tak iż najbieglejsze ucho nie rozróżni czy to tentnienie koni, czy to ułudzenie nasłuchanego ucha, jakimes nierozróżnionym rozgłosem. Z tej przyczyny przyszlismy na zasadzkę, ani postrzeżeni, ani dosłyszani przez nikogo.

Parobków i ludzi znajdujących się w stodole, na toczysku, co nas zobaczyli, posadziliśmy pod chwilowy areszt; był to jedynie środek zbyt wielkiej ostrożności, nieodbitie potrzebny w takich razach; chociaż ci ludzie byli doskonałymi Polakami i witali nas jak najserdeczniejszych braci.

Jeden z naszych jeźdźców bystrego oka i praworny chłopiec, dostał rozkaz wyleść na najwyższe wiązanie dachu stodoły, rzucić czapkę i mundur, przedrzeć dziurę w słomie, aby mógł głowę tamtędy wychylić i patrzeć; drugi siedział na niższym wiązaniu, trzeci jeszcze na niższym, i ci podawali głos od pierwszego. Jeźdźce stali koło koni pokiełznanych w całej gotowości.

Już słońce z za gór sypnęło złotem na świat, kiedy jakby na powitanie tego słońca, cichy rozkaz przeleciał z szeregu do szeregu: na koń! na koń! a po nim jakby dobrzmiewanie, szmer radośny: idą.... idą.... i już wszyscy byli na koniach; gotowi do poskoku.

Od okopów szli Moskale. — Po przodzie powodyr Doniec, za nim trzech, za niemi kilkunastu z uradnikami; dalej ze dwie sotnie, a przed nimi sam Florjan Rzewuski, Polak z imienia, syn Polaka, wiódł zbirów najezdźnika, wroga Polski, na Polskę. Patrzył na blask słońca, na Polską ziemię, i sero mu serca nie rozdarł; szedł jak najemnik.

Już powodyr i przedni oddział wszedł na most; i reszta szła bez niedowiarstwa, rażno i śmiało; — trzeba było nieszczęściem żeby jeden ze strzelców celnych zasnął, i obudził się tentnieniem kopyt końskich. Schwycił się, ujął za strzelbę i wypalił.

Plutony, jakby orzech zgryzł z kopyta pomknęły na wychodowe wrota, i poskoczyły na przeznaczone drogi. Pojmałiśmy kilku Dońców, ale główna ich siła z Florjanem Rzewuskim zatrzymała się przed mostem, i w linię bojową rozwinęła się na błoni.

Na most przybiegł pluton dowodzony przez Wincętego Budzyńskiego, przy którym był Michał Grudziński, kapitan dowódca drugiego szwadronu. Mąż dzielny i dziarski, dobrze znajomy Florjanowi Rzewuskiemu, bo z nim razem odbywał wojnę przeciw Turkom, w latach tysiąc ośmset dwudziestym ósmym i dziewiątym; ale z nim razem nie chciał zostać pod chorągwiami wroga, kiedy Polska dobijała się o niepodległość.

Grudziński i Budzyński z trzydziestu jeźdźcami w cwał przeskakują most, uderzają na wroga, rozbijają go i gonią ku okopom. Grudziński trzy razy sprął szablą po plecach Florjana

Rzewuskiego, a ten nie spojrział w oczy dawnemu towarzyszo-
wi, tylko zmykał co tchu było w sakapie.

Nowi Dońce wyskoczyli, i ze wszech stron otoczyli garstkę
naszych. Grudziński swoich kupi, szykuje i broni się: wten-
czas Wincenty Budzyński uniesiony wojackim zapalem, wpadł
między Dońców i płatał ich palaszem; już był ranny kilka
razy spią i kulką, kiedy rzucił szablę, a chwycił za pistolet. —
Mierzył do koła, i Dońce się rozskoczyli, ale nawinął się jakiś
Doniec, białowłosy; brodaty jak cap: tak się spodobał Bu-
dzyńskiemu, iż do niego wypalił. — Doniec młynkiem zsu-
nął się z siodła, ale drudzy na spisy wzięli Budzyńskiego, i
takż go z konia zrzucili. W jednem mgnieniu oka, zarzucili
mu sznur z petlicą, i ciągnęli do obozu, spisami go kłuli
wołając:

— Krzycz pardon!

Budzyński na całe gardło wrzeszczał: — U nas nie ma par-
donu! U nas nie ma pardonu!

Wszystko to na błoniu działo się błyskawicą. Karol Różycki
wydał w cwał trzeci szwadron na pomoc naszym, — a sam
na czole pozostałych siedmiał plutonów biegł tam kłusem.

Dowódca trzeciego szwadronu, takż chwacki i sprytny
żołnierz, chciał krzakami przeciąć Moskałom od obozu, i na-
robić im licha; dla tego nie na most, ale poskoczył ze szwa-
dronem wzdłuż rzeczulki. — Rzeczulka była grzązka, nieła-
twa do przeprawy; dowódca szwadronu widząc niebezpie-
czeństwo naszych, pozwolił puścić się na ochotnika.

Mikołaj Wizowski; podoficer tego szwadronu, pierwszy na

rączym siwku przebrał się w krzaki : dubeltówkę , którą zawsze z sobą woził , bo był wysmienity strzelec , miał nabitą lofkami i rąbańcami ; podbiegł , i jakby między stado szpaków , między Dońców wypalił raz i drugi raz . Kilku zleciało z koni , a reszta w nogi . Grudziński ze swojemi puścił się w pogon , Budzyńskiego odbito , i nim nadbiegł trzeci szwadron , już Moskale schowali się do okopów .

Kilkudziesięciu Dońców leżało trupem na polu utarczki ; nam zabili tylko trzy konie pod jeźdzcami , i dwóch czy trzech jeźdźców lekko ranili . Wincenty Budzyński odniósł dwadzieścia kilka ran spisami i kulkami dońskimi , ale ani stękał , ani narzekał , tylko do Jasia Dłuskiego się odzywał : — Na nic twoje gęsi , u nas nie ma pardonu , u nas nie ma pardonu .

Podziwialiśmy i żalowaliśmy młodego towarzysza , a on uśmiechem chciał odgonić niepokój z naszych serc , a żartami przytłumić swój ból .

Michał Grudziński dopiero wtenczas opatrzył się , że w czasie pogoni za Rzewuskim , dostał spisą w bok , i że grot ze złamaném drzewcem został mu między żebrami . Sam wyjął drzewce z grotem , ranę założył wilgotną ziemią na chustce , i tak mało na to zważał , że kiedy nas kilku bardzo grzecznie wypytywało podoficera dońskiego , jeńca , o siły w okopach , — on ku nam nadjechał i rzecze :

— Pozwólcie mnie , ja się wypytam , ja ich dąbrze znam . Na pierwsze zapytanie , zamałował go nahajką przez łeb ; natychmiast dońskiemu podoficerowi rozwiązał się język , wszy-

stko wygadał ad A aż do Z, — jak prawowierny chrześcianin na spowiedzi przed kapłanem Bożym.

O tych przygodach rozmawialiśmy koło ogniska pod Opatowem, i ludzkim nałogiem śmieliśmy się z gęsi Jasia Dłuskiego; śmieliśmy z indygaclinój formy, bez którój, *sine qua non*, ani kroku nie można zrobić z Moskalem; i czynem nadawaliśmy prawdę owój starój gadce: — że u żołnierzy, a szczególniej u Polaków: *choć bieda to hoc*.

Prawdę to mówią, że pociecha i smutek niespodziewanie zlatują na ten tu świat; i nam niespodziewanie przyniosł pociechę Tadeusz Horain, adjutant jenerała Szeptyckiego.

— Mamy nowego jenerała.

— Kogo?

— Samuela Różyckiego.

— Co za jeden? z kąd?

— Ten co był na Litwie, i wrócił z jenerałem Dembińskim:

— A jakież on?

— Nie bardzo pokazny, ale musi być zuch.

— Skądże ty to wnosisz?

— Bo już nie cofamy się w Święto-Krzyskie góry, ale idziemy przeciw nieprzyjacielowi.

— Wiwat! niech żyje jenerał Różycki! — a jenerał Szeptycki co robi?

— Jedzie do Nowego-Miasta.

— A ty?

— Ja przeznaczony jestem do waszego pułku, do pierwszego szwadronu, jako drugi kapitan.

— Wyśmienicie!

Sciskaliśmy nowego brata, a ślepy Morgulec wniósł, żeby zapić tę sprawę. A że nie było ani szampana, ani węgryzna, ani nawet ratafi, więc wódka siwuchą wypiliśmy za zdrowie generała Różyckiego. Ma się rozumieć, nie zapomnieliśmy o zdrowiu naszego dowódcy, bo to w naszym pułku było *ante omnia* poważane, i na bratanie się z nowym towarzyszem.

Niebawem przybiegł i nasz dowódca z miasta. — Kazał do koni i na koń, i wszystko w duch tak się stało jak on kazał.

Zeszliliśmy z owęj przeklętej dla nas drogi w Święto-Krzyskie góry, a szliśmy w miasto, a ztamtąd na szlak do Hły. Dowódca nasz pojechał do generała, a nam kazał czekać za miastem.

Pierwszym szwadronem nie dowodził nasz siwy Stanisław Dunin; on to nas wiodł na zwycięstwa, pod Mołoczkami, pod Tyszycą, pod Uchaniem. Kiedy mu kule nieprzyjacielskie obszarpywały płaszcz i taratakę, on tylko spojrzął, splunął:

— Błazny! — Kiepsko strzelają, i krawcowi nawet nie dadzą co do roboty. — Nie było z nami naszego starego majora, a jego miejsce zastępował Karol Dunin; pyłki jak proch leszczyński, ale ani taki przezorny, ani taki szcwany jak nasz stary dowódca.

Noc była ciemna, tak iż o kilkaset kroków przed sobą nie dojrzeć nie można było. Weszliliśmy w ogromny wąwóz i dowódca naszego pierwszego szwadronu, zatrzymał czoło kolumny, w samym wychodzie z wąwozu; kazał zsiść z koni, i

pozwoił spoczywać. Zrobił to w pewności, że placówka legji pieszej litewsko-wołyńskiej stoi przed nami o kilkadziesiąt kroków.

Dowódzca, kapitan Horain, Stanisław Faliński dowódzca pierwszego plutonu, i Jan Omieciński dowódzca trzeciego, położyli się przed frontem trzymając konie w rękę. Antoni Szuskiewicz dowódzca czwartego plutonu, i ja jakby przeczuciem jakim tknięci, dla odpędzenia snu, namówiliśmy Erazma Zakaszewskiego, oficera drugiego szwadronu, żeby pojechał do miasta i zafundował nam kawy. Zakaszewski pojechał, a nas kilku siadłszy na wąwozowej zuboczy, gawędziło, czekając na kawę.

Zołnierze spali jak zabici, chrapanie wtórowało brząkaniu wędzideł, konie nawet zmożone usypiały. Adam Baranowski wachmistrz pierwszego szwadronu, poglądał w ciemnię, i zdało mu się że coś tam zamajaczało: budzi Karola Dunina, i powiada swoje spostrzeżenie; ale nim ten się rozbudził, zazawrzało moskiewskie hura! huknęły strzały, a z nimi moskale wskoczyli w nasze śpiące szeregi... Nasi się budzą, krzyczą na koń!

Splószone konie skaczą, i na pół śpiących jeźdźców ciągną do miasta. Zgiełk, zamieszanie, czysta kara boża, a moskiewskie hura brzmiało, i strzały huczały.

Ledwie kilkadziesiąt nas zdołało wskoczyć na konie, i to na cudze. Pamiętam że dosiadł wronego konia, pułkowego adjutanta. Niewiem jakim sposobem to się stało, ale dość że nasze konie, jak rumaki czeczeńców stromą zuboczą wyskoczyły

z wąwozu i moskale poczęli uciekać, a my za nimi gonić: W ciemnościach nocnych ledwie kilku dragonów mogliśmy zsadzić z koni, reszta uciekła.

Już świt szarzał, kiedyśmy wracali do swoich; byliśmy i źli i szromani. Pułk nasz stracił niepokalaną baczność, zwycięskie dziewictwo; dotąd wróg naszych pleców nigdy nie widział, dotąd na łąda szerknieć wszystko było na koniach, i z brenią w rękę gotowe na pocałunek powitania: — a teraz na chwilkę tylko oddalił się nasz dowódzca, i taka klęska nas spotkała? Myśleliśmy że cały pułk rozbity, rozproszony.

Zbliżyliśmy się do Opatowa. Konie bez jeźdźców biegają po polach, jeźdźce bez koni; w wąwozie połamane spisy, ale ujrzeliśmy Karola Różyckiego, i każdy z nas powiedział: jeszcześmy nie zginęli.

On nie gniewał się, nie krzychał i nie zrzędził, tylko kazał konie łapać, brać nowe spisy i siadać na koni. Znalazłem moją ciemno-gniadę klacz i witałem ją jak siostrę, jak kochankę; ona mi w boju była siostrą, kochanką, i nieodstępną towarzyszką, drugim ja, a czasem więcej jak ja. Znalazłem adjutanta pułkowego, przyjaciela lat dziecinnych. O! jakżem się cieszył zem mu mógł oddać konia, boż go widział przy życiu i zdrowiu.

Obecność i rozkaz naszego dowódcy naprawiły cały nieład. Moje i godziny nie-upłynęło, jak cały pułk był już na koniach. Znowu białe z czerwonym proporcą powiewały w powietrzu; konie grzebały nogami, i pieśń kozacza brzmiała gromko.

W całej owej klęsce nie straciliśmy ani jednego człowieka,

tylko klacz jednego z naszych oficerów będącego podówczas w Warszawie została roztratowana. Karol Dunin odebrał mocną ranę w czoło, ale to bynajmniej nieprzeszkodziło mu dowodzić dalej naszym szwadronem. Tadeusz Horain był ranny kulą jedną w nogę, drugą w ramie, i dostał cięcie pałaszem. Waleczny ten oficer musiał przez jakiś czas jechać na wozie. Podoficer Podczaski był tak silnie rannym, iż z tych ran w kilkanaście dni później umarł w lazarecie w Kielcach, i Hrycko Deminniec jeździec z drugiego plutonu, miał przeciętą kość na ramieniu. Lekarz legji litewsko-wołyńskiej Chruszcz złożył mu ramie w leszczoty, i chciał go posłać do lazaretu, ale on na to żadnym sposobem nieprzystawał, a nawet nie chciał jechać przy koniach powodowych i jucznych, ale został we froncie, mówiąc że prawą ręką zdrową może włądać spisą, a cugle weźmie w zęby i tak będzie koniem kierował. Później dowiedziałem się że ten upor jego pochodził z obawy utracenia konia, na którym wyszedł z pod Berdyczowa, a który był ogromnej dzielności. Mówił on:

— Jakbym ja pojechał do lazaretu, to jużbym nigdy nie widział się z moim koniem; jakbym pojechał przy luznych koniach, toby oficer kazał mi wziąć gorszego konia, a mojego dał innemu; wolałbym żeby mnie djabli wzięli, jakby mieli brać mojego konia. I z jedną ręką bił się dzielnie.

Seweryn Wielobyski podoficer drugiego plutonu także był rannym, ale bardzo lekko.

Ani znaku nie było nieładu. Staliśmy w zupełnym porząd-

ku, kiedy przybył generał Samuel Różycki : małego wzrostu, uśmiechającej się twarzy, z łaćniańska siedzący na koniu, co t6m bardziej się wydawało, iż nie mając swoich koni, jechał na naszym stepowym, nawykłym do dziecinnego posłuszeństwa, dla tego co mu dziarsko i groźnie rozkazywał ; pod generałem używał samowoli, i jakby samopas wiał się przed frontem. Generał do nas przemawiał, a mybysmy byli radzi, żeby nam zaraz był pokazał wroga; tak nam się chciało zatrzeć nocną przygodę.

Ruszyliśmy ku Hży : przeszedłszy to miasteczko już zmrokiem, stanęliśmy obozem nad szlakiem wiodącym do Radomia. O świcie drugi pluton trzeciego szwadronu pod dowództwem Józafata Domaradzkiego wyszedł na podjazd.

Już i dzień biały zawitał, i s6l6nce poczęło go złocić, kiedyśmy usłyszeli pukanie dońskich janczarek, a niebawem, ujrzeliśmy nasz pluton idący st6po, powolnie, a w oko6o niego 6mę dońców, przyskakującą i naszczekującą jak niewprawne charciaki na niedźwiedzia ; ale nas spostrzegli, zatrzymali się, i jak rybitwy rozwijali się w wianek i wywijali się po polu : wszystko z dala, a nasz pluton powracał.

I piechota i jazda pod bronią stanęła. Generał Różycki tak sprawił swoje wojsko.

Nie cały batalion legji Litewsko-Wołyńskiej pieszej pod dowództwem pułkownika Kwiatkowskiego, silny do pięciuset ludzi, i pół batalion strzelców celnych sandomierskich, wynoszący do czterystu ludzi dowództwa pułkownika Grotusa, gdzie się znalazł waleczny i niezmordowany kapitan Xiąż6 Gie-

drojć stanęły w mieście ; tam zajęły obmurowane Kościelisko, koło starożytnego kościoła, (stawianego przez Jana Grota biskupa krakowskiego) i domy będące przed mostem na rzece Białej którą szła droga z Kowalkowa. Trzy kompanje były na rynku, bataljon dwódziesiątego drugiego pułku piechoty liniowej, mocny do siedmiuset ludzi, pod rozkazami majora Niedeckiego, stanął przed Iłżą, po prawej stronie drogi do Radomia, frontem do miasta ; był on niejako w odwodzie, do niesienia pomocy oddziałom będącym w mieście, albo do zabezpieczenia cofania się w razie potrzeby. Trzy zaś szwadrony naszej jazdy silne podówczas do dwiestu ośmdziesiąciu jeźdźców, i jeden pluton legji Nadwiślańskiej pod dowództwem Tytusa Szumlańskiego liczący dwudziestu pięciu jeźdźców, rozwinęły się w jeden szereg ; to był zwyczajny nasz szyk bojowy, i stanowiły prawe skrzydło.

Miasteczko Iłża *) jakby zebrane w wianek, leży nad rzeczką Białą, która krętym biegiem jak wąż wiję się ze wschodniej strony miasta ; po lewej stronie rzeczki na wzgórzu był stary kościół, po prawej zwałiska starego zamku. Miasteczko schłodne, domy białe i ulice czyste. Miejsce to już było tokowiskiem

*) Wyraz Iłża, jak podanie kronikarzy niesie pochodzi, od wyrazów Jęz zą : matka jakiegoś Xięcia po spadnięciu jego z wieży zamkowej, tak długo płakała, że lud górę i miejsce to Jęz zą nazwał. Za czasów Starowolskiego sławne już było fabryką fajansów. Spalone po trzykroć przez Szwedów i Rakocęgo, zgorzało było ze szczętem od przypadkowego ognia w r. 1744. Posiadacze zamku na początku XIX wieku, w nadziei znalezienia ukrytych w nim skarbów zniszczyli go i dziś widać tylko ostatki ruin.

utarczek Szwedów z naszymi projcami w latach 1655 1656—
A jak wieść niesie i tatarskie zagony Batego tam dochodziły.
Może tam prochy wojaków Czarnieckiego radowały się słysząc
szczęk polskiej broni na swoich grobach; może tam duchy pra-
ojców z wysoka poglądały na nasze szeregi i modliły się do
Boga o zwycięstwo dla nas.

Iłża uważając jój front ku stronie, skąd przychodził nieprzy-
jaciel, miała na lewo, najdalej o półwierci milki nie wielką
włoseczkę; w prawo i przed sobą, błonia, gdzie niedzie nie-
równe małemi wzgórzami; w doli ciemniały lasy; s.tyłu w lewo
płaszczynę lekko wznoszącą się po nad Radomskim szlakiem,
ku laskom odległym przynajmniej o milę, były to pola orne,
w prawo głęboki parow, a nad nim grzbiet wzgórza ciągnący
się wzdłuż nad drogą idącą do Szydłowca. O półtory mili od
Iłży zaczynały się lasy Ostrowieckie i Szydłowieckie.

Przez parow na wzgórze było przejście wąską drożyną, którą
pułk mógł iść tylko trójkami; nad samem tem przejściem o sto-
kilkanaście kroków, stał bataljon dwudziestego drugiego pułku
liniowego, zasłonięty jakimś dawnym przekopem; chcąc zaś
głębce parowu ominąć, trzeba było iść w górę przynajmniej
dobrą ćwierć mili.

O godzinie dziesiątej z rana w ślad za harcownikami dońca-
mi pokazał się nieprzyjaciel. Był to korpus moskiewski Jene-
rała Kwietnickiego, złożony z sześciu bataljonów piechoty,
liczących przeszło pięć tysięcy ludzi, z pułku Nowo-Rosyjskie-
go dragonów, mającego sześć szwadronów kompletnych nie nad-
szarpanych żadnym jeszcze bojem, z pułku dońców, i z trzech

plutonów artylerji konnej mających sześć harmat ; myśmy nie mieli ani jednej harmatki.

Piechota nieprzyjacielska i artylerja szły drogą od Ciepiewa wprost do miasta, jazda zaś wzięła się w prawo po za wioseczkę Chwałowice i ciągnęła na nas ; Dońce wpadli do wioseczki , i rozsypali się w prawo i w lewo dla zapelnienia przedziału między piechotą a dragonami.

Karol Różycki posłał do jenerała Różyckiego z zapytaniem czy może zająć inne stanowisko, gdyż te widział niedogodnem. W równem polu niemając ani o co oprzeć skrzydła, ani zmiany powierzchni ziemi, którąby można obrócić na niekorzyść nieprzyjaciela, niechciał być oskrzydlonym przemożniejszą siłą jazdy nieprzyjacielskiej. Jenerał odpowiedział : iż wolno mu obierać stanowisko jakie zechce, byle zapewnił prawe skrzydło korpusu.

Jeszcze mając dość daleko nieprzyjaciela od siebie, odłamałiśmy się plutonami od prawego, a wzięwszy lewe ramie naprzód, szliśmy w kolumnach szwadronowych, kłusem kur parowowi. Przez parów przeszliśmy trójkami, znowu sformowaliśmy plutony, a dopiero na wzgórzu zaszliśmy na prawo, i na lewo w tył sformowaliśmy się do frontu. Front nasz znalazł się w linii ukośnej; na lewym skrzydle był parów. — Dragoni moskiewscy w kolumnach szwadronowych postępowali za nami.

Już w mieście zażarcie się bito; bezprześcannym ogniem hukaly strzały karabinowe, i od czasu do czasu ryczały harmaty. Granaty padały i pękały przed naszym frontem, ale jakoż za-

dnęj szkody nierobiły. W mieście piechota moskiewska sparła naszą na moście : wtenczas jenerał Różycki zszedł z konia, porwał za karabin, a śpiewając : jeszcze Polska niezginęła ! stanął na czele strzelców Sandomirskich i prowadził ich do boju.

Jak zboże pod kosą kosiarza , tak moskale w prawo i w lewo z mostu walili się w rzeczkę od bagnatów naszych. Strzelce aż za most wyparli moskiewskie żołdactwo. Pułkownik Kwiatkowski dzielnie odpierał moskali z kościeliska ; jedna kompanja ze stojących na rynku rozsypawszy się po pod opłotkami wzdłuż rzeczki, gęstym i celnym ogniem raziła wroga. Moskale widząc że siłą i liczbą nieprzeprą męstwa naszych , poczęli dawać ognia z harmat dla zapalenia miasta.

Kiedy to się działo w mieście , dragoni przyszedli do parowu. Dowódzca ich półku , pułkownik Howen , przez lornetkę przeliczył co do jednego wszystkich naszych jeźdźców : radośnie po moskiewsku , jak nam potem jeńce mówili , zawołał : wszyscy nasi !

Zostawił szósty szwadron ze sztandarami na prawej stronie parowu, a sam na czele pięciu szwadronów przechodził parow. Dragoni szli trójkami i zaraz za parowem formowali się w plutony. Myśmy czekali na nich , las spis położył się nad uszy końskie jak las konopi w jedną stronę głaskanych wiatrem ; dwubarwne proporce furkotały jakby na wab wrogowi ; konie na zadach się poprzysadzały, gotowe do poskoku, a u jeźdźców niecierpliwie serca biły, niecierpliwie ramiona drgały. Aż miło spojrzeć taka hulaczność w twarzach , taki spokój , taka pewność w oczach.

Wszystkie pięć szwadronów przeszły przez parów, o mało się nie otarły o bataljon dwudziestego drugiego pułku, i niewidziały go nawet bo wał im zakrywał naszą piechotę, a piechota, stała jakby posągi z kamienia. Niepróbowała ani strzałów, ani bagnatów, a jednak gdyby zrobiła jedno lub drugie, ani jeden dragon nie byłby uszedł z pola bitwy.

Dragoni w skok formowali się w szwadrony, i równając się do linii, w skokach szli do natarcia. Myślą Howena było, złamać nasze lewo skrzydło, i od parowa gonić ku miastu, aby tam nas zabrać albo wybić razem z piechotą. Karol Różycki przyskoczył przed trzeci szwadron, i z kopyta kazał w czwał! w czwał!

Zatętniało... zahuczało... ziemia bryzgami rwała się aż pod niebiosa, i wrzaski *Śława Bogu!* i moskiewskie — *hura!* pod niebiosa leciały. Jasno-gniady czerkies Karola Różyckiego mknął wprost na moskiewskiego pułkownika. Moskwin szablą płątnął, cugle przeciął i czerkiesowi przeorał kark na dwa palce głęboko; ale nasz dowódca silnem cięciem lackiej szabli, w sam łeb moskwicina zamalował, i Moskwin z siodła zsunął się o ziemię. Ta walka dwóch przywódców rycerskie czasy przypominała; trwała ona chwilę, krótką chwilę, ale i nasza młodzież i moskale ją widzieli; nasze konie gęściami kopytami ziemię rwały, i nasze *Śława Bogu!* huczniej szagrzmiało. Moskiewskie konie zwolniały czwał i hura ich już nie tak donośnie z piersi się wypierało.

Trzeci szwadron spisami we front nieprzyjacielski uderzył, i malutką chwilę, jak jeden mig myśli, oba fronty się zatrzy-

mały; ale drugi i pierwszy szwadron, które trochę były cofnięte od wroga albowiem stały w linii ukośnej całego frontu, przyskoczyły, spisami zapruły i jak wiatr plewą, tak one pomiotły przed sobą moskalami.

Popłoch między wrogiem ! Jak z pieca na łeb, skaczą w parów i trzecia część przynajmniej nietknięta, ani naszą spisą, ani szablą padła z koni. Nasi jeźdźce w parow — z parowu wyskoczyli i ani jeden ze strzemion się niewysadził. Moskale formują się na swój szósty szwadron, ale nasi jeźdźce ławą na nich uderzyli, rozbili na miazgę i gnali w pola; koląc i siekąc, w prawo i w lewo.

Wtenczas i kościół i domy miasta pożarem się zajęły. Nasza piechota, nie siłą nie walecznością wroga, ale pożarem przywalona, cofała się z miasta. Gromy harmatnich strzałów, i krechtanie łamiących się domów, prześpiwywały ich pochodowi. Oni szli leniwo, i co krok oglądali się, czy zaoskomiomych bagnetów nie mogą jeszcze podsycić krwią moskiewską; ale carskie żołdactwo nie szło za nimi : stało i nikczemnie patrzyło, jak pożar, ich dzieło, wyrusza garstkę walecznych a otucha jeszcze niewstąpiła w zalęknione serca.

Piękny to był i okropny widok zarazem ! Nad miastem, kłębiasty dym, od chwil do chwili, rozświecany to zarzewiami latawcami; to buchanien płomieni szczerzego ognia. Z miasta, dzieci, niewiasty, i starce, wszystko biegało w pole; i było z porykiem, i psy ze skomleniem, a jęk matek i kwilenie z pomiędzy bez przerwanegogromu harmat, i wojennych wrzasków ledwie przedrzeć się mogło do siebie. Po tem pięknem polu,

nasza jazda na przepadłe gnała dragonów, kozacze *Sława Bogu* tylko brzmiało, a moskiewskiego *hura*, ani słychać było. Moskiewskimi trupami szeroko znaczyliśmy szlak pogoni, a konie bez jeźdźców rojeni wiły się koło tej hurmy konnicy gnaniej i goniącej.

O! trzeba było żeby Car był widział to dzieło swoje!... jęk, płacz, pożar i niedole ludu.... to dla niego i na niego... O! trzeba było żeby wsza Polska to widziała! to dla Nięj i za Nią!

Dragoni i nasi jeźdźce zmieszani razem, wpadli do małej wioseczki koło Ilży. W ulicy tak było ciasno, że ani kłuć ani rąbać niemożna było, tylko gifesami szabel; i drzewcami spis nasi tłukli dragonów. Pluton moskiewskiej artylerji będący w wioseczce, zerwał przed sobą mostek, i z dwóch harmat kartaczami wyrzwał do nas i do swoich. W mig przed sobą usypał wał z dragonów i z koni pobitych. Moskiewska piechota zaszła za opłotki z obu stron alei i poczęła ręcznymi strzałami razić i nas i swoich bez różnicy. Na rozkaz dowódców jeźdźce nasi musieli porzucić tę resztkę niedobitków dragoniego pułku, i za wsią formować się w plutony i w szwadrony. Kartacze po nad nasze głowy przelatowały, a nasi jeźdźce ani baczania na to nie dawali.

W chwili naszego zbierania się, ukazał się za wioską, pułk dragonów moskiewskich; w kolumnach szwadronowych szedł kłusem po nad rudką, w chęci zajścia nam drogi; był to pułk z korpusu Jenerała Słotwińskiego, który słyszac strzały harmatnie przyszedł w pomoc Jenerałowi Kwietnickiemu. Nowy

ten korpus był równie silny jak pierwszy. Drugi i trzeci pluton pierwszego szwadronu już sformowane spuściły spisy do natarcia i kłusem ruszyły przeciw wrogowi; do przebycia rudki była tylko jedna grobelka, na której więcej nie można było rozwinąć jak front plutonowy, siły przeto do natarcia w naszej i w moskiewskiej kolumnie były równe; moskiewski pułkownik widząc nasz pochop i gotowość, zakomenderował do swoich: trzema na prawo w tył — i jeszcze lepszym kłusem z całym pułkiem uciekł tam z kąd przyszedł; nasze dwa plutony zatrzymały się przy początku grobelki.

Przez ten czas sformował się pułk, i odstępując we wschody szwadronami, szliśmy stępą ku Szydłowieckiemu szlakowi. Po polach któredy przechodziliśmy, jak mak gęsto różowały rabaty pobitych dragonów; a nieprędko, nieprędko i to bardzo z daleka ukazali się dońce: skradali się leniwo, jak łódki pod wodę. Widać że swoim obyczajem dla ochoty wszyscy musieli krzyżeć: naprzód! naprzód! — i wszyscy wstrzymali konie cugłami.

Kiedyśmy się złączyli z naszym korpusem o dobrą milę odłży, zastaliśmy tam stu-kilkudziesięciu dragonów jeńców, i ich majora, Hemesa, rannego na wozie. Oddział celnych strzelców zbierał ich po naszej pogoni, bo batalion dwudziestego drugiego pułku, chociaż był najbliższym tego miejsca, z rozkazu swojego dowódcy nie ruszył kroku ze stanowiska, aż do cofania się.

Moskiewski major Hemes był rannym przez swojego własnego ordynansa, rzecz miała się tak:

Kiedyśmy stali w Sokcu przez kilkanaście dni, moskiewscy żołnierze przechodzili do naszego pułku. Spiewaliśmy kozackie ukraińskie pieśni, nosiliśmy się z kozacza, i żołnierze nasi w większej części rozmawiali mową ukraińską; to było ogromnym łepem, który do nas pociągał naszych ziomków Ukraińców, zirusu słujących w moskiewskim wojsku. Między temi ochótnikami był jeden nazwiskiem Teodor, dragon z Nowogrosyjskiego pułku, ordynans majora Hemesa; przeznaczony został do drugiego plutonu pierwszego szwadronu. Miał ogromne wąsy jasno rude, przybijając nasz mundur niechęciał ich podstrzygać, żeby nie zmienić twarzy, powiadając:

— Już ja się im żywy nie dostanę, a jak mnie poznają w boju, to dobrze; niech wiedzą że ja nie moskal, ale kozak polski; Ukrainiec.

W czasie natarcia, naskoczył właśnie w to miejsce, gdzie major Hemes cięty szablą słaływał z konia; major poznał ordynansa i zawołał:

— Teodor pomiłuj, radi Boga!

Teodor mruknął:

— Wol tobie pomiłowanie!

Pałnął spiasą w twarz, tak iż szczękę na wylot przeniżał, pogruchotał zęby, a sam dalej poskoczył.

W czasie naszej pogoni Józafat Domaradzki odkrył sposób zszadzania moskali z koni. Jak tylko dolatywał do moskala kłut go w plecy ostrzem szabli, a jak ten się odwrócił, co koniecznie następowało, ciął szablą na odlew pod sam nos, i moskal

jak wór walił się z konia. Tak miał wprawne i oko i rękę, że mnóstwo moskali narąbał. Koń jego siwy i on sam byli całym krwią zafarbowani: nie swoją, ale moskiewską.

W wioszczce od strzałów moskiewskiej piechoty straciliśmy sześciu jeźdźców, między nimi dwóch braci Eliazzewiczów, których pięciu było w pułku, i Ułasa Tetianczynego kowala, dzielnego żołnierza; ten ostatni miał dziwne przeczucie przed bitwą.

Był on dawniej kozakiem dworskim u mnie, a że był człowiek nieposzlakowanej poczciwości, od samego początku naszej służby woził trzos z mojami pieniędzmi. Przed świtem kiedyśmy jeszcze ani myśleli o bitwie, przyszedł do mnie.

— Panie, niech pan pozwoli żebym trzos z pieniędzmi oddał komu.

— Dla czego?

— Ot tak mnie coś markotno — zamyślił się trochę — kłęb się sobie poodcierałem — a potem znowu dodał: ja pana o to bardzo proszę; ja go oddam Makarowi Sęlopczukowi, to dobry ohłopic.

Nie chciałem mu się sprzeciwić i pozwoliłem.

W czasie bitwy bił się jak wściekły, w wioszczce ranny kulą w piersi, upadł. Z wachmistrzem Xawerym Morgulcem chcieliśmy go podnieść, ale już nie żył; mnie było markotno: łzę i westchnienie do Boga dałem mu w pożegnaniu; więcćj chwila bojowa nie pozwoliła. Zwłoki jego spooczywają na la-

ckiej ziemi, ale bez mogiły, pomiędzy moskiewskimi zwłokami.

Rannych mieliśmy kilkunastu. Najcięższe rany dostał Antoni Szaszkiwicz, dwa cięcia w kark takie, iż musiał jechać do lazaretu; Mikołaj Wizowski, Ochota, Semen Łysiuk, Hryhory z Rei, który goniąc za nieprzyjacielem na całe gardło psalmy śpiewał, a spisał kłut, Teodor Myśliński i inni dostali mniej więcej ran; ale żaden z nich nie opuścił szeregu, wyleczyli się na koniu bez lekarza, przykładając do ran wilgotną ziemię.

Po połączeniu się z korpusem, niebawem nadszły harcownicy wrogów; za nimi szły połączone moskiewskie korpusa: na czystych polach harcowaliśmy z dońcami i dragonami, ale to trudy były nam miłe, bo zwycięstwo rozpoili nasze dusze. Patrzyliśmy na Samuela Różyckiego, jak na jakiego Napoleońskiego namiestnika. Nasz dowódzca to był naszym ojcem, co nas zwycięzko wszędzie zaprowadził, i zewsząd zwycięzko wyprowadzał.

Przyszedszy w nocy do Szydłowca, przy ognisku rozprawialiśmy o owym dniu szczęścia, kiedy nadszedł stary Stepan Lewczuk Zaremba.

— Ot panowie jak tak będzie zawsze, to i moskali niestanie w Polsce, i Ojczyzna będzie!

Na nieszczęście niebyło tak zawsze.

W kilkanaście dni później przechodziliśmy przez Hżę. Już tam nie było ani domów miasta, ani kościoła Bożego, tylko zgłiszcza zwalisk i okropne ślady pożaru; czuć było dym, czuć było jeszcze krew.

Mieszkańce, niewiasty i starce i dzieci, przeciw nam wybiegali i nas witali radośnie, serdecznie. Na prześcigi każdy opowiadał :

— Dwanaście fur cały dzień wozilo trupy na cmentarz. O byłoż tam, było tego plugawstwa.

— Z tego pułku dragonów ledwie dwa szwadroniki zebrano, i to liche.

— Ależ co potchórzyli to potchórzyli !... Święty Stanisław to widział i my to widzieli. Niech im tak zawsze Bóg daje.

— Bo jużci jak człowiek na swojej ziemi się bije, to wart za stu takich co jak świnię lizą do cudzego ogrodu.

— My nie żałujemy ani swoich domów, ani dobytków, bośmy widzieli jakeście bili. Oj co bili to nie żal się Boże !

— Ja bym chciała stracić wszystko co mam i mieć mogę, żebym choć raz jeszcze widziała tak tych moskali, jak wten czas.

I owi pogorzelce częstowali nas chlebem, solą. O z takim ludem nie zaginie nigdy Polska !!

Staremu Stepanowi aż łzy stanęły w oczach, a wąsy same szcurzyły się do góry :

— Ot panowie starszyzna, panowie bracia, tylko bijmy i bijmy moskali, a prędzěj czy późniěj, będzie Ojczyzna !

TRZYNASTY.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Po bitwie pod Iłżą, po rozkazie dziennym który zakręcał na rozkazy Napoleońskie, i który brzmiał w naszych uszach jak w uszach żołnierzy francuskich *biuletyn* o bitwach pod Piramidami, albo pod Marengo, w naszych jeźdźcach ogromnie zapanoszało dobre rozumienie o sobie. Ta wiara w siebie, dołączona do wiary jaką mieli w dowódcę pułku, zrobiła, że ten nowy pułk, jak starzy żołnierze zowią, złożony z ruchawki, mógł stanąć na równi obok najlepszego starego pułku tak co do służby, jak i do boju. Wiara zaś w Karola Różyckiego była tak wielka, iż kiedy on stawiał pułk do boju, wszyscy żołnierze mówili między sobą :

— Oho ! kiedy już nasz ojciec (Batko) wybrał pozycję, to nam nic niebędzie; a moskali w puch pobijemy.

Mówię to nie dla tego, aby to miało być przechwałką, albo przedwstępem do opowiadania o jakim nowem zwycięstwie, gdyż na nieszczęście nowych zwycięstw niemieliśmy; ale dla

tego, aby pokazać iż z tój ruchawki tak niesłusznie pomiatanej przez niektórych znamienitych oficerów starej służby, można zrobić dobrych żołnierzy, wlewając w ich serca zaufanie ku dowódcy i podnosząc ich miłość własną, kiedy na to zasługują. Pułk nasz nie liczący tylko pięciu oficerów ze starej służby, a żadnego żołnierza i podoficera, aż do samego końca zachował porządek, karność, prawność i męstwo. Musztry nauczyliśmy się w pochodach, i bijąc się z wrogiem, a służby obozowej przez doświadczenie poprzedzone bardzo krótką nauką, bo na długą czasu nie było.

Z Szydłowca, dokądśmy przyszli po bitwie pod Hżą, ruszyliśmy w pochód ku Radomiowi; niewiem, czy Jenerał Różycki miał zamiar uprzedzić w tem mieście nieprzyjaciela, czy też chciał go tam podejść; ale w drodze odebraliśmy wiadomość że dawny oddział, z pod dowództwa Jenerała Różyckiego z którym on chodził na wyprawę Litewską, ciągnie ku nam, ale w drodze był przeciętym przez Dońców, a w Przytyku zabrano mu w niewolę kilku oficerów, ze szwadronu zwanego oficerskim i złożonego z samych oficerów.

Jenerał Różycki zdawszy dowództwo nad piechotą pułkownikowi Kwiatkowskiemu, sam na czele drugiego i trzeciego szwadronu naszego pułku poszedł mimo Zakrzew do wieseczki leżącej po wyżej Przytyka. Piechota szła wprost na Zakrzew; Karol Różycki odebrał rozkaz udać się do Przytyka na czele trzech plutonów pierwszego szwadronu, gdyż pierwszy pluton pod dowództwem Stanisława Falińskiego poszedł dla przyprowadzenia kassy województwa sandomierskiego, którą Prezes

Januszewicz, gorliwy polak i czynny człowiek, potrafił uwieść z Radomia, i przechować u jakiegoś poczciwego obywatela

Karol Różycki idąc do Przytyka wywiedział się od ludzi postronnych wiosek, że z rana oddział Dońców zabrat w mieście kilku oficerów, przybyłych tam i goszczących jakby to niebył czas wojenny. Już niedaleko Przytyka wzięwszy z sobą czwarty pluton i kapitana Karola Dunina, udał się w lewo na długą groblę która prowadziła do przedmieścia; polecił zaś dowódcy drugiego plutonu, aby z dwoma plutonami wszedł prosto do miasta i spędził z tamąd kozaków gdyby się ci znajdowali; w przeciwnym razie żeby zajął miasto i wysłał na zwiady do spotkania oddziału ciągnącego z Warszawy.

Dwa plutony przyszły nad rzeczkę na której zastały zerwany most, a widząc w mieście jeźdźców jakichś kręcących się w nieładzie na koniach, sądziły że to Dońce. Żywo przepawili się przez rzeczkę, w skokach wpadli do miasta; owi jeźdźce wybiegli w pole, a mieszkańcy oznajmili że to Polacy. Natenczas dowódzca dwóch plutonów, widząc że oddział polski cofnął się pod las i tam się szykował do boju, zostawił przed miastem obydwa plutony pod rozkazami wachmistrza Xawerego Morgulca, gdyż dowódzca trzeciego plutonu, skałeczony w nogę, dnia tego zmuszonym był jechać na wozie, koło piechoty. Sam udał się ku oddziałowi stojącemu pod lasem.

W drodze usłyszawszy strzały harmatnie od strony Zakrzewia, pośpieszył, i oświadczył pułkownikowi Obuchowiczowi, dowódcy tego oddziału, iż przywozi rozkaz od Jenerała Różyckiego, aby jak najspieszniej dążył w pomoc bijącym się.

Kapitan Karol Kaczanowski z dwóma harmatkami artylerji konnej, kapitan Psarski z dwóma plutonami jazdy kaliskiej, złączywszy się z dwóma plutonami jazdy wołyńskiej udali się kłusem, przez miasto, w stronę strzałów; reszta zaś wojska złożona z bataljonu strzelców celnych podlaskich dowództwa Michała Kuszła, z czterech harmat artylerji pieszej pod dowództwa majora Bartmańskiego i kapitana Freze, z drugiego półszwadrona jazdy kaliskiej pod majorem Domaniewskim, ze szwadronu oficerów i szwadronu podoficerów pod dowództwem pułkownika Pietrowskiego, z plutonu Tatarów pod kapitanem Bielakiem, i z licznego sztabu jenerała Różyckiego, szła wolno do Przytyka.

Piechota nasza była atakowana przez korpus moskiewski jenerała Xięcia Wirtemberga, złożony z kilku bataljonów piechoty, pułku dragonów, oddziału Dońców i sześciu harmatek artylerji konnej. Pułkownik Kwiatkowski rozpuścił na tyralierów kompanją legji litewsko-wołyńskiej i kompanją sztrzelców sandomirskich, z resztą zaś cofał się drogą ku Przytykowi. Pierwszy pluton pierwszego szwadronu naszej jazdy, nadbiegł z kassą, i wnet puścił się na harc z dragonami, ale za pierwszym strzałem harmatnim Stanisław Faliński dostał mocnej kontuzji i zleciał z konia, Jan Omieciński chociaż mocno skaleczony w nogę siadł na koń, i objął dowództwo nad plutonem. Tadeusz Horain ranny jeszcze pod Opatowem, siadł takż na koń, i stanął na czele tyraljerów pieszych; ci dwaj oficerowie wspierając siebie wzajemnie, potrafili dzielnie odeprzeć natarcząwość licznych harcowników złożonych z dragonów i Dońców.

Ale moskale ufni w liczbę poczeli coraz mocniej następować, swoim obyczajem z harmat grzmieli, i na ten raz ich kule mocno szkodziły kolumnie pochodowej, wsuwającej się w krzaki, a potem w las. Całe siły nieprzyjaciela minawszy Zakrzew sporo goniły za naszą piechotą; już kolumny ich jazdy dochodziły do harcowników, kiedy Karol Kaczanowski dał ognia z dział. Kula zabiła białego konia na którym jechał służący Xięcia Wirtemberskiego tuż za swoim panem; to zjawienie się niespodziewane naszej artylerji, ten celny strzał, zatrzymał na chwilę zapal nieprzyjaciela.

Moskale stanęli, a temczasem szwadrony naszej jazdy złączone pod dowództwo Karola Różyckiego, w krzakach sparły harcowników dragonskich. Strzały harmatnie trwały ciągle, ale piechota miała czas przystąpić ku Przytkowi i połączyć się z oddziałem pułkownika Obuchowicza, którzy już zajął miasto. Półbataljona strzelców sandomirskich rozsypało się w krzaki i po brzegu lasu. Karol Różycki wyprowadził nasz pułk z lasu i postawił go w linji bojowej, frontem do drogi wiodącej do Przytyka; prawem skrzydłem opierając o las w którym byli celni strzelce, lewem o miasto. Sądził on że nieprzyjaciel postępując za ustępującymi się tyraljerami wysunie swoje kolumny w pole, w tenczas miał zamiar natrzeć na niego z boku; ale nieprzyjaciel niewyszedł z lasu, tyraljery strzelali się do samej nocy. W nocy, moskiewski korpus cofnął się drogą do Zakrzewia, myśmy weszli do Przytyka.

Prędko roztasowaliśmy się obozem, i obadwa oddziały zaczęły się poznawać z sobą, a ci co już się znali witac. Korpus

nasz zaczął przechodzić do poważnej stopy, miał harmaty, rozmałą piechotę i rozmałą jazdę.

Żydzi którzy żadnej okoliczności nieprzepuszczą żeby wyduńczyć chrześcijański grosz, naznosili pod oboz lichego jadała, i trunków dobrze chrzczonej wodą. Koło jednej z takich koczujących gościń, siedziała stara żydówka; przy odbłasku zapalonego łuczycza miała coś piekielnego w twarzy: oczy wsunięte w głąb głowy, zdawały się liczyć przechodzących, i od czasu do czasu krzywiła twarz jakby znaczyła którego chciałaby dać na pastwę diabłowi; żydowska podłość i szatańska złość pozeńiły się żeby uposażyć wspólnem bogactwem to swoje kochane dziecie.

Przyszło kilkunastu oficerów różnych broni, pić wisznjak; ona wszystkich częstowała milcząc, ale kiedy nalewała ostatnią szklankę, po raz pierwszy, dziwny uśmiech przewędrował po jej twarzy, i nie mogła wstrzymać się od powiedzenia:

— Nu, pan trzynasty.

Byłto kapitan Bielak dowódca Tatarów, dzielny Polak, oficer z rossyjskiej gwardji, posiadający niewielki mająteczek w Augustowskiem. Majątek swój i życie poniósł na usługi Ojczyźnie, sformowałszy oddział jazdy z samych braci i pokrewnych swoich.

No i cóż z tego żem trzynasty?

— Nu nic... trzynasty i nic.

Liczyła płacone pieniądze, ale częściej poglądała na kapitana Bielaka jak na pieniądze. Rzecz dziwna i bardzo daina w żydowskiej krwi. !

Po chwili, przysli inni oficerowie i ona znówu częstowała; ale nagle wypuściła butelkę z wiszniakiem jakby umyślnie, chociaż tylko w jedną szklankę z niej nalała.

— Nu już więcej niemam ; panów trzynastu piło.

Trzynastym tą razą był nasz kapitan Jan Dłuski; żołnierze poczęli sarkać że to czarownica, uroki rzuca na ludzi, iżydówka zniknęła tak nieznacznie jakby się z wiatrem do djabła powiała. I nikt jęj niewidział, ani tęg nocy ani nazajutrz dzień. Tylko jezdze naszego pułku najdłużęj o tem rozmawiali, i ze wszech stron słyhać było powtarzanie :

— No, jak pobijemy Moskali, i wypędzimy precz z Polski, to wyprosiemy sobie aby nam ze trzy dni pozwolone na pohulankę z żydami. Oj co pohulamy to pohulamy! bo póki ta piśa krew będzie w Polsce, to i złe z nią będzie.

— Jezusa Chrystusa umęczyli....

— Moskalom za szpiegów służą....

— Jak pijawki ssą ostatni grosz z człowieka chrzczonego...

— Oj pohulamyż pohulamy! ani na nasienie niezostawiamy. . . .

— I będzie dobrze.

Wieczorem poszliśmy pod Radom, stamtąd, po spotkaniu się z moskiewskimi podjazdami , zwrociliśmy się ku Szydłowcowi, i nie myśleliśmy ani o owęj żydówce, ani o tem jęj trzynastkowaniu.

Gdybyśmy nawet myśleli, to po tęg nocy usnalibyśmy rzućnie uroku za bezskuteczne; gdyż kapitan Bielak z swojemi Tatawami wpađ między posterunki moskiewskie, ucierał się z nie-

mi; słyszeliśmy wiele strzałów, i wtenczas kiedyśmy go mieli za straconego, on przybył ze swoim oddziałem i ani jednego człowieka mu niebrakowało.

Dwanaście dni upłynęło od naszego wyjścia z Przytyka; w prawo, w lewo, ciągnaliśmy się po nad granicami województwa sandomirskiego z województwem krakowskiem. Pod miasteczkiem Końskie, Moskale w nocy, z dwóch stron napadli na nasz obóz; ale szczęściem nie bagnietem, ani szablą, ani spisą, tylko hukiem harmatnim, obyczałem każdego tchórza coto zdaleka wrzeszczy na zapaśnika niezważającego na jego zbliżanie się: uciekaj bo ja idę — Żydzi tego miasteczka byli w zmowie z Moskalami, dowiedzieliśmy się o tem, ale zmuszone cofanie się niepozwoiliło nam powiesić ich przynajmniej kilkunastu; od czego by Jenerał Różycki w cale się niewzdrygał. U niego kazać powiesić żyda łajdaka a psa parszywego, to było wszystko jedno — i dobrze robił.

W czasie tego cofania się połączyliśmy się z trzema szwadronami jazdy pod dowództwem pułkownika Kuszla, niegdyś zawołanego rębacza i pojedyńkarza w huzarach polskich; byłyto dwa szwadrony jazdy podlaskiej i jeden szwadron strzelców konnych, zbierany ze wszystkich czterech pułków, pod dowództwem kapitana Wendorfa.

Stanęliśmy obozem w małej wioseczce o lekką milkę od Wierzbicy gdzie się znajdowała brygada jazdy moskiewskiej pod dowództwem Jenerała Tymana, i Dońce Florjana Rzewuskiego.

Noc była ciemna, deszcz lał jak z cebra, a bezustanne

strzały na czatach, i rozkazy: na koń! na koń! ani chwili nie-
dały spocząć. — Jak to mówią, aż do nitki przemokliśmy, a
tentnienie pojedynczych koni, ciągle do uszów dolatywało. Noc
była przeklęta, zimna, słotna i niespokojna: dopiero o świa-
cie deszcz ustał, i dowiedzieliśmy się że półszwadron jazdy
Podlaskiej będący na przedniej straży, popuszczał konie, i te
biegąc tu i ówdzie, były przyczyną owych strzałów i obozo-
wego niepokoju.

Po tej smutnej nocy, smutniej jeszcze nam było, kiedyśmy
ujrzeli zmianę w twarzy Jana Dłuskiego; na żaden figiel mu
się nie zebrało, był blady, a uśmiechał się musem; piekielna
Azyjska choroba, cholera go napadła — i to był podarunek
przywieziony nam przez Moskali. Mikołaj nieraz życzył żeby ta
cholera cały naród Polski wydlawiła, a są ludzie z narodu Pol-
skiego, co przed tym Carem się kłonią, co tego Cara wolł
z pośpiechem i unizonością służyć.

Choroba tak nagle zmoęła Dłuskiego, że my ruszaliśmy do
Wierzbicy przeciw wrogowi, a on nie mógł się na koń; zo-
stał w chłopskiej chacie, i jeden tylko żołnierz przy nim. Przed
chałupą stała wiszniowo-gniada klacz, ale swoim obyczajem
nie grzebała niecierpliwem kopytem ziemi, ona zwiesiła głowę
smutnie: ona czuła pańską niemoc, tęskniła że pana na boje
nie niesie.

Myśmy go żegnali, a on cierpienie tał przyoblekając
twarz w pogodę musu — i mówił nam ucinkowo z wysileniem
się:

— Idźcie i bijcie!

Kiedy ujrzał Bielaka wstrząsł głową, i przez zęby ciszej powiedział :

— I on trzynasty...

Ale potem jakby ocknął się ze snu, i chciał otrząsnąć nie-
smite marzenie, uśmiechnął się do nas :

— Ot baje! nie wierzcie temu... pobijcie i powracajcie, a
jeszcze gotówem wypić z wami choćbym był trzynasty; tylko
mi zostawcie co Moskali; to przejdzie, a bić będziemy.

Mową chciał ból zatłumić, a jezdziec co przy nim zostawał,
smutnie poglądał to na niego, to na nas. Żał mu było kapita-
na; żał mu było że z nami nie idzie.

O! i nam nie było wesoło! Konie echoczo kroczyły, a my
mimowolnie poglądaliśmy na Bielaka... On koniem zawodził,
opowiadał jakieś szalone przygody, ale niewiem dla czego wielu
z nas zdało się że on obalamuca swój niepokój, przesąd ogar-
nął myśl naszą, w uszach nam brzmiały słowa żydówki : *to
trzynasty.*

Koło karczemki na polu niedaleko Wierzbicy. jakiś poczci-
wy mieszkaniec tego miasteczka doniósł nam iż Moskałe uwia-
domieni przez szpiega żyda, gospodarza tej karczemki, o naszym
zbliżaniu się, wyruszyli z Wierzbicy, w celu cofania się do
Skaryszewa, gdzie była większa część korpusu generała Rydy-
giera; i że tam posłano po posiłki na wszelki przypadek. —
Żywo odprawiono sąd na żyda i powieszono go na naddrobnem
drzewie, a myśmy ruszyli ku Wierzbicy.

Jazda nieprzyjacielska już skryła się w las, a ćma Dońców
beładnie rozrzucona uwijała się koło wietrznego młynka i

wzdłuż po nad lasem. — Pułk nasz dostał rozkaz zawieść harc z niemi, i zatrzymać ich przed lasem, aby strzelce celni Podlascy, zasłonieni jazdą Podlaską, mogli zająć w las, przeciąć drogę Dońcom i zrobić zasadzkę.

Za zbliżeniem się naszym, Dońce z pod młyna pierzchnęli ku lasowi. Karol Różycki zatrzymał szwadrony, i wysłał pierwszy pluton, pierwszego szwadronu, pod dowództwem Rajmunda Harkowskiego, niedawno przybyłego do nas oficera, na harc. Małą liczbą chciał ośmielić Dońców, i tym sposobem zatrzymać ich przed lasem jak najdłużej. Nasi harcownicy już zasadzili kilku Dońców z koni, podoficer Wielobyski ranny był w podeszwę, odbitą kulką od kamienia. Zabito konia pod jeźdźcem Michałem z Rafałówki, kiedy Harkowski rozpojony bojem coraz bardziej począł nacierać i przeciw Dońców ku lasowi. Dowódzca naszego pułku, wysłał kapitana Bielaka, którego pluton Tatarów był przy naszym trzecim szwadronie, z rozkazem do Harkowskiego aby się zatrzymał, i zwolna cofał od lasu; rozkaz został zawieszony i wykonany.

Pluton naszych harcowników cofał się, Dońce bardzo zwolna następowali. Kapitan Bielak wracał; już był o sto kroków od naszego frontu, a najmniej trzysta za harcownikami, kiedy w dolinie nagle zsunął się z konia. Myśleliśmy że z dobrej woli zsiadł; a to dońska kulka go zasadziła; trafiła w same serce, i jak go podnosili jego bracia i pokrewni, już on znaku życia nie okazywał.

Głośnym jękiem zapłakała Tatarska drużyna, pałaszami wykopali grób swemu bratu — przywódzcy; dziki kamień na nim

położyli, Iżą smutku skropili i kamień i ziemię. Myślą smutku żałowali za poległym, i siedli na koń.

I myśmy pomyśleli o Janie Dłuskim, o tej złowieszczęj liczbie — trzynasty; ale Dońce skryli się w las, umknęli zaszadki celnych strzelców, a cały nasz korpus szedł w pochód w kierunku Ilży.

W czasie pochodu, drugi i trzeci pluton pierwszego szwadronu jazdy Wołyńskiej dostały rozkaz, udać się przez las, drogą w lewo, aby przeciąć szlak wiodący ze Skaryszowa do małej wioski na drodze do Ilży. W tej wioseczce stał szwadron Moskiewskiej jazdy na straży, a czaty Dońców tworzyły łańcuch między Skaryszowem a przednią strażą Moskiewską: nasze dwa plutony powinny były przejść ten łańcuch nie będąc spostrzeżonemi, i zająć jazdę Moskiewską z przeciwniej strony: tak rachując czas, aby to nastąpiło jednocześnie z chwilą, kiedy przednia straż korpusu, spędzając czaty nieprzyjacielskie, prostą drogą dochodzić będzie do wioseczki. W przedniej straży szły pierwszy i czwarty pluton pierwszego szwadronu jazdy Wołyńskiej, pod dowództwem Stanisława Dunina, który uleczywszy się z ran, powrócił objąć dowództwo swojego szwadronu, i poruczników Harkowskiego i Jana-Nepomucena Niemojewskiego, przeniesionego z jazdy Kaliskiej, do naszego pułku; drugi i trzeci pluton były pod rozkazami swoich dawnych oficerów; od chwili wyjścia z domu, aż do ostatka wojny, te dwa plutony niezmiały swoich dowódców.

Piaszczystą drogą, dwa plutony tak czutko i ostrożnie przeszły, że nietylko ptaka w lesie, ale nawet Dońca czuwającego

nie sponoszyły : a jednak widziały i płaki na gałęziach, i Dońców na szlaku. Uszedłszy kilkaset kroków za łańcuch nieprzyjacielskich czat, puścili się klusem, i kiedy usłyszały pierwszy strzał z janczarki, już one dobiegały do wioszczki frontem, gotowe na przyjęcie wroga.

Moskiewski oddział z dwóch stron natarty, po krótkiej pogoni, zsiadł z koni i poddał się; jeden tylko Dońiec na dereszowatym koniu umknął w las. W tej rozprawie, Przes Januszewicz walczył jak nasi jeźdźce. Oddział nieprzyjacielski składał się z pół szwadronu strzelców konnych i plutonu Dońców. Między temi jeńcami był podoficer, który służył w pułku Siewierskim strzelców konnych, rozbitym przez nas pod Uchaniami, kiedyśmy jeszcze byli powstaniem nie pułkiem. Ten jeńiec ranny spisał w gardło i w piersi, zostawionym był za zabitego; poznawszy nas powiedział, że widno iż jego przeznaczeniem jest, aby nie przeciw nam, ale razem z nami wojował; tem bardziej że jest rodem z Półtawskiej gubernji, taki dobry Ukrainiec jak i my. Wszedł on do naszego pułku, i był dzielny żołnierzem.

Na drugi dzień z rana przybył do pułku jeździec zostawiony przy Janie Dłuskim; chmurny był postawą, smutnym okiem patrzył na nas, i długo nic nie mówił, a myśmy go nie śmieli zapytać; nareszcie przystąpił :

- Już po wszystkim....
- Jak to?
- Jak żył, tak skończył.
- Umarł !...

— Dziwo że umarł... « Powiedz moim niech będą zdrowi, a niech za moją duszę dobrze wyczubią Moskali. » — to były jego ostatnie słowa.

Choć to byliśmy wojacy w mundurach, przy broni, nie jedną łzę, nie jedno westchnienie posłaliśmy pamięci naszego towarzysza, naszego brata; i jeźdźce nasi dzikie twarze spo-
chmurzyli, i mówili między sobą :

— Szkoda!

— Chwacki człowiek!

— Żeby przynajmniej mogiłę jemu usypać.

— Wart tego.

— Gdzie powróć, to wszędzie był chwata.

— Psia żydówka.

— Otoż i trzynasty !!

BITWA POD LIPKIEM.

(WSPOMNIENIA PULKOWE.)

Pod tą samą Iłżą, na polach naszej pohulanki, koło zwalisk, Moskiewskiego dzieła, stanęliśmy obozem. Zaledwieśmy z koni zsiadli, przyszła z miasta już niemłoda kobieta, a z nią młodzieniec mający lat czternaście. Była to Pani K. . . . wdowa po zasłużonym oficerze polskim, utrzymywała się w Iłży z małego mająteczku. Moskale jój dom spalili a ona pojechała do Krakowa po syna jedynaka, będącego w szkołach, i przywiozła go na żołnierza do naszego pułku. Mimo przekładania że jeszcze za młody, że nie wydoła trudom wojennym, matka i syn byli nieprzełamani w swoim postanowieniu. Polka ze łzami w oczach mówiła nam :

— Młody, a i między panami są młodzi; dalibóg że w nim poczciwa polska krew, a panowie go nauczycie i jeździć i bić. O ja widziałam co to się działo w Iłży! daj Boże żeby tak zawsze bywało. Mój syn, to mój najdroższy skarb, ja go chcę dać Ojczyźnie, czyż mnie nie wolno? czyż ja nie Polka?

Nie słówkami grzecznymi, bo o tych w obozie pozapominaliśmy, ale serdecznem uczuciem i serdecznemi słowy, podziwialiśmy tę Polskę, a młodego towarzysza przyjęliśmy jak brata.

Wkrótce potem byliśmy w miasteczku Wąchocku ; głuche, niepewne wieści dochodziły do nas, jakoby znaczny korpus z wielkiej armii Polskiej dążył w Lubelskie w celu połączenia się z nami ; że ten korpus miał iść na Ruś, i tam w nasz bogaty kraj nieść wojnę wrogowi. Była to tylko gadanina niewiedzieć skąd urosła, a jednak radością i otuchą nas przejęła. Już w myśli witaliśmy naszych nad-Teterowskich braci, nasze domy nasze rodziny; kołmi hulaliśmy po ukraińskich stepach. Owe przepowiednie gminne o Hanczarychy dolinie, o mogiłach Piata i Percepiaty wsliznęły się do naszej pamięci, i już myśleliśmy : wszystko tak się stanie : będzie Polska !

W teje samej chwili, odebrano pewną wieść że generał Rydygier zostawiając niewielki oddział w Radomiu pod dowództwem Xięcia Wirtembergskiego ruszył z tamąd drogą ku Temnickim lasom, w kierunku ku Wiśle. Ten pochód nieprzyjaciela, zdawał się potwierdzać wieść o ciągnięciu naszych w Lubelskie ; szpieg zaś doświadczony doniósł, że ogromna ilość wozów z sucharami i wielka liczba wołów, miała przechodzić przez most postawiony przez Moskali na Wiśle po niżej Janowca. Mostu tego strzegł batalion piechoty i szwadron dragonów; w szańcach przed-mostowych było po sześć harmat. W Janowcu stało dwa bataliony piechoty Moskiewskiej i dwa szwadrony dragonów z czterma działami konnej artylerji, do zmiany i

wsparcia straży mostowej; jeden zaś szwadron dragonów stał na przedniej straży, po wyżej Chodzczy, na szlakach schodzących się z Itzy, Solca i Lipska. Szwadron ten rozsyłał podjazdy na wszystkie strony, i czuwał nad bezpieczeństwem oddziałów Moskiewskich będących u straży mostu i w Janowcu.

Na radzie wojennej na którą powołał Jenerał Różycki wszystkich sztabs oficerów dowodzących osobnemi oddziałami, Karol Różycki przedstawiał aby jak najspieszniej ciągnąć do Janowca, opanować most i jeśliby go nie można było utrzymać za nadejściem korpusu Rydygiera to spalić, a tym sposobem niedopuszczyć siłom jenerała Rydygiera przejść na prawy brzeg Wisły i wspierać korpus Jenerała Kajzarowa, będący w Lubelskiem, któryby mógł być zniszczonym przez nasze wojsko, skąd następowało uwolnienie Zamościa i odkrycie wolnej drogi na Wołyń; gdyby zaś most można było utrzymać co było bardzo podobnem, korpus polski ciągnący w Lubelskie miałby komunikację otwartą z województwem Sandomierskiem i Krakowskiem, a po wezwaniu rezerw z których można było wyciągnąć z piętnaście szwadronów dzielnej jazdy i z ośm batalionów piechoty, snadnieby można zniszczyć korpus Rydygiera i oczyścić lewy brzeg Wisły z nieprzyjaciela, albo nieść wojnę na Ruś.

Na zarzuty jakie robiono temu zamiarowi, odpowiedział Karol Różycki, iż przy pomocy zatarasowania mostu wołami i wozami, szybki napad saméj jazdy nawet mógłby ułatwić to wzięcie. W Janowcu Moskale nie mogliby się opierać ani chwili; wiedziano zaś dobrze o dniu i czasie przechodu wozów i wołów.

Korpus nasz liczył podówczas, trzy bataljony szóstego pułku strzelców Krakowskich pod dowództwem pułkownika Jutrzenki, bataljon dwudziestego drugiego pułku piechoty liniowej, nieliczny ale dzielny bataljon legji Litewsko-wołyńskiej, bataljon strzelców celnych Podlaskich, bataljon strzelców celnych Sandomirskich i kompanię legji pieszej Nadwiślańskiej; pięć szwadronów stariej jazdy, sformowanej z walecznych żołnierzy korpusu Jenerała Dwernickiego, i z tych co przeszli w Krakowskie z koła z pod dowództwa Jenerała Stryjeńskiego; dwa szwadrony jazdy Podlaskiej. Wszystkie te siedem szwadronów były pod dowództwem Chmielowskiego podpułkownika trzeciego pułku ułanów. Szwadron legji Litewsko-wołyńskiej pod wodzą majora Bohdanowicza, i trzy szwadrony jazdy Wołyńskiej; cztery harmaty artylerji pieszej i dwie harmaty artylerji konnej. Korpus ten dochodził do pięciu tysięcy ludzi, wszyscy żołnierze w ogóle byli waleczni i ożywieni najlepszym duchem; śmiało i umiejętnie działając z takim korpusem można było być pewnym zwycięstwa nad podwójną liczbą Moskali.

Przybył do korpusu Jenerał Szeptycki i poseł Jan Leduchowski z dziarskim oddziałem Krakusów z pospolitego ruszenia.

W pierwszej chwili Jenerał Różycki przyzwolił na przedstawienie Karola Różyckiego i ruszyliśmy w pochód. Nasz pułk szedł w przedniej straży; szliśmy na pewne zwycięstwo, bo zdało nam się, że nasz dowódzca kieruje całą wyprawą.

O milę od Janowca, wśród białego dnia, przednia straż pojmowała podjazd nieprzyjacielski z czterech dragonów złożony; tak szybko się sprawiła, iż żaden z nich ani mógł umknąć ani wy-

strzelić. Od tego podjazdu Karol Różycki dowiedział się o stanowisku szwadronu dragonów przedniej czaty. Natychmiast uwiadomiwszy o tem Jenerała Różyckiego, i zostawiwszy legją Litewsko-wołyńską w przedniej straży, z naszym pułkiem puścił się kłusem w prawo. Pierwszy i drugi szwadron zostawił w rozdole, zakrytym od nieprzyjaciela, tak aby jeden mógł przeciąć drogę wiodącą w prawo górą do Janowca, drugi w lewo dołem do tegoż miejsca ; dowódzce szwadronów dostali stosowne rozkazy : sam z trzecim szwadronem biegł do nieprzyjaciela. Szwadron moskiewski stał sobie bezpiecznie i niewidział naszej jazdy, dragoni byli nie na koniach i całą czujność zdali na czatę pojedynczą stojącą o kilkaset kroków na zuboczy.

Przez wzięcie się w prawo i pociągnięcie się ukosem w lewo trzeci szwadron zachodził tak jakby szedł od Janowca, z kądem dragoni niemogli się spodziewać nieprzyjaciela. Karol Różycki spostrzegłszy nieprzyjacielską czatę, wybiegł naprzód i już będąc na kilkadziesiąt kroków krzyknął po moskiewsku na dragona.

— *Raszaj tu!* Dragon ogłupiały jechał na rozkaz, i gdyby nie obawa adjutanta pułkowego o życie naszego dowódcy, nie nakazała mu krzyknąć — *Z konia!* trzeci szwadron byłby został moskali przedniej czaty nie na koniach; ale zobaczywszy dragona złażącego z konia, poczęli siadać na koń i zmykać. Trzeci szwadron puścił się w pogoń, i za dobry kwadrans czasu wszystkich co do jednego wykłutł i wyłapał; gdyż strzelać nie było wolno. Dostał się w niewolę i dowódzca tej przedniej czaty sztabrotmistrz Rybinin; nadzwyczajnie się dziwił, że jezdce

nasi niechcieli brać ani zegarka, ani pieniędzy jego, a nawet potem oddali mu rzeczy zabrane z jucznym koniem. Byli to dragoni Kargo-polskiego pułku niedobitki tych, których tak dzielnie rozbili żołnierze Jenerała Dwernickiego pod Poryckiem. Zabranie moskiewskiéj przedniéj czaty, tak się zrobiło prawornie, że ani w Janowcu, ani w przed mostowym szańcu o tem bynajmniej niewiedziano.

Tem czasem nadciągnął Jenerał Różycki z całym swoim sztabem do przedniéj straży, i tam zmienił całe swoje pierwotne postanowienie brania mostu. Uznano że już tylko trzy godziny do zachodu słońca a przynajmniej godzinę trzeba iść do Janowca, zatem należało czekać do jutra. Nie Jenerał Różycki temu był winien, on był dzielnym, odważnym żołnierzem, a najwyśmienitszym jakim kiedykolwiek kto mógł być Polakiem, lecz był zanadto dobry, słuchał wszystkich rad, a jak to dobrze powiedziało przysłowie; że gdzie wiele nianiek, tam dziecko musi być albo bez ręki albo bez nogi, tak też to się staje i z wojskiem gdzie są rady wojenne i dorady co krok. Karól Różycki był niezmiernie tem zasmucony, ale on nawykł przede wszystkim do słuchania rozkazu starszych. Przeszliśmy przez wioskę Chodczę przez długą groblę, na malenkijéj rzeczce bagnistéj, po której brzegach wzdłuż aż do Wisły ciągnęły się przepaściste bagna, i stanęliśmy obozem na wzgurzu na przeciw Janowca.

Stanowisko naszego obozu było dziwnie obrane; uważając jego front do Janowca, przed sobą miał Janowiec i Wisłę, w lewo duże lasy ciągnące się aż do Temnicy i dotykające

jedną stronę Wisły, drugą bagien ciągnących w prawo obozu aż do Wisły po nad maleńką rzeczką. Oboz był tedy niejako w zamkniętym trójkacie, niemając do działania, tylko niewielkie pole a do wyjścia z tego trójkąta długą i wąską groblę z Chodczy. Wiedziano o tém, że Rydygier musi być w Temnicy; że lada chwilę mógł lasami przyciągnąć pod obóz i pod zastonę tychże lasów posłać oddziały znaczne na prawę stronę bagien do przecięcia się drogi cofania przez groblę w Chodczy; zwłaszcza że i za tą groblą był las; jednak postanowiono tam nocować i mostu niebrać aż nazajutrz.

Moskale obudzeni z niedarowanej nieuczujności, poczuli i w mieście i u szaniców przedmostowych dawać bez przestannie ognia z dział, chociaż nikt na nich nienacierał, i nasz obóz stał przynajmniej o kilka strzałów harmatnich od miasta. Karol Różycki udał się do Jenerała Różyckiego i tą razą prosił żeby albo rozkazał uderzyć w nocy na miasto i na most co mogło pomyslny skutek przynieść, albo żeby opuścił to stanowisko jak najspieszniej i cofnął się za Chodzczę, gdyż bez przestanne strzelanie nieprzyjaciela z harmat, niejest niczem innym tylko powolywaniem Rydygiera ku pomocy, a jego nadciągnięcie groziło zgubą całemu naszemu korpusowi. Słowa Karola Różyckiego były bardzo dobrze przyjętymi przez Jenerała, ale byli ludzie co wołali, żeby zostać na miejscu i czekać na Rydygiera dla honoru oręza Polskiego; dla honoru zaś tego oręza niepopierali myśli uderzeniu na miasto i na most: tak więc z przyczyny tych najniepotrzebniejszych doradców w wojsku, korpus został na miejscu.

Już w późną noc dano wiedzieć Jenerałowi Różyckiemu że oddział jazdy Moskiewskiej wszedł do Solca. Jenerał dał rozkaz Karolowi Różyckiemu żeby o świcie udał się tam z pułkiem jazdy Wołyńskiej.

O świcie przechodziliśmy groblę w Chodczy : pamiętamy te słowa naszego dowódcy: przecie wychodzimy z tego przekłętego samotrzasku.

Uszedłszy może z parę tysięcy kroków w las będący za wsią, zdybaliśmy na pieszo koło malutkiej karczemki, kapitana Łagowskiego, naszego dawnego znajomego z Wołynia; zmieszany był na twarzy a strój miał w wielkim nieporządku. On nam opowiedział że jadąc bryczką z Kielec z raportami do Jenerała Różyckiego, złapanym został przez Dońców; bronił się jak mógł, i pasując się z niemi zrzuconym był z bryczki. Oni przepłoszeni, naszym pochodem, bryczkę uwieźli a kapitana zostawili. W mig trzeci pluton pierwszego szwadronu pod dowództwem Jana Omiecińskiego, skoczył w poszlak za Dońcami, a śledząc ich jak zwierza po tropie, dognał, bryczkę odebrał, trzech Dońców wziął w niewolę; kilku nasi jeźdźce zakłuli, a reszta pierzchnęła. Kapitan Łagowski cieszył się z odzyskanych papierów i skarbów, a Karol Różycki wypytywał na stronie jeńców.

Byli to Dońce z korpusu Jenerała Rydygiera; wyznali że ich korpus złożony z szesnastu szwadronów jazdy, ośmiu bataljonów piechoty i dwunastu harmat ciągnął spiesznym pochodem od Temnicy na odgłos słysznych strzałów Janowca; że Jenerał Kwieciński z dwoma pułkami dragonów i z Dońcami Flo-

rzana Rzewuskiego ciągnie dla przecięcia od Chodczy drogę naszemu korpusowi. Karol Różycki posłał z tą wieścią do Jenerała, a z pułkiem ruszył ku Solcowi.

W drodze zdychaliśmy bataljon strzelców celnych Sandomierskich, i dowiedzieliśmy się że w Solcu niemasz żadnego oddziału nieprzyjacielskiej jazdy; wieść zaś urosła z popłochu zrobionego wpadnięciem kilkunastu dragonów po zabranie soli w magazynie Soleckim. Dragoni prędko wynieśli się, a kompanja naszych strzelców wyszła z rana z miasteczka i zostawiła je spokojnem : o półtóry mili od Chodczy stanęliśmy na odpoczynek.

Tam usłyszeliśmy strzały harmatnie od strony Chodczy; Karol Różycki natychmiast kazał siadać na koń, a zabierając z sobą bataljon strzelców celnych, szedł na huk bitwy. Strzelcom wskazał lasek będący na drodze z Chodczy do Wulki-Soleckiej, który powinni byli zająć; jazda zaś nasza w kolumnach szwadronowych szła sporym kłusem ku Chodczy. — Tu nieszczęśny widok przedstawił się naszym oczóm : korpus nasz cofał się w dosyć dobrym nieładzie, a jazda nieprzyjacielska szła za nim w pogoń; ale ujrawszy nasz pułk (zapewne bała się zasadzki, albo ten posiłek sądziła za daleko większy), zatrzymała się, i korpus nasz nie goniący mógł spieszyć do Wulki-Soleckiej, zostawiając naszą jazdę w tylniej straży.

Tam zaś w obozie rzecz odbyła się tym sposobem : już po wschodzie słońca, z Temnickiego lasu ukazywały się kolumny jazdy moskiewskiej, i razem z niemi ćma Dońców. Jenerał Różycki wtenczas wydał rozkaz cofania się, na długą groblę, na-

przód ruszyła stara jazda i jazda Podlaska; za niemi szósty pułk strzelców Krakowskich pieszych; artyllerja stawała na pozycji przed grobelką do odstrzeliwania się, a legja Litewsko-wołyńska piesza i strzelce celni Podlascy mieli zasłaniać cofanie się. Moskale szybko następywali i rozwijali się przed lasem, a nasi ledwie zabrali się do pochodu. Jenerał Różycki zabrał szwadron legji Litewsko-wołyńskiej; szwadron który po raz pierwszy miał być w ogniu, chociaż wprawdzie składał się on z powstańców ochrzczonych ogniem wielu bitw; podprowadził ku nieprzyjacielowi, kazał rozpuścić harcowników, i przemówił:

— Tu stać, bić się i ginąć a nie ruszyć bez rozkazu.

Dzielni Rusini, bo ten szwadron składał się z samych Wołyniaków i Ukraińców, pomimo że nosił imie legji Litewsko-wołyńskiej, gracko się ucierali z dziesięć razy liczniejszym wrogiem. Alä Moskale lękliwi aby natrzeć na tę garstkę naszych, odsłonili swoją artylleryją, i wtenczas kiedy kulami strzelać poczęli w kolumny cofające się na grobelę, kilka strzałów kartaczami sypnęli do szwadronu Litewsko-wołyńskiego; kilku jezdźców padło, między niemi młody Kaszowski mocno ranny.

Szwadron rażony kartaczami z frontu, a z boku strzałami licznych harcowników, którzy poczęli go oskrzydlać, zaczął się chwiać we froncie, potem porozrywał się i w największym nieładzie szybko się cofał; nieszczęściem wpadł na część legji Litewsko-wołyńskiej pieszej, i na strzelców celnych Podlaskich, rozbił ich i zmusił do rozmykania się na strony po za płoty.

Jazda moskiewska dopiero wtenczas puściła się w pogoń, już na gotowe rzeczy; siekła i zabierała w niewolę naszą pie-

chęć, a popłoch i nieład wleciały do całego korpusu i z nim goniły aż do Wulki-Soleckiej.

W tych nieszczęśliwych kilku godzinach stracił korpus przeszło sześćset ludzi w zabitych i zabranych w niewolę : między temi ostatniemi był waleczny pułkownik Kwiatkowski, i kapitan Hanowski. Gdyby Moskale byli gonili śmiało i szczerze, przy przemożniejszych siłach i korzystając z nieładu, byłiby zniszczyli cały korpus, ale zatrzymali swoją pogoń.

Od Chodzczkańskiego lasu do Wulki-Soleckiej pułk jazdy Wołyńskiej utrzymywał tylną straż, cofając się stępą, pół-szwadronami wé wschody; tylko sami Dońce szli za nami, swoim zwyczajem rozbiegając się po polach : temczasem korpus zbierał się w Wulce-Soleckiej, i poprawiał nieład.

Kolumny nieprzyjacielskie tak były opieszale w swoim pochodzie, że nim się nam ukazały mieliśmy czas nakarmić konie. Za ich ukazaniem się Jenerał Różycki z piechotą i starą jazdą podpułkownika Chmielowskiego pociągnął spieszenie pod Lipsk; Karolowi Różyckiemu polecił utrzymywać tylną straż z pułkiem naszej jazdy, z dwoma szwadronami jazdy Podlaskiej, i z czterema harmatami.

Od Wulki-Soleckiej aż do Lipska z miła polska ciągną się otwarte pola, na prawo widać w dali lasy, na lewo tylko jeden mały laszek przypierał do zabudowań Lipska.

Moskale szli tym porządkiem : szesnaście szwadronów dragonów i konnych strzelców we dwie linje w szachownicę, z całą artylerją złożoną z dwunastu harmat szły naprzód ; po skrzydłach harcownicy Dońscy rozsypali się szeroko ; za jazdą cią-

gnęły kolumny piechoty, i jeszcze kilka szwadronów jazdy. Jazda Jenerała Rydygiera była niezła, ale piechota najlichsza, złożona po większej części z rekrutów Żydów. Nigdy on nieodwahał się jej stawiać w linii bojowej przeciw nam, a tem bardziej nie śmiałby prowadzić na bagnety.

Artylerja moskiewska ciągle dawała do nas ognia; myśmy się cofali stępą, we wschody; granaty pękały przed szeregiem i za ogonami naszych koni, i żaden jezdziec ani odwrócił się przez ciekawość, ani przysporzył chodu koniowi. Kapitanowie Kaczanowski i Freze dzielnie odstrzeliwali się wrogowi, i za każdym strzałem naszej artylerji widzieliśmy jak się mieszały szeregi nieprzyjacielskie, i za sobą zostawiały jeźdźców bez koni, konie bez jeźdźców.

Już niedaleko Lipska, Karol Różycki rozpoznawszy dobrze siły nieprzyjacielskie, przedstawiał Jenerałowi aby przyjął bitwę przed miastem, obsadzając lasek strzelcami celnymi, usuwając działa i piechotę liniową ku miastu, na stanowiska nieprzystępne natarciu jazdy; sześć szwadronów tylniej straży ustawić ukośnym frontem do drogi naprzeciw lasku, starą zaś jazdę z tyłu w rezerwie za linią bojową sześciu szwadronów. Nieprzyjaciel musiałby usiłować dobywać lasku; wtenczas artylerja nasza razłaby jego kolumny, a jazda silnym uderzeniem mogłaby rozbić jazdę nieprzyjacielską i sownie powetować klęskę odniesioną pod Chodczą. Jazda nasza chociaż w liczbie trochę mniejsza, daleko była dzielniejsza od jazdy nieprzyjacielskiej. Karol Różycki sądził że to spotkanie mogło do szczętu rozbić korpus Moskiewski. Jenerał Różycki nieodważył się na to po-

stanowienie, ale umyślił zająć stanowisko za miastem, bronić miasta piechotą, do nocy wstrzymać natarcia nieprzyjaciela, a potem cofać się w lasy.

Wakutek tego postanowienia stara jazda z podpułownikiem Chmielowskim ruszyła w miasto, za nią bagaże i luźne konie. Karol Różycki chciał ze szwadronami wziąć się w prawo, i przeprowadzić je polem za miasto, ale major Poniatowski oficer sztabu Jenerała, posłany na rozpoznanie powierzchni, dał wiedzieć że tamtędy płynie nieprzebyta rzeka, i ciągną się grząskie bagna; chociaż potem dowiedzieliśmy się że tam nie było nic oprócz małego ruczaju. To nieprawdziwe doniesienie starego, a tem samem pewnego doświadczenia oficera, zrobiło żeśmy szli do miasta: po przedzie legja Litewska-Wołyńska konna, dalej jazda Podlaska, w końcu nasz pułk; piechota zaś i artylerja zajęły chwilowe stanowisko opierając prawe skrzydło o cegielnię posuniętą ku laskowi.

Moskale znalazłszy lasek nieosadzony a widząc szybkie cofanie się naszej jazdy, klusem następywali i już pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej wszedł do miasta, kiedy w mieście rozległ się krzyk: *nasze działa biorę!* Karol Różycki przybiegł z czoła kolumny i odwróciwszy trójki od lewego, w cwał wyprowadził nas za miasto przeciw nieprzyjacielowi. Harcownicy którzy bez ładu nacierali na nasze harmaty pierzchnęli, a szwadron pierwszy rozwinął się na drodze przed Lipskiem, o kilkaset kroków na prawo nas stanął szwadron Podlaskiej jazdy.

Jenerał Różycki zabrał trzeci i drugi szwadron naszej jazdy; postawił je między opłokami, tak iż ogony końskie dotykały.

płatów dla wspierania artylerji; częścią piechoty osadził stodoły i cegielnie a sam na czele tyraljerów, posunął się ku nieprzyjacielowi, który już opanował lasek.

Nieprzyjaciel rozwinął szesnaście szwadronów jazdy opierając jęj lewe skrzydło o lasek; odsłonił artylerją, tak ją ustawiając pod laskiem, iż jedną połową raził naszą piechotę, drugą jazdę stojącą na drodze; przytem liczni harcownicy rozsyпали się na nasze lewe skrzydło, które utrzymywał pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej, połowa naszej piechoty i szwadron legji Litewsko-Wołyńskiej były w mieście; podpółkownik zaś Chmielowski tak spieszenie uprowadził starą jazdę, iżśmy dopiero w późną noc potrafili ją dognać. Tak tedy Jenerał Różycki niechcąc przyjąć bitwy w porządnym szyku, przyjmował ją w największym nieładzie, stawiając bronie na niewłaściwych sobie miejscach, rozrywając oddziały jednorodne, tak iż każdy szwadron, każda kompanja prawie były poodosabniane.

Moskale widzieli ten dziwny szyk naszego korpusu, gdyż tak blisko byli od nas że snadno mogliśmy rozróżnić kolory mundurowych kołnierzy i maście koni. Kilka razy trąbili do natarcia, po kilka razy zawrzaśli *hura!* a nieśmieli końmi ruszyć z miejsca; ale za to z harmat tak gęsto i tak hucznie strzelali, że naszych harmat ani słyhać było: służyliśmy za cel Moskiewskim strzałom, a kartacze rwały nasze szeregi.

W tenczas kiedy w pierwszym szwadronie żołnierz trzeciego plutonu Sobolewski padł bez ducha ugodzony dwoma kartaczami w pierś, wachmistrz czwartego plutonu Brzeziński miał rękę i nogę zgruchotaną od kartaczów. Hryckowi Owsiejowi trzy kulki

zdziurawiły czapkę, Teodorowi Myślińskiemu strzaskały kolbę z karabina ; sześć koni było ubitych, a kartacze tak ryły ziemię przed naszym frontem , że kołnierze nasze białe, granatowe mundury, twarze , i konie wszystko było popielate , wtenczas Chwedko żołnierz trzeciego plutonu z uśmiechającą się twarzą odezwał się do Jana Omiecińskiego swojego oficera.

— Panie Poruczniku to dziwo że te Moskiewskie kartacze, to tak purchają jak stado wróblów kiedy się zrywa z konopi.

To porównanie, ten pomysł w chwili kiedy śmierć latała po nad głowami , dowodziły jak daleko strach był od serca tego człowieka , który po raz pierwszy stał we froncie. Chwedko był służącym Omiecińskiego ; na dwa dni przed bitwą pod Lipskiem przyszedł prosić swego Pana, aby mu pozwolił zostać żołnierzem ; na poparcie swojej proźby taki dał powód.

— Jak przyjdziemy do domu, a żona i dzieci i dobrzy ludzie, zapytają : Chwedka, a co ty robił w czasie wojny? to byłoby sromno odpowiedzieć : ja jeździł za pułkiem i wodził pańskie konie, jadł, pił, a z Moskałem się niebił. Niechże Pan tak zrobi żeby Chwedkowe dzieci i żona, mogły mówić : i nasz Chwedko był żołnierzem bił się za Polskę , a ja jak będę żywy, to znowu Panu będę wiernie służył.

Chwedko został żołnierzem i pod Lipskiem brał wojenny chrzest.

Jeźdźce nasi wśród huku harmat i purchania kartaczy, widząc jak ćma harcowników Dońców, dragonów i sztrzelców konnych, bez przestannie pukając oskrzydłała nas w lewo i dosięgała miasta ; wołali na Karola Rózyckiego.

— Ojczy serdecznie! a nu my na nich.

Ioczy tych ludzi jeszcze lepiej mówiły, że w małej garstce pewni byli złamać wroga i przeć przed sobą na przepadłe. Ale Karol Różycki sokolem okiem przejrzał pole bitwy i rozkazu nie dał, a szwadron stał jak mur; stary Stanisław Dunin przed nim. Ci ludzie gorącej krwi i chęci, stali się jak z kamienia, czekali na to, co Bóg da, na to, co dowódzca każe.

Obok szwadronu jazdy Wołyńskiej, działa się rzecz godna uwagi. Szwadron jazdy Podlaskiej złożony z samych nowozaciężnych żołnierzy, został opuszczonym przez swoich oficerów, rannych czy odkomenderowanych tego nie wiem, jeden tylko Hłowiecki podporucznik a przedtem akademik czy z Poznania, czy z Berlina stał przed frontem, żołnierze téj jazdy wołali na Karola Różyckiego.

— Pułkowniku daj nam swoich oficerów, a gdzie pójdą Wołyńce to i my tam pójdziemy, i niepowstydzą się nas.

Karol Różycki przejechał się przed ich frontem, podoficerom kazał wyjechać przed front i zastępować miejsce oficerów, adjutanta pułkowego naszego zostawił przed szwadronem, i ta młoda jazda stała dzielnie, ochoczo.

Inny szwadron téj jazdy, był w prawo między opłotkami postawiony tam gdzie nasze szwadrony, drugi i trzeci.

Mimo silnego ognia, który trwał więcej kwadrans, lewe skrzydło zachowało największy porządek; ale na prawem nie tak się działo; Jenerał Różycki był przy tyraljerach koło cegielni, tak dzielnie strzelających iż zabijali kanonierów Moskiewskich koło harmat, kilka razy dowódzce drugiego i trzeciego szwa-

dronu naszej jazdy prosili o pozwolenie natarcia na wroga, odstawiającego częściami swoje szwadrony, ale Jenerał niedozwolił i rozkazał cofanie się, sam zawsze zostając przy tyralierach

Mimo gorliwość dwóch oficerów sztabu, Eustachego Januszkiewicza i Kajetana Rulikowskiego, cofanie to odbywało się w największym nieładzie; piechota i jazda porozrywana na cząstkowe oddziały, parła się do miasta nie koleją, ale wszyscy razem chciałyby tam wejść.

Dwie drogi wiodły do miasta; jedna, wielki szlak na którym stał pierwszy szwadron jazdy Wołyński; druga, drożyna wiodąca od cegielni między kręte opłotki przedmieścia. Piechota weszła na obydwie drogi, a nawet przez fosy i płoty przełaziła do miasta. Karol Różycki zatrzymał obydwa szwadrony stojące na lewem skrzydle, i kazał piechocie rozstępować się na boki i iść przepuszczając artyllerię. Trzy zaś szwadrony będące na prawem skrzydle, drożyną od stodoły kłusem weszły do miasta, i kłusem chciały one przejść, ale ulica była zatarasowana piechotą i wozami. Jazda zaś Moskiewska z kilku harmatami puściła się w pogoń za naszym prawem skrzydłem.

Tam zaczęła się ogromna utarczka nam bolesna, wielu z piechoty i kilkudziesięciu z jazdy zginęło. Dziewięciu żołnierzy naszej jazdy z podporucznikiem Tytusem Starzyńskim i wachmistrzami Witkowskim i Ostaszewskim, po wścieklej obronie, dostało się w niewolę; także wzięto kilkunastu żołnierzy z jazdy Podlaskiej. Pod Michałem Grudzińskim ubito dwa ko-

nie, kiedy dzielny ten oficer w tylnéj straży, jako dowódzca i jako żołnierz, odpierał Moskali. Potrafił on o tyle ich wstrzymać, że przed nim będąca jazda i piechota wyszły z miasta : on sam po stracie drugiego konia, na piechotę zdołał cofnąć się przed Moskalami.

Już Moskale byli w mieście z prawéj strony, i harcownicy nieprzyjaciela, ucierający się na naszym lewém skrzydle, wpadali do miasta, kiedy Karol Różycki wydał rozkaz cofania się. Jazda Podlaska nie chciała iść naprzód żeby nie zmniejszać sobie niebezpieczeństwa, nasz dowódzca nie chciał jéj zostawiać z tyłu ; trójkami tedy oba szwadrony szły obok siebie. Szły stępa ; Moskale wyciskali się z zaułków, a nie śmieli na nas nacierać. Szable mieli powznoszone do góry, a nasi jezdźce drzewcami spis ich odganiaли, tylko kartacze na nas sypały i wyrwały z szeregów to jeźdźców, to konie.

Adam Baranowski, wachmistrz pierwszego szwadronu, z rozkazu dowódcy zebrawszy kilkunastu strzelców celnych Sandomierskich, osadził niemi domy z których odpierał Moskali od mostku nad prawie wyschlą rzeczulką, którędy mielibyśmy przechodzić.

Ledwieśmy przeszli most, rozbiegła się wieść że generał Różycki zginął, i sztabs-oficerowie różnych broni, żądali od Karola Różyckiego, aby objął dowództwo, co też on natychmiast uczynił.

Już całe Moskiewskie siły wchodziły do miasta, a porozrywane cząstki naszej piechoty wynosiły się ztamtąd. Karol Różycki natychmiast cofające się oddziały zatrzymał, i kazał po-

odwracać frontem do miasta. Cztery działa Frezego i Kaczanowskiego ustawił w baterje pod zuboczą na lewo, szwadron legji Litewsko-Wołyńskiej postawił w obronie dział, za nim o kilkaset kroków szwadron jazdy Podlaskiej w kolumnie ściśniętej niejako rezerwę. Ta jazda w oddali od strzałów, z zawzógóra nieprzyjacielowi przedstawiała czoło licznej kolumny. Dwa działa pozostałe, były przy tej jeździe, te działa były tak niegodziwe, że ich nigdy prawie nieużywano, majaczały tedy, jako artylerja rezerwy. Pierwszy szwadron jazdy Wołyńskiej obrócił się plutonami ku mostowi, a pod jego zasłoną piechota formowała kolumny do natarcia. W mieście jeszcze słycać było odstrzeliwanie się oddziałów naszej piechoty, ale już kolumny Moskiewskie wysuwały się ku mostowi.

Artylerja nasza poczęła raźnie palić na z ukos do kolumn nieprzyjacielskich, a tak celnie że za każdym strzałem trupy pomostem się kładły. Jazda nasza z prawego skrzydła, rozsypana po prawej stronie rzeczki, poczęła przechodzić i formować się za kolumnami piechoty. Moskiewskie kolumny zatrzymały się i ujrzelśmy jak się wynosiły z miasta we wstecznym kierunku skąd przyszły.

U nas w bębny zabębniiono do natarcia, kolumny piechoty ochoczo z bagnetem szły na most, jazda odebrała rozkaz iść w lewo po za miasto, tą drogą którą przeszkodziło nam iść rozpoznanie majora Poniatowskiego, a o której się przekonano, że nie miała żadnej rzeczki, tylko suchy ruczaj do przebycia.

W jednem mgnieniu oka zmieniły się położenia obydwóch wojsk, nieprzyjaciel się cofał, a myśmy szli do natarcia, kiedy

się zjawił generał Różycki na czele tyralierów, z którymi był odcięty, a po dzielnej obronie dostawał się do nas. Generał serdecznie witany przez wojsko objął dowództwo, a uznawszy według siebie natarcie niepodobnym, zatrzymał kolumny. Moskale wycofali się z miasta; i jakiś czas nawzajem strzelaliśmy do siebie z harmat, a potem nasz korpus udał się do dalszego cofania się.

W czasie tej ostatniej chwili, waleczny adjutant naszego pułku dostał kontuzji tak silnej, iż o mało życiem nie przypłacił. Karol Różycki był ranny lekką kontuzją w szczękę, ale to bynajmniej ani chwili nie przeszkodziło mu dowodzić. Straty naszego korpusu w tym dniu były znaczne, bo przyprawiły najmniej o stratę jego czwartej części, duch jednak bynajmniej nie upadł. Żołnierze i oficerowie ci co się bili, wiedzieli, że bitwa pod Chodczą była nie wiedzieć po jakiemu i na co wydana; w bitwie zaś pod Lipskiem nie chciano dwa razy próbować zwycięstwa.

Nocowaliśmy o dwie mile od Lipska, a ztamtąd poszliśmy do Kunowa przez Grabowiec, Moskale szli za nami, ale bardzo wolno, i nie widywaliśmy tylko Dońskich harcówników.

Między jeźdźcami straconemi, był młody K....z Ilży, nie wiedzieliśmy gdzie się podział; dopiero w Kunowie własna matka przywiozła go do pułku po raz drugi. Był on w drugim szwadronie w czasie bitwy, gnany przez kilku Dońców uciekł w las, a ztamtąd nie mogąc trafić do pułku, zajechał do matki. Ona go przewiozła między poczty nieprzyjacielskie. Łzy u niej były w oczach, kiedy stanęła przed naszym dowódcą.

— Panie pułkowniku, dalibóg mój syn nie uciekł, on tak się tem trapił, że pułku nie znalazł; o ja wiem że on by wolął sto razy zginąć, jak żeby o nim źle myślano. Biedne dziecko, to dobra krew Polska. Ojciec jego to był dobry Polak, stary żołnierz, jeszcze za Dombrowskiego. Ja mu od kolebki zawsze gadałam : Polak dla Polski wszystko powinien zrobić ; bij Moskala, bij Niemca. Jak Boga Kocham, on tak będzie robił, niech pan Pułkownik go weźmie.

Matka dalej mówić dla łez nie mogła, i syn miał łzy w oczach ; a kiedy pułkownik usmiechem, słowem i uściskiem przygarnął go do siebie, oboje jak prawdziwe dzieci płakali z radości.

Po chwili, Karol Różycki przedstawiał matce żeby zabrała go do domu, mówiąc że młody, a że waleczny to się zda na drugi raz.

— Na drugi raz, nam trzeba teraz ich pobić, jak wszyscy Polacy wezmą się do broni, to pobiją; dalibóg pobiją. A jak trzeba będzie jeszcze, to Polska znajdzie ludzi do broni, znajdzie zawsze na wroga.

Młody K.... został w pułku, a matka, co go przywiozła ze łzami w oczach, ze smutkiem w sercu; odjeżdżała do domu bez niego z usmiechem na twarzy, z wesołością w sercu, bo to była matka Polka.



SAWELEJ.

(WSPOMNIENIA PUŁKOWE.)

Sawelėj nie był ani Watażką kozaczym, ani bobaterem powstania, był to po prostu mieszkaniec Tambowskiej czy Saratowskiej gubernaji, oddany w rekruty roku pańskiego 1805, na załatanie owėj dziury, na jaką naraziło się Moskiewskie wojsko pod Austerlitz. Po dwudziestu trzech latach, wyrażając się terminem Moskiewskim, *bezporocznej* służby, naprzód w dragonach, a potem w ułanach Sanktpetersburgskiego pułku, dla dosłużenia swoich dwudziestu pięciu lat, przeznaczonym został na *dieńszczyka*, czyli służącego do młodego korneta tegoż pułku, Michała Grudzińskiego.

Służba Saweleja była *bezporoczna*; jak sam mówił, nigdy mu więcj nie wyliczano nad sto pałek na raz; jak mu oficer powiedział, w chwilach kiedy jeszcze był żołnierzem: Sawelėj trzeba mi kury na rosół, albo kapłona na pieczystę, poszukaj, Sawelėj w duch dostawił co oficer chciał, i pieniądze za nie

nie żądał, bo sam niemi nie płacił. A jak chłop gospodarz przyszedł z podatkiem do oficera, skarżyć się że Sawelej kury kradnie, to Sawelej kilkadziesiąt pałek dostał i nie powiedział, że oficer kradzione kury pojadał. Toż samo robił z owsem i sianem, kiedy rotmistrz wskazał w szwadronie konie na wielki post z suchotami, ale zaprawny przykazem aby były spasniesz jak dawniej. Do tych zalet wyśmienitego Moskiewskiego żołnierza, miał nieco odwagi, ozdobiony był medalami za wojnę turecką, za wojnę francuzką, i za wzięcie Paryża. Więcój roku był we Francji, i tam go jedna rzecz mocno za-
stanowiła, i o tój powtarzał wszystkim ludziom, mniej bywałcom jak on.

— Ot Francja, święty Mikołuszka pomiłuj, co to za rozumni tam ludzie, u nas to panowie płacą żeby paniczów i panienki po francuzku uczyć, a tam każdego chłopca dziecko, jeszcze chodzić nie może, a już tak gada po francuzku jak nasi panowie; to aż dziwno, co to za rozumny naród.

W obec swojego oficera Sawelej nie umiał tylko dwa słowa wymówić: — Co rozkażecie? — Słucham. — Gdyby oficer był kazał skakać z piątego piętra, byłby odpowiedział: — Słucham, i skoczył.

Taki to człowiek wypiastowany i wyedukowany pałkami, dostał się na denczyczka do Polaka, i do dobrego Polaka; dziwił się mocno dla czego na pierwsze powitanie młody jego pan nie kazał mu sygnąć sotki pałek, jako zadatek na przyszłe przewinienia. Służył mu jednak wiernie i poczcziwie przez czas kampanji tureckiej, jakby własne dziatki, hodował wierzcho-

we konie swojego pana ; owego kasztanowatego anglezowanego *Ażmaza*, i wronego Czarnomorca.

Po wojnie służył panu jęk najwykwintniejszy francuzki kamerdyner. Ponieważ pańska fantazja była, każdego rana przed ubraniem się, wypalić siedm fajek tureckiego tytoniu, a każdą w innym szlafroku i obwiązany innym szalem, Sawelej nigdy się nie zmylił ; zawsze podawał po czerwonym, zielony, po żółtym, biały szlafrok ; imbryki z herbatą obwijał w dziesięć serwet, żeby zapachu najsubtelniejszego nie przepuściły, bo pan w czasie kampanji dowiedział się, że tak robią Chińczycy, i tak przykazał robić Sawelejowi : a prędzójby słońce pozwoliło sobie zmienić złoty na czarny kolor, jak Sawelej zmienić rozkaz pański, bez nowego rozkazu. Pana zaś swego bardzo kochał, i zawsze mówił w kredensie przed służbą, i w garderobie przed pokojówkami :

— Jak mój pan, to takiego nie masz na świecie ; sztab-rotmistrz, trzy krzyże i szablę za waleczność dostał, a wszystko jednej kampanji : a taki młody, ale chwyt.

Kiedy nadeszło nasze powstanie, Sawelej, Moskał zabity, nie opuścił swojego pana ; poszedł z nim, i jak w kampanji Tureckiej, tak w kampanji przeciw Moskałom, wodził *Ażmaza* i *Czarnomorca*, robił panu herbatę, jeść, i służył wierniej jak pies. Czasami wprawdzie, po odetchnięciu z Moskiewskich pałek, lubił sobie pociągnąć trochę, ale nigdy nie tracił głowy, i nie przeczył panu że pijany ; tylko na wszystkie połajania powtarzał : — Słucham.

Nie raz bywały takie wypadki.

W jednym miejscu harcownicy nasi ucierali się z harcownikami nieprzyjacielskimi, i za lada chwilę pewni byliśmy boju, kiedy Michał Grudziński zawołał :

— Sawelej, poszukaj mi czerwony sznureczek, tam musi być w jukach.

Sawelej odpowiedział : Słucham. Za frontem rozpakowywał juki, porządnie rzeczy po rzeczach wyciągał jakby to było na mustrze, znalazł czerwony sznureczek, i przyniósł panu.

Grudziński obejrzał na wszystkie strony sznurek, i powiedział : Schowaj, a nim przyszło do boju, już wszystko było upakowane i juczny koń uprowadzony w bezpieczne miejsce.

Podobne wypadki odnawiały się bardzo często, niemi Grudziński utrzymał Saweleja w porządku i karności.

Po nieszczęśliwym końcu wojny, Sawelej w Galicji, chociaż był przy swoim panie, używał wielkiej samowoli, tak mu to było niemiłym, tak się stęsknił za pałkami i za służbowym rygiem, iż jednego dnia czy nocy, nie powiedziawszy panu nawet bądź zdrów, porzucił go, i poszedł na Ukrainę; nie zabrał jednak z sobą ani złamanego szeląga, nienależącego do siebie.

Nie doszedł do wioski swojego pana; w drodze był złapanym i zaprowadzonym do Żytomierza. Tu dopiero żał mu się zrobiło za panem.

Przywiązanie ku panu wlało mu spryt do głowy i rozwiązało język : i kiedy go stawiono przed jenerał-gubernatorem Lewaszowem, postanowił uniewinniać swojego pana, i tak się przed nim tłumaczył :

— My byli z moim panem w Kikiszówce, za pozwoleniem

pułkownika; pan wziął z sobą kilku ułanów dla bezpieczeństwa: my sobie cicho siedzieli, kiedy przyszła wiadomość że w Warszawie wojna; aż tu niezabawem gadają, miateżniki na Podolu, miateżniki na Ukrainie; mój pan do mnie mówi: Sawelej, trzeba jechać do pułku i bić miateżników; żeby bezpiecznie zajechać, wsadziemy ułanów na koń, weźmiemy najtęższych chłopców dziesięciu z Kikiszówki na koniach, i tak pojedziemy dziś w nocy; a ja odpowiedział: Słucham, i wszystko przygotował do drogi.

W nocy wyjechali my z Kikiszówki, ale jeszcze nie dojechali do Fredrowa, kiedy tu od Bystrzyka napadli na nas jacyś ludzie z krzykiem: Bić wiązać! To był starszy panicz z Terechowy, co to żartować nie lubi; mój pan chciał się bronić, ale ja pokazał że tam ich było nieprzeliczona moc, tak my i musieli z nim jechać.

Panicz z Terechowy powiedział do mojego Pana: ty służył w wojsku, stawaj i komenderuj; a oczami pogroził, że jak nie to zabije. I mój Pan stanął i musiał komenderować.

Tak my przyszli aż w lasy; tam zastali Pana Różyckiego. To to gniewliwy człowiek! jeszcze gorszy jak Panicz z Terechowy, a jak powie: tak chcę, to i tak musi być. On zaraz zakrzyczał: ty Grudziński będziesz komenderował drugim szwadronem, wy ułani, będziecie z moimi ludźmi bili Moskali. I tak być musiało: a sporzyć o co nie było, bo w lesie drzew co niemiarą, i o postronka nietrudno.

Poszli my i szli, pod Cudnowem zdybali naszych taki Carskich żołnierzy, a Różycki krzyknął bić i my poskoczyli, bili i

pobili taki naszych; przyszli pod Mołoczki, i znowu bili naszych, przyszli pod Tyzyce i tam taki naszych pobili. Weszli do Królestwa Polskiego jak oni nazywali, i tam znowu na miazgę pobili naszych. Ciągłe bili i bili; aż dziwno!

Pan mi mówił: Sawelój, biada nam, my bijemy naszych; już nam do Cara nie wracać: a jak to mówił to aż płakał, łzy mu stały w oczach, tak żałował Cara.

Potem my przeprawali się za Wisłę, i tam miateżników pobierali jak żołnierzy w mundury, i mój pan musiał się ubrać w ich mundur; i znowu my bili naszych.

Jednego dnia pan mi powiedział:

— Słuchaj Sawelój; trzeba by temu koniec położyć, trzeba by się wymknąć i wrócić do Cara; uciekaj ty naprzód, jak tobie się uda to i ja ucieknę.

Ja poszedł, ale u tych miateżników, to tak: tu wedeta, tam pikieta, jedna koło drugiej jak płot; na brzuchu ja pełzał, a tu mnie cap za kołnierz.

— A szelma ucieka! — i poprowadzili przed Jenerała Różyckiego.

Ten Jenerał Różycki, to nie ten Różycki co z nami wyszedł z pod Gudnowa; maleńki, raby, oczy jak u kota, a zły jak gądzina. Nic więcej nie gadał tylko: powiesić, zastrzelić! Jak tylko mnie przyprowadzili tak jeszcze niedostuchał o co rzecz idzie a krzyknął:

— Powiesić szelmę! zaraz, zaraz.

Wtenczas mój Pan do pułkownika Różyckiego, zaczął jego w ręce całować, i prosić żeby mnie wybawił. Pułkownik po-

szedł do Jenerała, jak mu nagałał, naprosił go, tak on żeby się odczepić, krzyknął:

— Weź go sobie do djabła.

Mnie niepowieszono, a pan powiedział — No my już teraz nieszczęśliwi, Sawelėj, nawet uciec niemożna.

Znowu chodzili po Polsce i bili naszych, aż nareszcie przeszli Wisłę i zaszli do Galicji w Cesarski kordon: tu pan do mnie rzekł:

— Sawelėj, mnie już niema co wracać, mnie nikt nie uwierzy; ale ty wracaj, Car dobry, tobie daruje; ty niewinię. Jedź Sawelėj; mnie już trzeba gdzieś umrzeć. I Pan tak płakał jak dziecko, i ja płakał.

Sawelėj tak się przejął swem zmyślonym opowiadaniem, że płakał jak bóbr przed Jenerałem Lewaszowem, i ledwie mógł zakończyć.

— Ot i ja przyjechał, a mój biedny Pan tam, biedny Pan!

I temi słowami związał sobie na nowo język; bo odtąd na wszystkie zapytania Jenerała Lewaszowa odpowiadał:

— Co przykarzecie?

— Słucham.

Nawet pałki i stusaki oficera przeznaczonego do ciągnięcia, indagacji niepotrafiły ani jednego słówka więcej wyciągnąć.

Wskazano biednego Saweleja na wieczną służbę w bataljonach sybirskich: on wyprostował się; oczy jak w tęże wlepił w oficera co mu czytał wyrok, i gromko wymówił:

— Słucham.

Ten człowiek liczący do sześćdziesięciu lat, po dwudziesto-pię-

cioletniej służbie dwóm Carom, wśród zamieci śniegowych, kopał się w płaszczu rekruckim, a dozorczy w kozuchach, na koniach gnali go jak bydle jakie, i on nie szemrał, nie opierał się woli tylko powtarzał :

— Słucham.

Za Permą padł na szlaku pocztowym i podnieść się nie mógł; Doniec jadący przy przestępcach, pociągnął go kilka razy nahajem, on oczy podniósł do góry, ostatni wysiłek zrobił żeby powstać, wymówił :

— Słucham.

I z tem słowem, życie w nim zamarzło. Zawarły się oczy, skościło ciało; z rozkazu starszego Dońca, współtowarzysze zrzucili z drogi w śnieg ciało Saweleja, i zdawało się że członki zmarznięte chrupnęły we wstawach rozgłosem podobnym do:

— Słucham.

O bogdajby to słucham doleciało było do ucha Cara Moskwy, i on by może powtórzył :

— Słucham.



MAXYM SZTROC.

(WSPOMNIENIA UKRAIŃSKIE.)

Roku tysiąc ósmset jedynastego już w chwili kiedy wojna Moskwy z Francuzem była postanowioną, w Ekaterynostawie podówczas Małorosijskiej stolicy, na rozkaz Cesarza Alexandra zebrano się mnóstwo Ukraińskich obywateli. Rzecz chodziła o to aby Ukraina uformowała nowe kozackie pułki do służby Moskiewskiego Cara : Witt , Obolańscy, Zawadowscy, i inna im podobna młodzież Ukraińska zapaskudzona Moskiewskimi uczuciami nazbiegała się z patentami na pułkowych dowódców, a od obywateli chciano aby synów swoich i dobytki poświęcili na tworzenie tych pułków; w nagrodę zostawiono im miano Kozackie.

Między temi obywatelami był Igor Zagrajski ze swoim szwagrem Maxymem Sztrocem.

Na niemiecko przezwanym dla tego iż takim był pronozą, że i samego djabła wyprowadziłby w pole i oszukał.

Zagrajski z siostry Sztroca miał czterech synów dorodnych

i czerstwych jak Ukraińskie dęby, a takie czmuty, że w całej okolicy gadano — To djabły nie chłopcy znają się między sobą i z ojcem jak łyse konie, a kiedy kto wlezie między nich, to tak mu będzie jak palcu w odzwierku kiedy go przymkną.

Sztroc nigdy żony nie miał, ale pamiętał bardzo dawne czasy, był Zaporozcem i to w starszyźnie za Kałdyszewskiego którego powszechnie zwano Kałdyszem ; nie jedną czarkę wódki przepił z Żelezniakiem; nieraz, nie dwa, hulał po stepach za wilkami z Nekrasą, był przy oblężeniu i zniszczeniu Siczy i tam dziwy dokazywał, jak o tem nie on sam, ale Kozackie kroniki powiadają. Na starość osiadł przy siostrze, i układał do konia i do spisy małych siestrzeńców jak wyżłów do pola, a powiadał jeśli z nich nic nie będzie, to w Zagrajskim Igorze musi być krew niemiecka, albo do ich natury musiała się wkaść natura niemiecka — Sztroc jako prawdziwy Kozak Niemca jak gadziny niecierpiał, a z Moskałem miał na zębie. Ile razy sobie więcej okowity pociągnął jak potrzeba, to wasa pokręcał i mruczał. Żeby Bóg dał Moskala w szory ubrać, co znaczyło w prostym zwyczajnym języku, oszwabić, czyli na dudka wystrychnąć. To by potem i Sicz się odbudowała, i Król Jegomość Polski, pan nasz miłościwy wziąłby rzeczpospolitą za łeb; my by z Kosza młodzców dostarczyli i z serca dopomogli.

Sztroc w swoim rozumie tak kmetował, że Król Jegomość był gospodarz Polski, ojciec narodu, co ład i sprawiedliwość wszędzie sprowadzał; a rzeczpospolita to była zbierana drużyna z Krnąbrnych panków, z Jezuitów których zwał Wyzuwi-

tami, z całej psiej niemieckiej i cudzoziemskiej zgrai i z Żydów. Zdołało mu się że jakby jednych powypędząć, powywieścić, innych ujeździć i trzymać w dobrej ryzie, toby Polska była gospodarną u siebie, a potężną dla sąsiadów. Do tego jak mniemał Sztroc nie trzeba było tylko samych Polaków ale z Królem Polskim. Taki był Pan Maxym Sztroc.

W najokazalszym zajezdnem Ekaterynosławskim dworze, u Marszałka Czorby zebrali się obywatele Ukraińscy; byli tam Konowalscy, Neczaje, Czernaj, Rajewscy, Humańce, Wasilewscy, Krasowscy, Żurbowie, i siła innych. Największa część w staropolskich strojach przybrana, i staropolskim obyczajem na zachęcenie do narady zastawiano butelki z winem i z miodem, choć gospodarz znający swą powinność przynuki używał, nikt niedawał się prosić dwa razy, pili i radzili.

Sztroc zeszczerzył wąsy.

— No Czort by jego matkę porwał, trzeba moskała w szory ubrać, bo jak my jego nieubierzemy to on nas ubierze.

— Ba, a jakże my jego ubierzemy.

— Jak wielkie dziwo, nietaki to straszny wilk jak się zdaje.

Już ja raz był ubrał Moskala w szory i tak że się on ani spostrzegł.

— A jakże to było, i kiedy opowiedz nam.

— Było to już temu dawno — już temu trzydzieści siedm lat z górą ja nie taki był dziad jak teraz. Nekrasa figla Moskałom zrobił, taj ich wyrzwał z kilka tysięcy, ale jeszcze ich zostało i ci przyszli pod Sicz. My przychodzimy do Koszowego, a co ojczce na nich, a Pan Koszowy stchórzył jak trusia, i

starszyźnie niebardzo chciało się brać do szabli, chcieli rzecz słowem zagodzić, jakby to było można, albo tak było dobrze robić. Ale Nekrasy nie było i z nim co lepsze Atamany Kurenne wyszli, a między temi co zostali wodzili rój Czepiha i Hołowaty, taki na niemiecki kamień szelmy. Jak zaczęli zwodzić, korowodzić tak i okazali że Koszowy ich wysłał do moskiewskiego generała z powitaniem, Generałowi tego i potrzeba było zaraz przyjechał z uszanowaniem do Pana Koszowego. Był to Węgier Tekieli, jak dziś go pamiętam, cienki jak glista, jakby jedną kiszkę miał w całym brzuchu; a tak się prosto trzymał, jak gdyby połknął żelazny stępel i niemógł go strawić. Oczy mu jak cybule na wierzch wyłaziły, a ciekawy złodziej, jak kruk patrzył na wszystkie strony — twarz miał jak burak czerwony i kameryzowaną jak podgardle indyka, a nos jak surowa kartafla, i ciągle w niego pchał tabakę jak w makulrę; taka to była psiawiara.

Słych mówił, że się w swoim kraju urwał od szubienicy, i uciekł do Carycy Moskiewskiej; swój ze swoim się zwąchał; ona obwiesia zaraz zrobiła generałem, i dała mu swoich moskali żeby ich wieszał, zabijał, bił i robił co mu się podoba byle dla dobra jej służby.

Takiego to ptaszka Pan Koszowy przyjmował w Siczy, srom ludziom powiedzieć, ten obwieś zasiadł z nami ze starszyzną do uczyty i jemu przed panem Koszowym podawano w korytach dębowych jak to u nas zwyczaj i Sałamachę, i solone sudaki, i kurkę i lina, i swininę i śliwki, kręcił nosem od czosnku, a wszystko tabakę niuch, niuch, niuch, przetykał sudaki jak ty-

kawa szkapa, ale jadł i pił, bo chciał sobie nas przyhołubić a myśmy go uprzejmie traktowali, bo to kozaczy zwyczaj jak zaproszą parszywego psa, albo żyda parcha; albo nawet Cesarzkiego niemca z kordonu do chaty, to jeszcze go nie nahajem, lecz chlebem i solą trzeba ugościć. Huncwot jednokiszka tak posmarował łapy Czepiże, Hołowatemu i innym, niech im tam w piekle djabeł smolnemi karbowancami i łapy i gęby parzy, że zaczęli gadać; trzeba zgody z Carycą to nasza jednowiarka, lepij z nią jak z Lachem katolikiem, albo z Bisurmanem. Wszędzie było pełno tych krzyków, a Pan Koszowy w miejscu krzyknąć. Na koń, za spisy, taj na wroga, i tym sposobem gęby zamknąć. Zwołał naradę, jakby to Zaporozie była rzecz-pospolita Polska, tfu splunął.

Jak ja wam mówiłem w tenczas byłem młody, przyszedłem do Pana Koszowego i pokazałem mu nahaj.

— Ojcie Koszowy ot narada, kto posłucha to dobrze, kto, nie, to temu w skórę korbaczem zagadać; wszak tu idzie o dobro, o wolność Zaporozia.

Ojciec Koszowy siedział już jak sowa nadęty oczy mu posłowiały a z ust ślinił, przed nim stał kufel z wódką i czarka. Zabełkotał.

— Synu napijmy się, na frasunek dobry trunek, jakoś to będzie.

Myszę sobie, w tę Pan Koszowy gra, napił się, i poszedł, bo z opojem taj z durniem niema co robić, lepij się rozejść, jak zdybać.

Poszedł ja po kureniach, a i tam piją; panowie Czepicha i

Hołowaty i groszy i wódki hukiem rozdali między młodźców, ja im gadam. Moskał pod nosem, a oni mnie. Panowie starsi, za nas patrzą i radzą. Ja im mówię, Caryca gorsza Bisurmana, chcę nam jak braciom Lachom zalać sadła za skórę, jak swoich moskali wziąć pod knut. A oni mnie. Kto nam dobrze życzy, temu Pan Bóg dobrze daje, a kto źle, tego niech Pan Bóg karze. Podumał ja sobie kiedy już tak Kozacy na samego Boga się zdają a sami nic niechęć robić, to na lichą godzinę przyszło; bo i Pan Bóg powiedział rób człowiecze ja ci dopomogę; a kto próżniak tego djabeł bierze w swoją opiekę. Sumno mi było, tak jak człowiekowi co od swita do ciemnej nocy nawłóczył się z chartami po stepach, a ani koszlawego zajaca niezdybał nawet.

Tu Sztróc łyknął wina, obtarł wąsy i dalej mówił.

W tenczas zacząłem kmetować i wykmetowałem; niema rady trzeba Moskala ubrać w szory. Przyczepiłem się do tych co szli z pozdrowieniem do jednokiszkiego, i poszedłem. On nas uczciwie przyjmował, dał napoju i jadła, ale na talerzach, i każdemu z nas darował po tuzinie talerzy, wszyscy brali i dziękowali, a ja niechciałem, tylko do niego przemówiłem.

— Choć waszec jesz z bluda
Masz się s chuda,
A my choć jemy z koryta.
Mamy się do syta.

Psiawiara tak się tem udobruchał że mnie zaczął nazywać swoim kochanym przyjacielem, Sztronciniem.

Na drugi dzień rúszył ja do głowy po rozum, przyszedł do niego.

— Jaśnie Wielmożny Jenerale teraz czas ryby łowić, a jak my nie połowimy, to pozdychają, żal się Boże.

— To łowcie rybę.

— Jak tu łowić, w samėj Siczy niemasz, a za Sicz ani rady wyjść. Jaśnie Wielmożnego Jenerała ludzie, jak do kaczek by strzelali.

— Ja każę dać przepustkę.

— To to ja o to przyszedł prosić, ale sam jeden człowiek nic nie zrobi.

— Za jedną przepustkę z całą kompanją możesz pójść.

— Ale ja by prosił Jaśnie Wielmożnego Jenerała o dwadzieścia takich przepustek.

— A to na co.

— Bo to u nas tak, jednemu mówiła matka; niewychodź z domu o północy bo będzie lichó, drugiemu; wychodź o północy, a zawsze ci będzie szczęście. Temu znachor powrózył że mu dobry ranek a zły wieczor, a tamtemu że mu dobry wieczor a zły ranek. Jednemu kiedyś tam koń zakulał jak wyjeżdżał o południu to i za nic niepojedzie o tym czasie. Innemu kochanka nie dopisała, a wyjechał z Siczy o świcie. I takim sposobem każdy ma swojego mula co go szmula. Ludzie rozumni gadają to zabobon, a to prawda, dla tego my z jednej kompanji niewszyscy możemy o jednej godzinie porzucić Sicz.

Rozśmiał się i kazał mnie dać dwadzieścia pięć przepustek.

Tejże samej nocy dwadzieścia pięć kompanij , a w każdej było najmniej sto ludzi , wyszło nie na ryby ; ułożyłem się z niemi żeby z tyłu Moskalom pieprzu napędzić . Oni poszli to do Nekrasy , to do braci Lachów .

Na drugi dzień znowu wyrobił trzydzieści przepustek ; i tak dalej , że z całego kosza w Siczy niezostało więcej nad tysiąc kilkaset ludzi i to po większej części starszyny . Czepiha z Hołowatym z językiem polecili do Jednokiszkiego , ja w tenczas właśnie byłem , dla siebie brałem przepustkę .

Tak się psiawiara rozgniewała , że przyskoczył do mnie , i po moskiewsku i po madziarsku i po niemiecku łajał , ale bić się niepoważył , bo ja ścisnął palce w kułak , na znak że jak go zamaluję , to się już niepodniesie , kazał mnie wziąć pod areszt .

— Czepiha do mnie przyszedł i prześmiewał się .

— Ha Sztracuniu ubierał ty Moskali w szory , a teraz i ciebie ubiorą .

Ja mu odpowiedziałem .

— Niemów hoc , póki nieprzeskoczysz , bogdaj tak niebyło , a maie się zdaje , że nieprędko wyłabudacie się z Moskiewskich szorów .

Tekieli wszedł do Siczy wszystko zabrał , zniszczył , a dla siebie tyle na kradł że potem stał się wielkim panem — Ostatki młodzców z Czepihą i Hołowatym pognano nad Kubań rzeką , gnać Czerkiesa czort wie za jakie imie — Ojca Koszowego zawieziono do Moskwy i on tam się zapił . Nekrasa nieprzyzedł , bo go drugi taki psiawiara jak Tekieli , jakiś francuz

Balmain parł nad Dunaj, a bracia Lachowie zwyczajnie Rzeczpospolita radzili, krzyczeli, między sobą się tuzali, a nic nie robili; myi Lachy pojedynczo się wadziliśmy, a Moskal nas brał za łeb a Niemce pludry zaczęli nas w szory ubierać; zła godzina przyszła na Polskę, przygryzł wargami i zamilkł.

— A z tobą co się stało.

— Jak niedzwiedzia Moskale wodzili za sobą, ale jak to mówią; co ma wisieć ta nie utonie, uprzykrzyło się im wodzić, a ja im niechciał służyć, taj wypuścili. I już od tego czasu burłakowałem sobie między wami.

— Ależ bracie Sztroc żebyście wszyscy byli siedzieli w Sicz, Moskale nieśmieliby wejść do niej.

— Co tam bajacie, byliby wszystkich zapędzili nad Kubań rzekę, a tak przynajmniej jest Kozaczego kwiatu po całym świecie. Ot napijmy się. I w szklanki nalewał, chrząkał, spluwał, widno chciał zagadać, albo zapić to powiedzenie, tak ono mu w sęk trafiło.

Wszyscy to dobrze zauważali, ale ponieważ mieli pewien rodzaj zachowania względem starego Zaporozca niechcieli go frasować, stary Czernoj się odezwał.

Ale jakże my teraz ubierzemy Moskala w szory.

Sztroc poprawił wąs.

— Jak, ot tak, tworzyć pułki i to jak można najprędzej. Kiedy już będą gotowe, nieczekając dalszych rzeczy, wszystkich Moskiewskich czynowników i oficerów wywieszać a choćby nawet i wydusić, potem zaraz Atamana wybrać i krzyknąć na

Lachów; nu panowie bracia, postawmy na swoim czele króla i bądźmy Polską.

— A jak Lachy niezechcą, bo oni coś jedni z Francuzem, a drudzy z Moskalem trzymają.

— Bajbardzo pytać się ich czy zechcą, czy nie zechcą; gdybyśmy im przychodzili szeptać na ucho, albo podjudzać, to nie mówię, ale kto rusza z szablami i ze spisami i bije wroga, a myśli że ludzie co siedzą w domu niepójdą tam gdzie on zechce, dla wspólnego dobra, to wielki safandula; starzy ludzie mówią, durny ten co prosi, kiedy może kazać, Bogiem a prawdą rzekłszy, Panowie Lachy przyzwyczaili się jak cygani po świecie włóczyć, przy cudzym ogniu chcieć nie sami swoją pieczeń piec, ale żeby ją im upiekli, to też my ich oduczmy od tój cygańskiej nawyczki.

— Trudna to rzecz trudna, sejmiki to im wlaży w głowę, wołą krzyceć, wrzeszczeć jak co robić, jakbyśmy tylko co zrobili, toby oni skonfederowali się i uciekli z kraju.

Kiedy kogo niema rady zatrzymać, to czort go pobierz, niech jedzie gdzie chce choćby do Niemca, wszystkich ludzi i ziemi z sobą niezabierze, jak się dobrze zrobi, a powróci, to w ten czas my mu powiemy; ruszaj z Bogiem Panie bracie, kto niechciał dołożyć pracy, to i nie będzie jadł kołaczy. My też na nic nie zważajmy a róbmy.

Stary Czernoj pas poprawił.

— Ubierajmy Moskala w szory, ale patrzmy żeby on czasem nas nieubrał, to psiawiara.

Postanowiono tedy oszwać Moskała, ale Moskał niespał, Pułkownicy nasłani z Petersburga przez kobiety, a żydzi przez służbę, bo to plugastwo wszędzie się urodzi gdzie go nieposiejesz, byle tylko chodziło o zysk jaki, dowiadywali się o wszystkim. I w ten czas kiedy Maxym Sztroc, sznurkował po Ukrainie, przebijając rękę i zapijając mohorycz z panami bracią o postawienie Kozaczyzny, w Petersburgu na kozaczyzną kartowano.

Tworzenie pułków szło dosyć sporo i już pod jesień ósmset dwunastego roku wszystko było na wylocie, tylko niewiadomo dla jakiej przyczyny rząd Moskiewski, tak porozrzucał stanowiska tych pułków, iż dostać się od jednego do drugiego trzeba było gonić kilka dni, i to dobrym Ukraińskim koniem; jeden stał w Machnówce, a drugi w Czehrynie, trzeci w Ekaterynosławie, a czwarty w Puławie, i drugie cztery tak samo, jedna dywizja zwała się Kozakami Ukraińskimi, druga Bohskimi.

Na wsi u starego Zagrajskiego zebrało się kilku przedniejszych sąsiadów, był to dzień w którym czterej jego synowie odjeżdżali do pułku. Matka kazała przygotować sutę ucztę na ich pożegnanie, a Pan Maxym Sztroc przywoził dwie ważne wiadomości; pierwsza że Cesarz Napoleon wzięwszy Smoleńsk rusza wprost czy na Moskwę, czy na Petersburg; druga że armja Moskiewska zajmująca Multany i Pobereże odebrała rozkaz pochodu na Litwę i Białoruś i to spiesznego, Sztroc zacierał rękę.

No teraz czort by ich porwał, damy im fernepixu, jak tylko przyjdzie ta sarańcza Czczagowa, to Ukraina będzie sobie

mogła pohulać jak zechce, a jak zaczniemy ich prażyć i stąd i zowąd to i zprazemy.

Czernoj się uśmiechnął.

— Coś widzę że brat Sztroc na polityka zakrawa, mąje się widzi że jak my bardzo na rozum zaczniemy brać, to Moskali w szory nieubierzemy, ot tak teraz nieczekając co będzie zahulajmy.

— Zgoda i na to, ja nigdy nieodkazywał się od rady, co mówi bić a nieczekać, ale trzeba przynajmniej dziesięć dni czasu aby można zwąchać się między sobą.

— Dziesięć, to za dużo, żeby no nam jaki klin przez ten czas niezabili, panie bracie wiesz, że na tym świecie jak idziemy spać, to niewiemy czy nazajutrz z rana się przebudziemy.

— Nieprorokuj Wasze, bo czort ciebie weźmie, jak się nam niepowędzie, wiesz że kiedy niemożna będzie po koniu, po hołobłach damy hartu.

Wzięto się do roboty, ale pod złą godzinę. Czernoj swoją przepowiednię zrobił, bo nim stary Sztroc dojechał do Ekaterynosława, ukaz Cesarski nakazał Kozacke pułki szwadronami porozdzielać do rozmaitych pułków Moskiewskiej jazdy, co zostało natychmiast uskutecznonem, gdyż armja Czeczagowa weszła na Ukrainę i dopilnowała owego rozebrania Kozackich pułków. Jak stary Sztroc przyjechał niezastał już kozaków, a natomiast widział w mieście oficerów snujących się w ułańskich kurtkach gdyż tenże sam Cesarski ukaz polecił, aby pozostawiać kadry z kozackich pułków na utworzenie dwóch dywizji ułańskich Ukrainińskiej i Bohskiěj. Pozostawiano zaś samych

dowodzców pułkowych z oficerami na których wierność Cesarz Moskwy mógł na śmiało rachować.

Sztroc dowiedziawszy się o wszystkim, djable nosem kręcił a do wąsa ni razu ręką nie sięgnął.

— No szelmy Moskale przybrali nas w szory i to w kuse.

Później, później kiedy na starego Sztroca przyszła licha godzina : śmierć już niezartem wołała do siebie ; po spowiedzi i ostatniem namazaniu, za życia oddawszy co należało Bogu, powstał na łożu i tak przemówił do ludzi.

— Panowie bracia, jak przyjdzie czas nie łamcie głowy żeby Moskala ubrać w szory, ale mało mówcie, a wiele róbcie, i niedajcie siebie przybierać w szory czy kuse, czy długie.

Wszyscy na pociechę umierającemu odpowiedzieli.

— O tak, tak będziemy robić.

A on w skonaniu jeszcze powiedział.

— Róbcie a Bóg wam dopomoże.



ZIMOWA NOC.

(WSPOMNIENIE Z HALCZYŃCA).

Błogie to życie na wsi; z dala od hałasu świata, w gronie rodziny i kilku dobrych przyjaciół, człowiek żyje życiem szczęściem, a jeśli nie w ówczas poniewiera, to przyjdzie kiedyś chwila że wspomnienia o niem będą mu najdroższym urokiem, najczarowniejszą zabawą. I w ten czas kiedy myślę niżej te wspomnienia, pokłaski ludzkie, szkalowania ludzi, wszystko, wszystko mu obojętne, puste. Radby światu opowiadać te wspomnienia, i niefrasuje się tem czy to świat nudzi, czy śmieszy, bo jemu się zdaje kiedy go to hawi, to i wszystkich musi bawić.

I mnie się tak zdało; z towarzyszem lat młodocianych, z najlepszym moim przyjacielem, gadaliśmy o tem życiu, które za nami zostało, o jedynaście lat z górą, i do którego może niepowrócimy nigdy, gadaliśmy o jednej zimowej nocy, i mnie wzięła taka chętka do pisania że rady sobie dać nie mogłem. Siadłem i pisałem myśląc; piszę dla siebie i dla Jana Omie-

cińskiego. Kto długo pisał dla czytelników i krytyków temu niech choć raz będzie wolno pisać i drukować dla siebie i dla przyjaciela.

Było to roku tysiąc osmset dwudziestego ósmego, czwartego Grudnia, śnieg był za kolana, wiatr mroźny dął od północy, a zawieja suchym śniegiem hulala w powietrzu, zdało się że cała jazda djabła wsiadłszy na wichry rozharcowała się po nad ziemią; ani nieba, ani świata Bożego nie było widać; a my tylko cośmy z koni zsiadli. Byliśmy na polowaniu z chartami, dzień był szczęśliwy, uszczwaliśmy ośm zajęcy, trzech lisów i jednego wilka; stary Janek na całe gardło okrzykiwał rapsod myśliwski.

— Tylko cośmy przejechali Tatarskie mogiły, kiedy ja spojrzę, popisano po śniegu, przypatrzył się wilk, a taki łapacz jakiego nigdy na życiu nie widział, dalej ja kometować; przeszedł drogę od Żurbinieć, a brzuchem śnieg garnie, objadł się psiawiara, pomyślał ja sobie; daleko nie pójdzie, tutaj gdzieś zalegnie. Czapkę na harapnik wsadził i wzniosł do góry, i świstnął, tutaj Panowie. W duch wszyscy przybiegli; nas było sześciu a tylko trzy charty; płowy Dolot, ruda Błyska i siwopstrokaty Hulaj; prawda że to byli dobre pieski, ale to wszystko Pan Topczewski winien; ja mówiłem, teraz wilki się włączą weźmy z dziesięcioro chartów; a on swoje; co tam tobie w głowie wilcy, nie bierzmy tylko trzy na co ich u licha więcej, żeby psuli zajęcze skórki, a potem Abramko i po złotemu nie zechce dać za skórkę; i nie wzięli tylko trzy charty, i ani spisy, ani kordelasa, ani strzelby, tylko z gołemi rękoma, bo cóż to na

wilka harapnik , taj nożyk do obrzynania skoków. Ale już nie było rady, piwo przed nami nalane trzeba było wypić : ja do nich zagadał.

— Panowie , choć wy Panowie , czort by wszystkie wilki rznął i zarznął , róbcie praworno , a tak jak ja każę , a będzie nasz wilk. Bodaj ja tak do domu zajechał i moje dzieci oglądał , bo inaczej trzysta by djabłów piekło i zapiekło tego duszę , kto pokpi sprawę. Ja pojedę tropem , a wy zajeżdżajcie z daleka i patrzcie na mnie jak wilk się pomknie , to krzyczcie a końmi tuż na niego , rękami , zębami łapcie , przysięgam Bogu nie uciecze.

Wjechali my w Sołotwińskie brzeziny , idzie a idzie a wszystko do Kodeńszczyzny , tam ma wagę ; skikręcił w lewo do hałego błota , harapnikiem skinąłem na Panów i oni obskoczyli błoto do koła : wjechał ja w komycz , aż tu w śniegu przedemną leży , a taki wielki jak nazimek , ja krzyknął : huż ! a tu psiawiara huż ; schwycił się i popatrzył na mnie ja koniem na niego.

Tu jego pieski — huż ! huż !... hutiu , hejże , ha.

Strybnął , śniegiem pomiótł za sobą , charty za nim , a Pan Jaś Dłuski na Kuczerawcu w oczy jemu sunął , i na kempinie z koniaką przewrócił się koziołka , tylko śnieg się zakurzył ; ja krzyczę : Trzymaj za ogon. Gdzie tam psiawiarę zatrzymać , jak sarna sadził , wyskoczył z błota , a charty za nim , jak pijane przewracają się po kempinach. Ale tu Pan Omieciński na Kicie , a Pan na Kadecie , jak przypuścili , tak i drogę jemu przebiegli : huż ! huż ! i zbili jego na nas z Panem Topczewskim ; a tutaj i Dmytro z chartami przybiegł i Pan Dłuski za nim.

W duch Dolot jak palnął piersiami, tak wilk trzy razy młynka się przewrócił, a Błyska jego za szarawary jak pijawka się uczepiła, i Hulaj do karku się przysuwa. My końmi tuż, tuż.

— Nu pieski pracujcie, pokażcie dzieło, tu jego huł, huł.

Dolot jak urznie drugi raz piersiami, tak wilk o ziemię; ale wnet się porwał i pod brzozę siadł, a wyzwierzył się na charty; oni jemu w oczy skaczą i szarpia: ja w tenczas do Dymitra.

— Synu z konia, taj na psiawiare i za uszy jego — a on chwacki chłopiec, zaskoczył koniem za brzozę, z konia taj na wilka i tak go schwycił za uszy że aż mu palce wkleśły. Wilk szamocze się, zębami klamsa, karku powrócić nie może, a charty rwą. Ja z konia, taj-nożykiem oczy psiawiarze powykłuwał, a potem smyczą na petelkę szyję ścisnął i do brzozy uwiązał, a krzyknał.

— Puszczaj synu.

Puścił, wilk targał się, panowie strzemiona z pośliskami poodwiązywali, my z Dymitrem kije powyłamywali; jak wszyscy zaczęli cupić wilka, a charty rwać: tak i na śmierć uchoodzili psiawiare, aż czarno było na ziemi, tak zhasrowali pole, a kiedy wilka troczyli do konia, to aż koń stękał; pogrzebowe pili, a tak było gorąco jak w Lipcu: no chwała Panu Bogu czort porwał psiawiare.

O zajacach i lisach ani gadał Janek. Dymtro się panoszył jak Watazka kozaczy, kiedy do czapki dostanie czaple pióro, a drugi kozak Sak dsał się czemu jego w ten dzień nie wzięto na polowanie.

My w pokoju gdzie przyniesiono owego wilka i lisy i zajęce opowiadaliśmy kobietom myśliwskie czyny, a jeden od drugiego wydziwiał dziwniejsze rzeczy. Ignacy służył do herbaty, lewą ręką wziął się w boki, na nasze gadanie głową kręcił, i pomrukiwał tak że wszyscy słyszeli.

— Już ci to, to nieprawda.

Ignacy był to stary sługa mego ojca, mnie nianczył dziecięciem, jeździł ze mną do szkół, jemu wszystko było wolno robić i gadać, co mu się podobało.

Zaledwie zaczęliśmy pić herbatę, aż tu przyjechał gość po raz pierwszy widziany w Halczyńcu, był to Pan Sędzia Duszyński już sześćdziesięcio-letni mąż, z synem mającym dwadzieścia kilka lat. Zawieją zagnany do wioski, szukał gościnności, wnet ugościliśmy go herbatą, i myśliwkiem opowiadaniem.

Pan Sędzia nie był myśliwym, ale chorował na lubowanie sztuk pięknych, i syna do tego układał. W pokoju było kilka obrazów; po herbacie Sędzia zacząwszy o malarstwie, kazał synowi czytać podpisy obrazów, ponieważ sam przy świecy nie dowiedział.

Syn wychowany w Romanowie u Xięży Jezuitów, zupełnie był wykształconym na kopyt tej młodzieży, co to w trzydziestym roku życia na rozestanym dywanie, brała boćkowskie napomnienie; której to na wyprawę z rodzicielskiego domu, dawało półkopy bizanów i dukata do ręki. Wstał i poszedł spełniać rozkaz, jak student do tablicy.

Pod jednym było napisano : Prêtresse d'Apollon przeczytał.

Stary zażył tabaki.

— Panny Teresy Apolog, to jest portret Panny Teresy Morgulcownej, znam; bardzo śliczna Panna, oczy podobnusiennie tylko twarz trochę pełniejsza; prawda że niedawno co powróciła z Drezna, a nasze Polki wszystkie za granicami chudną, widno niemiecki klimat im nie służy.

Drugi obraz wystawiał, ślepego Belizara trzymającego Justyniana małego na ręku. Syn przeczytał: — Belizar.

Ojciec roztworzył oczy.

— Pan Olizar, Pan Podczaszy litewski, znam; ale kogoż to trzyma na ręku, czy Pana Narcyza czy Pana Gustawa, przy świecy niedowidzam dobrze, poznać niemogę; ale Pan Podczaszy to tak zawsze się trzymał, trochę zgarbiony.

Wtem dano do wieczerzy i zakończył się przegląd obrazów; przy stole Pan Sędzia który był i jowialista, strasznie gromił spieszczanie kobiecych imion, Marianny na Marysię, a Mawilli na Mawilka: powiadając.

— Jak byto było dobrze okrzykiwać przed światem, że jedna ma rysia, a druga ma wilka, i takimi dzikimi zwierzętami odstraszać od panien.

Jowializm wcale nieprzeszkadzał Panu Sędziemu dobrze jeść, i jeszcze lepiej pić. Widziano że oprócz malarstwa, był lubownikiem dobrego jadła, i dobrych trunków.

Po wieczerzy, Pan Sędzia usiadł przy kominku, a że rozmowa toczyła się o nowych wynalazkach i o polityce, Sędzia szczęśliwie sobie usnął, a synaczek, który przez cały czas, oprócz

czytania obrazowych podpisów, ani ust otworzył, przemówił nagle jak Jerozolimski rumak.

— Tatkó teraz wygląda, jak bekas w oczerecie.

I zamilkł, i myśmy wszyscy czas jakiś milczeli.

W tem ni stąd, ni z owąd zjawił się Xiądz Jacek, Bernadyn, Kwestarz z Cudnowa. Xiądz Jacek był nieoszacowany człowiek, mnich doskonały, świętobliwy, bogobojny; w cudze sprawy nigdy się nie mieszał, a swoich pilnował. Umiał stroić fortepiany, bo nim postąpił na kwestarza, był organistą, posiadał tajemnicę wygubienia pcheł i pluskiew; namaczania rozmaitych wódek, smażenia konfitur nawet, i tak dalej. Kobietom koszyki i kwiaty, dzieciom piernikowe koguty albo koniki ze złożonemi główkami przywoził w gościńcu. Kiedy chimerowały to straszyl habitowemi ogórkami, a nigdy nieuderzył; a tak umiał, z wojakiem wojować, z myśliwym polować, a z próżniakiem grać w marjasza i butelczynę suszyć, że zawsze z każdej kwesty, baranów skopów, jałówek, ślepych koni, wieprzów, miodu słoniny, wódki, zboża, hukiem nagromadzał dla klasztoru. Przytem niezapominał i o karbowanćcach na cukier, kawę i korzenie do kuchennój przyprawy. Xiędza Jacka wszędzie lubiono, i wszędzie z pożądaniem wyglądano.

Drzwi się otworzyły.

— Laudatur Jezus Chrystus.

Myśmy odpowiedzieli.

— In secula seculorum.

On dodał.

— Amen.

I przeżegnał nas wszystkich.

Moja starsza siostra się odezwała.

— Dobrze że przyjechał Xiądz Jacek, te Michałowe dołoty to tak pcheł naniosły do przedpokoju, że nie wiem jak ich wygubić.

— Zaraz, zaraz moja Pani, my tu na to poradzimy, poszlemy do Sozańskiego po tłustość jeżową.

Xiądz wiedział o imionach i nazwiskach wszystkich sług, a szczególnie szafarza i gumienego; zabierał się do opowiadania całej tajemnicy gubienia pcheł, kiedy druga moja siostra przerwała.

— Mój fortepian taki rozstrojony, chwała Bogu że Xiądz Jacek przyjechał.

— Jutro wystroję, tak jak gdyby sam Pan Czerny go stroił.

Najmłodsza moja siostra także witała Xiędza Jacka.

— Xięże Jacku, proszę mnie nauczyć jak smażyć żurachwiny.

— Natychmiast to zrobimy, tylko niech Pani każe Pannie Annie ukłarować syrop, i dać trochę spirytusu na spalenie nad żurachwinami, żeby zachowały kolor.

Jan Dłuski z Topczewskim zapraszali Xiędza Jacka do marjasza. Omieciński chciał żeby Xiądz Jacek opowiadał o Marszałku Szaszkiewiczu z Biczowy, o którym Xiądz Jacek wiedział tysiąc, a tysiąc przedziwnych rzeczy.

Chciałem wybawić Xiędza z obrotów, i powiedziałem!

— Pozwólcie Xiędzu Jackowi niech trochę wypocznie.

Lepiej się znalazł odemnie stary Ignacy, on wiedział że

Xiędz Jacek miał i brzuch i gardło, a lubił Xiędza Jacka, otworzył drzwi, i przemówił.

— Do stołu dano dla Xiędza Jacka.

Bernardyn wstał.

— Deo gratias, dziękuję Panu Ignacemu za pamięć, jak trochę podjem to wszystko zrobię co Państwo Dobrodziejstwo chcecie.

Ignacy chociaż nie lubił dużo gadać, do Xiędza Jacka przemówił.

— Niech Xiędz bierze jeszcze, to dobre, a wieczera krótka, będzie Xiędz Jacek głodny. Niech Xiędz pije wino bo stare, na zimno dobre. — Wielka to była łaska Pana Ignacego.

Przez ten czas Pan Sędzia się przebudził, tabaki zażył, synaczek ani słowa nie pisał. Xiędz Jacek podjadł, i podpił, i na piękną prozbę Jana Omiecińskiego opowiadał nam o Szaskiewiczzu.

I.

— « Pan Marszałek to bardzo zacy człowiek, Boże mu daj zdrowie i wszystko pomyślne, opowiem Państwu Dobrodziejstwu co się zemną stało.

« Przyjechałem do Biczowy właśnie w czasie kosowicy,

Bóg zapłać Dobrodziejom naszego zakonu, kwesta dobrze się udała, uzbierało się dosyć wiktuałów, bydelka, i kaletka była niepróżna. Pan Marszałek mnie przyjął po swojemu, po staropolsku, po dobrej wieczery, zagraliśmy trochę w marjasa, potem, gadu gadu, jeszcze jakiś czas pobałakaliśmy, nareszcie poszliśmy spać. Ja jeszcze długo odmawiałem pacierze, w końcu, położyłem się do łóżka. Tylko com chrapanął pierwszym snem, aż tu słyszę okropny wrzask i krzyk.

« Zrywam się; okna, drzwi wyłamują i jacyś ludzie wpadają do domu; żegnam się krzyżem świętym, przecieram oczy; ale nic, nie śpię; aż ci ludzie mnie porwali, bronię się, daremna rzecz, tak mnie wzięli w łapy, że o mały mi kości niepotrzaskali, zanieśli mnie do jadalnej sali, a tam co widzę...

« Pan Marszałek związany jak baran, nagi, a ci ludzie, batami go biją, a krzyczą; dawaj pieniądze, pokaz gdzie pieniądze. Na swoje oczy widzę jak nogi rządcy P. Marszałka maczają w smalonym oleju; szafarzowi gwóźdź w uda zabijają; koniuszego za palce od rąk wieszają u sufitu; klucznicę w piętę smalą czerwonym żarem; stawniczego zabierają się jak konia zgrzebłować, a reszta służby powiązana. Dreszcz mi po za skórą przeszła; myślę sobie, to piekło i djabli; a ja tylko byłem w jednej koszuli i szarawarkach płóciennych, ze szkaplerzem i różańcem; jakoś mnie nie wiazali, tylko postawili koło otwartego okna.

« Jak zaczęli zgrzebłować stawniczego, tak ten krzyknął; ot tam pod podłogą, w pańskim pokoju są pieniądze. Zbójcy wszyscy tam się rzucili, a Pan Marszałek do mnie :

— Xiężę uciekaj i nam przynos ratunek.

« Ja niewiele myśląc, przez okno, nogi za pas i dalej; zbójcy się obejrzeni, za mną w pogoń, uciekam, ale widzę że źle; skręciłem w sianożęć i jak zając przypadłem pod kempiną; słyszę jak chodzą koło mnie i szukają; zimno mi było i gorąco od strachu, ale ani mru mru, przypadłem kamieniem, i jak kamień milczałem. I dzień biały zeszedł, a ja jeszcze oczów bałem się otworzyć.

« Aż tu słyszę gwar ludzi i brzęk kos, czach, czach, nie wiem skąd mi przyszło do głowy, że zbójcy użyli tego sposobu na wynalezienie mnie; pełzam osoką jakbym się do kaczek podkładał, jak wąż, a kosarze tuż, tuż i wszystko czach, czach; na nieszczęście koniec sianożęci, droga. Nie ma rady, zrywam się i dalej na drogę; kosarze w krzyk i za mną z kosami, ja ani oglądam się a uciekam. I tak wpadłem do Mszańca, prosto do dworu.

« Pan Marszałek Borowicki mnie poznał, pyta się.

— Xiężę Jacku co ci jest takiego.

« Ja mówić nie mogłem, mało nie umarłem, i po dobrej godzinie dopiero opowiedziałem całą rzecz. Pan Borowicki kazał zaprząć konie, zabrał z sobą kozaków dworskich i ludzi, i tak ruszyliśmy do Biczowy.

« Przyjeżdżamy tam, Pan Marszałek Szaszkiwicz przeciw nam wychodzi, wita nas jakby nic nie było, ja go witam jakby z tamtego świata. On patrzy na mnie dziwi się.

— Xiężę Jacku co ci jest takiego, jakżeś się przybrał? — Byłem ubrany w kubraku Pana Borowickiego, podpasany pasem.

Obrócił się do Borowickiego.

— Cóż to sąsiedzie, czy zajazd na mnie zamysliłeś zrobić?

Pan Borowicki opowiada, Szaszkwicz rusza ramionami.

— Xiądz Jacek albo lunatyk, albo zwarjował.

« Ja mu gadam, przypominam, on na całą odpowiedź wprowadza mnie wszędzie; wszystko na swoim miejscu, nawet mój habit i kaléta, i łóżko ani tknięte. Rządca, klucznica, szafarz, stawniczy, cała służba, wszyscy się wypierają, i powiadają że nic a nic nie było. Myślę sobie, to skaranie Boże, jakaś choroba na mnie napadła. Modłę się, przypominam sobie, dobrze pamiętam, nogi mnie bolą, pełno pęcherzów na podszwach od bosego biegania. — Co to znaczy? — Pan Szaszkwicz wszystko powiada.

— Eh dajmy pokój temu, Xiężę Jacku, przyśniło ci się, i wierzysz że to tak było. Uciekłeś, bo u stracha wielkie oczy, coś dziwnego.

« Obadwa śmieli się ze mnie, i ludzie się śmieli, ja o mało co nie zwarjowałem, w końcu uwierzyłem, że mnie się przyśniło i uciekłem.

« Dopiero potem przyznał się Pan Szaszkwicz że to były psoty, ot tak sobie dla śmiechu. Jego własni ludzie byli rozbójnicy, owe batogi to były ze słomy, i gorący olój, i żar, i ćwieczki i zgrzeblowanie wszystko to były psoty, a ja tego nie dojrzałem. Prawda że u stracha wielkie oczy. »

Skończył Xiądz Jacek, a myśmy prosili, żeby nam jeszcze co o Szaszkwiczu powiedział; a Xiądz Jacek dał się uprosić i mówił.

II.

— Teraz Państwu Dobrodziejstwu opowiem co zrobił pewnemu modnemu kawalerowi, którego nazwiska niewymienię, bo on był z tych, co to starzy ludzie zowią de bona fortune, czyli galante golec : nazwę jego po imieniu chrzestnym, Pan Stanisław. Miał kocz, pięć siwych koni, kamerdynera Francuza, furmana Krakowiaka, i ciągle gadał o swoich wielkich majątnościach za Wisłą. Widać że słyszał o dzisiejszem przysłowiu przemienionem ze starego : że na Litwę trzeba jechać po rozum, a na Ruś po pieniądze; bo poduczwszy się w Wilnie, przyjechał do nas po żonę.

Wywiedział się dobrze że siostrzenica pana Szazkiewicza, panna Ludwika, ma piękny posag brzęczącym złotem, zaczął tedy dojeżdżać do Biczowój.

Kawaler spodobał się pannie Ludwice, ale panu Szazkiewiczowi to nie; z początku zaczął się prześmiewać z kawalera, który i modnie chodził, i modnie gadał, i wszystko modnie robił — pamiętam, byłem raz, kiedy pan Marszałek recytował wiersze Pana Stanisława do Panny Ludwiki.

Zefirek dmuchnął supirów wonią,
Skrzydlaty Amor poklasnął dłonią,
Wyszła pasterka ślicznej urody,
Jak Galatea, jak nimfa wody.
Przybiegł i pasterz, na flecte nucił;
Bogini swojej do nóg się rzucił:
Jam twój sylf wierny, supiry ronię,
Daj Herkulowi Omfali dłonie.

Panna Ludwika utrzymywała że to jest prawdziwa poezja, wyśmienity Polski język, a kiedy wpadła w zapał, to dowodziła: że Kochanowscy, Trembeccy swojemi wyrazami: czabany, burzany i tym podobnemi, rażą ją jak obuchem, dodawała:

— Pan Stanisław nigdy nie mówi niewiasta, tylko dama; to pokazuje dobry smak, wykwiłtne wychowanie.

Marszałek mówił:

— Ależ moja Ludwiko, dama to po francuzku, z resztą to dwuznacznik, dama w warcabach; czemuż nie mamy nazywać białe białem, czarne czarnem; jakżeż naprzykład powie na krowę, albo na kobyłę?

— A jużciż wołowa siostra jedna, a druga rumaczką.

Nie było rady, Panna koniecznie się uparła iść za Pana Stanisława, Szaszkiewicz już zdawał się na wszystko przyzwalać.

W tem dnia jednego z rana, Panna Ludwika, z Panem Stanisławem przechadzali się po ogrodzie; aż tu ni ztąd ni z owąd dał się słyszeć ogromny wrzask.

— Pies wściekły, pies wściekły.

Z tym wrzaskiem, okazał się pies z zaziąjaną paszczą, wprost leciał na miłośną parę, a za nim gnali w pogoń ludzie z kijami. Pan Stanisław Pannę porzucił i jednym susem za płot przeskoczył, Panna zemdląła; a kiedy ją wujaszek ocucił, otwierając oczy zapytała, zarumieniwszy się mocno.

— A Pan Stanisław?

— Dał supira i uciekł lekko jak Amorek.

Od téj chwili przywiązanie Panny Ludwiki do Pana Stanisława ustało, Marszałek powiadał, że miłość od jednego razu

jak obuchem została zabitą. Pan Stanisław z wielką konfuzją wyjechał z Biczowój, i już tam więcej ani oczów nie pokazał.

Otóż Państwo Dobrodziejstwo myślicie że ta przygoda to tak sobie przysła ni zład ni zowąd, że ten pies wściekły to był prawdziwy? Bynajmniej, to takóž była psota. Pan Szaszkiwicz, widząc siestrzenicę z Panem Stanisławem w ogrodzie, kazał psu kundysowi uwiązać pęcherz z grochem do ogona, i tak puścić wprost na przechodzących się; a ludziom gonić za nim z kijami. Przestraszony pies jak wściekły leciał, i oto cała awantura.

Panna Ludwika jak się dowiedziała o prawdzie, wcale się nie gniewała, i jak Państwu Dobrodziejstwu wiadomo, wyszła za mąż za Pana Chorążego Łatyczewskiego.

Pan Szaszkiwicz powiada często i dziś :

— Obuchem wykurowałem Ludwikę od amowowych supirów, i teraz mi za to dziękuje. »

Prosiłiśmy jeszcze Xiędza Jacka aby gadał, Xiędz Jacek, zapijając mocną herbatę, bo z tęgim rumem, mówił dalej.

III.

— Jeszcze o wściekliwości! Pan Hrabia Korowacki, z tych to Hrabców Galicyjskich, co to i na chustkach i na szkarpetkach każą sobie wyszywać korony hrabiowskie, przyjechał do Biczowój w odwiedzinie do Pana Marszałka. Pan Hrabia był

w dalekiem pokrewieństwie z Panem Szaszkieviczem, chociaż Pan Szaszkievicz powiedział na samym wstępie że Szymon Korowacki, dziadek Pana Hrabiego, urodzony z Salomei Szaszkieviczownej, był szlachcicem Polskim, a nie Austryjackim Hrabią, jednak bardzo gościnnie Pana Hrabiego przyjął.

Pan Hrabia był wielki elegant, do ubrania się potrzebował najmniej cztery godzin, sznurował się jak panienka, nosił i kłęby i piersi watowane rozharem, zawsze się stroił jak figurka malowana, któremi to często Państwo Dobrodziejstwo wyklejacie parawany.

W kilka dni po przyjeździe Pana Hrabiego był wielki bal u Państwa Potockich w Pasiecznej; zgromadzenie miało być bardzo mnogie, a przedewszystkiem spodziewano się wiele pięknych Podolank i szykownych Wołynianek. Pasieczna, jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, leży na pograniczu Wołynia z Podolem, o pięć mil od Lubaru, a o cztery od Międzyborza.

Pan Szaszkievicz postanowił tam zawieść Pana Hrabiego; Hrabia tego dnia ubierał się siedem godzin: i tak był ubrany— jasno-cieliste spodeńki opięte i krótkie do kolan, pończochy białe jedwabne u kolan wiązane sutemi fontaziami, trzewiki lakierowane i spięte na złociste sprzążki. Kamizelka z różowego atlasu, złotem haftowana w hrabiowskie korony, chustka biała tego nakrochmalona i powiązana w jakieś motyle na przedzie, pospinana złotemi sfinxami o oczach brylantowych, rubinowych i szmaragdowych. Fraczek zielony papuziego koloru, ze złocistemi guzikami w mat; na kamizelce łańcuszki od zegarka

i od lornetki, i pełno pieczętek, pierścionków i rozmaitych kolo-fiszów; na palcach sygnety, pierścionki i bieluteńkie rękawiczki. Włosy ufryzowane jak to nazywają modnie *a la coq*, i stosowany kapelusz. Zapomniałem że przy fraku miał wstążeczkę i krzyżyk Bożogrobski.

Było to na wiosnę, wszędzie ogromne wody porozlewały, a czas był bardzo piękny. Pan Szaskiewicz z Hrabią jechali spuszczoneym powozem. Pan Hrabia bał się ogromnym sposobem psa wściekłego, i mówił że w Wiedniu doktorowie najbieglejsi utrzymują, iż nie masz lekarstwa na wściekliznę, a co gorsza, że ta się odkrywa nie tylko w dziewięć dni, ale i w dziewięć miesięcy i w dziewięć lat nawet.

W drodze Pan Szaskiewicz wydobyl jakąś flaszkę z lekarstwem, i zażył kilka kropel. Hrabia zapytał :

— Co to jest Panu Marszałkowi ?

— Nic mi nie jest, ja to zażywam jako prezerwatywę.

— Od czego ?

— Widzisz, nasi prości doktorowie nie są tego zdania co Wiedeńscy, oni mniemają, że wściekliznę można uleczyć często, a zawsze sprzeciwić się jój rozwinięciu.

— Cóż Pan Marszałek ma wspólnego ze wścieklizną; i odsunął się Hrabia od Marszałka.

— Tylko się nie lękaj; to nic. Będzie temu dziewięć miesięcy, jak mnie pies wściekły ukąsił w udo, natychmiast ranę kazałem wypalić gorącym żelazem, i ciągle przemywałem octem; a oprócz tego piłem ziele od Pilipona znachora z Pilip, moczone w wodzie, i chwała Bogu, nie wściekłem się.

Ale Pilipon kazał mi co nowia xiętycowego pić te ziele przez trzy dni; robię to jedynie przez ostrożność, bo wiem że tego wcale nie potrzeba.

Hrabia ciągle poglądał z pod oka na Pana Szaszkiewicza, a Pan Szaszkiewicz zagadywał to o tem, to o owem, żeby zaspokoić obawę Hrabiego.

Już widno było Pasiecznę, kiedy Pan Szaszkiewicz zgrzytnął parę razy zębami, jakby mocno cierpiał. Hrabia jak na szpilkach siedział.

— Co jest Panu Marszałkowi, może kazać stanąć?

— E to mała rzecz, trochę mnie nudzi, to wczorajszy kruk z półgęskiem, ale to przejdzie.

Nie mówił dalej, ale oczy coraz bardziej spochmurzał, i twarz jego jakoś się przeciągała.

Hrabia do furmana krzyknął:

— Ruszaj.

Furman zaciął konie, konie wyciągały ogromnego kłusa, a Pan Szaszkiewicz coraz bardziej zębami zgrzytał, jakby miał robaki. Hrabiemu już włosy nie à la coq, ale szczeciną rosły na głowie.

Przed samą bramą Pasieczkańskiego zamku, bo to jak Państwo Dobrodziejstwo wiecie, bardzo wystawny pałac wystawił Pan Podkomorzy, taki iż całą ludność z Pasiecznej możnaby tam pomieścić, rozlała się ogromna kałuża, tak duża jak Poleski bród, a grząska i błotnista, bo to zwyczajnie na gleju czarnoziemi.

Już powóz wjechał w sam środek kałuży, kiedy Pan Sza-

szkiewicz hauknął jak pies, hau! hau! hau! i porwał się z miejsca. Hrabia jak się schwyci i da susa, tak z powozu jak w dym w kałużę, i dawaj szustać przez błoto, w prost do dworu.

Przed krużgankiem byli prawie wszyscy goście i kobiety i mężczyźni, bo to był piękny wiosenny dzień.

Hrabia jak diabeł oklapany, zmoczony, wleciał na krużganek między ludzi, wrzeszcząc:

— Wściekły! wściekły! ratujcie.

Wszyscy się rozstępowali, a on leciał, i dopiero padł w przedpokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Pan Szaskiewicz zajechał, tak się śmiejąc, że w boki się trzymał, żeby się nie poderwał. Jak opowiedział, tak wszyscy w śmiech, a biedny Hrabia tak z przestachu zachorował, że ledwo nie umarł. »

Tą rzazę Xiadz Jacek już nie dawał się prosić, tylko popił herbatą, ma się rozumieć mocną, i dalej mówił.

IV.

— Teraz Państwu Dobrodziejstwu opowiem o pewnym Moskiewskim pułkowniku nazwiskiem Szwarzberg, czy Szwajnberg, już tego sobie nieprzypominam; był on z owego uprzywilejowanego Kurlandzkiego narodu, o którym to Państwo Dobrodziejstwo musieliście słyszeć owe powiedzenia Jermałowa.

Kiedy Cesarz Alexander przeglądał wojsko, rad z porządku artylerji, zapytał Jermołowa czego on żąda : Jermołow w mig odpowiedział.

— Najjaśniejszy Panie zrób mnie Niemcem. — Miało się to rozumieć Kurlandczykiem, na których spadały wszystkie zaszczyty i bogactwa, w tenczas kiedy Moskale pracowali w ciężkim pocie. Cesarz Alexander odjechał i słowa nie rzekłszy, a prośba o zrobienie Niemca z Moskala została narodową gadką.

Otóż ten pan pułkownik był wielki łakomiec, czyli przyzwyczajonym sposobem powiedziawszy, skarbowe pieniądze grypsał i kładł do swojej kieszeni. Nie nowina to w Moskiewskiem wojsku, gdzie wszystko na złodziejstwie stoi; a jak to mówią, ręka rękę myje. A zwłaszcza że pan pułkownik dowodził pułkiem huzarów, to jest konnicy.

Szwadron huzarów z tego pułku stał w Biczowej, i ogromne psikusy robił Panu Szaszkieviczowi, tak że Pan Szaszkievicz zmuszonym został gwałt gwałtem odpierać, a z tego urodziło się śledztwo.

Wiecie Państwo, że u nas śledztwo to gorsze dżumy; a co gorzej, że ludzie Pana Szaszkievicza, wypędzając huzarskie konie z sianożęci, skaleczyli cztery : to były konie skarbowe, i całej Biczowy nie wystarczyłoby na zapłacenie za nie.

Isprawnik, zasiedateł i sam pułkownik zjechali na śledztwo, a ostrzyli zęby na karbowanie Pana Marszałka; kręto było koło niego. Ale nie tak to łatwo złapać Pana Gracjana, kazał ugotować obiad, a taki suty, jakby to były jego imieniny, albo

dzień małżeństwa którego z synów, wina nie żałowano, a Szampańskiego było w bród.

Przy stole Pan Szaszkiewicz przynuki nie szczędził, wina dolewał i rozmaite zdrowia wymyślał; jak zobaczył że pułkownikowi już pyski poczerwieniały, a oczy błyszcząły jak karbunkule; w ten czas zaczął gadać o koniach biegunach, i powiedział że ma takiego siwka iż pewnym jest że żaden koń w świecie go nie wybiega. Pułkownik popisował się w mowie Kabardyńskim koniem, którego przyprowadził z sobą z Tyflisu. Pan Szaszkiewicz na to :

— Mój siwek bronowłoka, tu u mnie w Biczowój urodzony, a ja stawiam pięć tysięcy rubli assygnacyjnych; i mój kocz wiedeński z czwórką myszatyh, przeciwko stu dukatom, że mój siwek wybiega pana pułkownika Kabardyńca.

— Ja trzymam zakład Panie Marszałku.

— Zgoda, ale jeden maleńki warunek, obadwa będziemy z najajami, i ten który będzie przeganiać drugiego, ma prawo po plecach go świcyć.

— No i na to zgoda; poprobujemy się.

— Dobrze, ale trzeba żeby Pan Isprawnik spisał umowę na dwie ręce, bo by potem mogły być jakie spory, albo co gorzej pojedynek.

— Pisz Panie Isprawniku, a jak długa meta?

— Ukraińska mila.

Przyniesiono papier, pióro i kałamarz do stołu, Pan Isprawnik pisał, a pułkownik w myśli już przepatrywał assygnacje,

i myszate konie z koczem handlował z Pikowskimi żyłami na karbowanie.

Isprawnik napisał i odczytał.

Nahaje były tam wyraźnie wypisane czarno na białem, a dzień biegania był naznaczony na jutro; Pan Szaszkievicz sprosił wszystkich sąsiadów i co mógł oficerów.

Pułkownika Kabardyniec był jasno-kasztanowaty, a Pana Szaszkievicza siwek był domorosły, ale biegał jak strzała, Pan Antoni, syn Pana Marszałka, po czarnej stopie doganiał na nim zające. Z pięćdziesięciu gości na koniach i w powozach postawali na rozmaitych częściach drogi.

Puścili się z kopyta; z razu Kabardyniec wybrał się naprzód, ale nie ubiegł i trzysta kroków, jak siwek do niego się dosunął. I Pan Szaszkievicz natychmiast sprzął nahajem pułkownika, i tak biegli jakby jeden zaczepiony był hakiem do drugiego, a Pan Szaszkievicz jak cepem nahajem młócił w plecy pułkownika, nie na okłoty, ale na rozbój wybijał huzarski mundur. Przed samą Tereszpolską karczmą skręcił w lewo, i siwek jak od stojącego umknął od Kabardyńskiego rumaka.

Pułkownik się indyczył, nie tak mu żał było pleców jak przegranej. Ale Pan Szaszkievicz to załagodził.

— No Panie pułkowniku siadaj do mego koczka, niech ciębie myszki zawiozą, i wożą jak najdłużej; a to masz na kanforową wódkę.

I dał mu pęk assygnatów.

— Ale śledztwo niech wezmie w łeb, bo inaczej to cały świat będzie wiedział o nahajach.

— Ja to już na siebie biorę.

Ledwie mógł te słowa wymówić, tak mu było niedobrze.

Śledztwo się skończyło; rotmistrz dowódzca szwadronu został rozżałowany w żołdacy, chociaż robił wszystko na rozkaz pułkownika, a pułkownik ze trzy miesiące nosił się z basamanami na plecach; jednak nie był to zupełny łotr: do Pana Szaszkiewicza nie miał żadnej urazy, a nawet się śmiał, kiedy Pan Gracjan mu mówił.

— Ja dobrze biję, ale dobrze i płacę.

Rozochocił się Xiądz Jacek i gadał nam jeszcze.

V.

«A co z Panem Bigierem, doktorem Francuzem się stało, to rzecz wyśmienita.

Pan Bigier był doktorem przy którymś pułku z gwardji Cesarza Napoleona; wzięty w niewolę na Litwie, a potem oddany na porękę Panom Stolnikowiczom Fiedorowiczom z Połowecka, był zapamiętały Napoleonista.

Raz pamiętam, Pani Stolnikowa, mówiła do Pani Marszałkowej Trzeciakowej z Adampola, o Panu Staroście Bachtyńskim — Temu wszystkiemu to stryjaszek winien.

Bigier porwał się z miejsca; a źle mówił po polsku, i zawsze przekręcał, bo ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał.

— Tak, tak, brawo gada pani Stolnik. Austryjaszek szwinią, zdrajca Napoleona.

Otoż Pan Bigier jeździł po okolicy i namawiał ażeby Polacy porwali się do broni, i bronili Napoleona podówczas składającego koronę we Francji.

Pan Bigier bywał częstym gościem w Biczowój.

Raz tam przyjechał, i tylko co rozgadał się z Panem Szaszkiwiczem o swoich zamiarach, aż tu zabręczały pocztowe dzwonki, i wpadł do dworu Zasiadatel w mundurze, przy szpadzie, z dwóma sztackimi żołnierzami.

Jak w dym wprost do Pana Bigiera przystąpił, pokazał mu papier po ukazie Cesarskim, polecający aby zabrał Francuza Bigiera, jako politycznego przestępcę i zawiózł tam gdzie mu kazano.

Pan Szaszkiwicz chciał go przekupić, ale daremna rzecz; Zasiadatel oświadczał, że to jest tak ważny więzień, iż gdyby go wypuścił, natychmiast zostałby rozstrzelanym; z początku Bigier się srożył, po francuzku przeklinał, ale potem spuścił nos na kwintę, i porządnie stchórzył.

Żegnał się z Panem Gracjanem, jakby na tamten świat wyjeżdżał, i Pan Gracjan jak bóbr płakał, aż Zasiadatel się rozczulił i przyrzekł grzecznie obchodzić się z więźniem w drodze. Wsadzono Bigiera w kibitkę tak ciemną, że najmniejszą szparką światło tam niedochodziło. Zasiadatel i jeden żołnierz siedli obok niego i ruszyli.

Biedny Bigier świata bożego nie widział, tylko słyszał jak dzwonki mu brzęczały w uszach, i kibitka tak derkotała, że o mało mu kiszek z brzucha nie wytrzęsła. Na stacjach duchem przepregano konie, a Zasiadatel i żołnierz nie ruszali się tylko bardzo rzadko z miejsca, i to wtenczas więźniowi zawiązywano

oczy. — Jeść mu się nie chciało, a spać nie mógł. — Nie mógł rozpoznać wiele dni i nocy tak jechał, ale już zaczął czuć Sybirskie zimno, kiedy kibitka stanęła i wtrącono go do ciemnego więzienia.

Więzienie było obszerne, ale bez podłogi, tylko trochę słomy namacał na postanie, dano mu kawał suchara i kufel wody. Francuz rozmyślał o Napoleonie i gotował się do śmierci, kiedy nagle usłyszał głos cichy.

— Bigier — Bigier.

Spojrzał, i spostrzegł u góry trochę jasności w malutkiem okienku, które się otworzyło.

— Kto'taki?

— Ja Szaszkiewicz.

— Co, ty tu, taki nieszczęśliwy jak ja.

— Nie, ja tu za tobą w ślad przyjechałem, żeby cię uratować.

— Poczciwy Graciany, w jaki sposób?

— Ot masz rydel, kop tu wprost pod oknem, a ja czekam z końmi, i uciekniemy.

— A jak mnie złapią?

— Niebój się, ja przekupiłem żołnierza co tu stoi.

Spuścił mu rydel.

Francuz kopał a kopał, gorący pot go oblewał, a drżał żeby go kto nie podszedł; kopie, słucha, nic nie słyszy. Kopie dalej; nareszcie zdało mu się dostyszeć tentnienie końskiego kopyta, nadzieja wstąpiła w serce, wyteża siły, kopie; słyszy głosy ludzkie; zaczął się, zdaje mu się że rozpoznaje głos Pana Gracjana.

— Już dzień a jego jeszcze nie masz.

Całych sił dobył, kopnął, ziemia się osunęła, światło
dienne widać. Kopnął raz, drugi, i już na wolności. Patrzy,
oczom swém nie wierzy — gdzie się znalazł.

Na dziedzińcu w Biczowój, koło spichlerza, Pan Gracjan i
mnóstwo gości go witają. Między niemi Zasiadatel i żołdaci: to
był kamerdyner i kozacy Pana Gracjana.

Biednego Francuza wozili koło wioski i w spichlerzu zam-
knęli, i gniew i śmiech go porwał.

— Bogdaj ciebie djabeł wziął z twego żarty.»

Xiądz Jacek skończył, a myśmy prosili o jeszcze.

« No jeszcze wam jedną powiem, ale potem to basta, bo
już i dzień się zrobi, ja słyszę jak koguty pieją na doświtki.

VI.

— Rzec się działa z Popem; Pan Szaszkiewicz dostał do Bi-
czowój na parocha Xiądza, z którym żył z początku w nie-
wielkiej zgodzie; skarżył się na niego, ale wszystkie skąrgi na
nic się nie przydały, Popa wykurzyć nie mógł: powiedział
tedy sobie, kto nie może przeskoczyć, ten musi przeleść.

Zaczął tedy Popa zapraszać na objadki, i jak mógł przy-
głaskiwał go do siebie. Jak to mówią pozwól kurze grzędy, jój
się zechce wszędy; tak się Pop wnącił do dworu, że już z tam-
tąd i nie wyłaził; pożyczał u Pana Szaszkiewicza to zboże, to

pieniądze ; a na wszystko dawał kwity, czyli rewersa. Jednak Pop na dwóch stołkach chciał siedzieć, Panu baki świecił, a przed rządem na niego czekał ; Pan Marszałek o tém wszystkim wiedział i karbował każdą sprawkę w swojej pamięci.

Dnia jednego, Pan Marszałek mocno zachorował ; posłano po doktorów na konsylium ; Pan Marszałek posłał po Popa, prosząc go jako przyjaciela, aby został przy nim ; doktorowie bardzo mieli kwaśne miny, potrzęsali głowami i mówili.

— Nie ma nadziei.

Pan Antoni, syn Pana Marszałka, od łez się zachodził, tak beczał ; biedne dziecko, bardzo było przywiązane. — Słudzy mieli łzy w oczach, wszyscy kochali Pana Marszałka, bo był dobry Pan.

Pop to widział, i jemu zrobiło się przykro. Pan Marszałek prosił go aby usiadł koło łóżka, i wtenczas kiedy doktorowie wyszli zapisywać receptę, a ojciec kazał Panu Antoniemu pójść spocząć chwilę ; tak mówił do Popa :

— Xiężę, już podobno przyszła kryska na Matyska. — Chory a jeszcze żartował. — Cóż mi mówi, że nie wyrwę się z rąk śmierci ; cóż robić trzeba stanąć przed Panem Bogiem i zdać rachunek ze wszystkiego.

Pop chciał Pana Marszałka pocieszać.

— Niech Jasny Pan tak nie gada, Pan Bóg da zdrowie.

— Xiężę, już to daremna rzecz ; ja się śmierci nie boję, ale lękam się o syna, taki młody, wpadnie w złe ręce, roztrwoni majątek, który w pocie czoła nagromadziło się.

— Co też Jasnemu Panu w myśli.

— Pozwól mi gadać Xiężę; sługi, bo któżby to im wierzył, gotowi go okraść, powynosić wszystko co tu jest w gotówce, a on młody nie da sobie rady.

— Panie Marszałku, to nie potrzebne obawy.

— Już to ja wiem czy potrzebne, czy nie potrzebne. Xiężę ja wiem żeś ty mój najprawdziwszy przyjaciel.

— Pan Marszałek może być pewnym.

— Ja to wiem, o toż proszę ciebie abyś był doradcą memu synowi, a teraz weź te klucze do siebie.

I wydobywszy z pod poduszki pęk kluczów, dał mu je do rąk.

— Te, od kantorka, tam są skrypty, rewersa, a w kryjówce sześć woreczków, każdy po pięćset czerwonych złotych. W dolnych szufladach worki ze srebrem, jest w nich dwadzieścia tysięcy karbowanych rubli. A tam w szafce klejnoty nieboszczki żony, i moje kosztowne sprzęty; w drugiej papiery graniczne i szlacheckie tranzakcje. Xiężę mój przyjacielu nie odstępuj mnie, a jak mnie Bóg powoła do siebie, wszystko opieczętować każ przy sobie, i dopiero potem oddaj klucze Antosiowi.

Nadeszli doktorowie, a stary rządcą przystąpił do Pana, i ze łzami w oczach radził mu spowiedź. Panu Szaszkieviczowi, coraz bardziej głos słabł, w końcu już nie mógł mówić, ale skinął głową że przyzwala. Doktorowie oświadczyli wyraźnie Popowi, że boją się aby chory lada chwilę nieskończył, szukali pulsu, a puls uciekał. — Wyszli z pokoju mówiąc do siebie;

— Już po wszystkim.

Chory pobladł, oczy w słup mu się obróciły, przeciągnął się i zaczął konać. Pan Antoni wrzasnął i upadł na ziemię; stary

rządca wyniósł go z pokoju; Pop dotknął ręką chorego, zdało mu się że zimny jak lód, do ust ją zbliżył, ani tchu nie słysząc.

Wniesiono zapalone gromnice, i proszono Popa aby odmówił pacierze; długo Pop modlił się i śpiewał, a kiedy widział że nikt nie przychodzi, pomaleńku na palcach przystąpił do kantorka, otworzył, naprzód swoje skrypty powyberał i pochował w kieszeń, potem podniósł *rasę* i worki z dukatami pakował w szarawary, nareście schylił się do szuflady i zaczął maczać ręce w karbowaniach.

Kiedy nagle umarły krzyknął

— Ha.

— Pop spojrzął, i zakościął przy szufladzie, umarły stał jak długi na łożu, i zawołał.

— Ha, złodziej.

Pan Antoni, doktorowie, rządca i służba z drugich pokojów wpadli na Popa.

— Złodziej.

Pop jęczał; prosił się, ale co mu się tam dostało to dostało, z ruski miesiąc popamiętał.

Pan Gracjan po zmartwychwstaniu kazał dawać do wieczery, jadł, pił i uczciwie sobie hulali. Tylko Pop nieborak nie hulał; jemu i po brodzie nie ciekło i w gębie nic nie było.

Niezadługo odebrano mu parochią, i na przedstawienie Archymandryty, za to swoje łakomstwo, został zapakowany do klasztoru Czerncow na rekolekcję, a cały jego dobytek poszedł na zapłacenie sztrafów.

Wszystko to były psoty Pana Gracjana, za młodu układał do nich Pana Antoniego, i mnie się zdaje że jabłko od jabłoni się nie odkoci.

Jaka woda, taki młyn,
Jaki ojciec, taki syn.

Byłby Xiądz Jacek dał się uprosić, i na siódme opowiadanie, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł stary Janek.

— A co Panowie, wilcy zjedli jałówkę u Sołopa Rabego, taj przez stawek poszli w Gwozdawieckie łązy. — Dosyć już bałakać.

— Cóż ty chcesz żebyśmy w nocy robili z wilkami.

— Noc, gdzie tam u czorta noc, patrzcie — Widno z jego rozkazu otworzono okienice, i dzień biały zajaśniał a światła świc spłowiwały.

— Konie już gotowe przed gankiem, kiedy jechać to jechać. Czort by rznął wilczą duszę, na koń Panowie.

Myśmy się z miejsc porwali.

— Ruszymy, Xiężę Jacku strój fortepian, gub pchły, smaź konfitury, a jak przyjedziemy to będziesz nam opowiadał.

— Dobrze, dobrze, w Imie Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Amen. — Niech was Pan Bóg błogosławi.



DZIEŃ JEŚNIENNY.

(WSPOMNIENIE Z HALCZYŃCA).

Jan Omieciński, Jan Dłuski, Franciszek Grudziński, Antoni Topczewski, Józef Sosnicki, Karol Różycki i ja, nazajutrz dzień po świętym Michale, z rana przed świtem wyjechaliśmy na polowanie.

Sosnicki był to z owych ludzi, co to zawsze ganiąc czy chwając, wszystko dzisiejsze przyrównywał do dawniejszych czasów; nie dla tego aby on więcej lub lepiej hulał w owych czasach, ale dla tego że wtenczas był młodym, a każda chwila życia której towarzyszyła nasza młodość, jest u nas i w myśli i na języku, jeśli nie zawsze to najczęściej.

I tak; wyjechaliśmy tak z rana że pod Słobodyszką brzezina musieliśmy s pół godziny czekać nim się rozwidniło i można było psy zapuścić; a Sosnicki zrzedził.

— Co to teraz, pamiętam kiedyśmy polowywali z nieboszczy.

kiem Mecenaszem Lityńskim, i z Kalasantym Baranowskim w Zwiahelskich lasach, tośmy się na jednej nodze zrywali, i na jednej nodze byli gotowi.

On jednak najdłużej guzdrał się z ubraniem, i z przyrządzeniem swojej kuchenrejterki, i biedny jego sługa Pawełek, chodząc za różnemi przyborami, tak się umęczył, jak gdyby kopę żyta na rozbój wymłócił.

Siadając na wózek z Jasiem Dłuskim cieniutkim jak glista, zostawił mu tylko miejsce na półdrabku i to nie na całym, a mówił

— Panie Janie, siadaj wygodnie; ja to polując z nieboszczykiem Mecenaszem Lityńskim, przyzwyczailem się ścisnąć jak wąż: po trzech, po czterech siadaliśmy na jednym wózku, i to w poręcz.

W kniei Wilczaty Stugłos bez dołowania się wsiadł na zwierza, białoszyi Trafisz, wyprawą jak zegarek regularnie głosem cukrował, Szumlas jak płaczka zajadał się, Łoskot dyszkantem spiewał, podżary Zagraj basem jak z kufy huczał, Arfa jak dzwonek głosiła, wszystkie pieski grały; najprzedziwniejsza muzyka, aż las spiewał, aż powietrze spiewało. Maxynek tuż tuż na szkapie parł za psami, bez czapki, w kurcie na kłapcie podartej od gałęzi, z twarzą podrapaną, z rozczuchranym włosem, a z harapa palił i na rozdarcie gardła pohukiwał na zachęty psom; aż dusza się radowała myślicom, aż krew warem kipiała im w żyłach, a Sosnicki jeszcze mrucał.

— Prawda że mój Trafisz to król psów, i Michała Stugłos

to djabeł nie szperacz, i ten jego Maxymek to taki malec, jak wicher lata, przynajmniej sześć koni na jesień zajędzi; ale jakieśmy z nieboszczykiem Mecenasem Lityńskim polowali u pułkownika Zielepugi w Żytomierzu, to to on miał psy! grały, jak najlepsza muzyczka, to był prawdziwy koncert, już podobnego nie usłyszę żebym i sto lat żył.

Pan Jan Omieciński upojony psią harmonią, siadł na pieńku i dumał, Sosnicki stał sztywnie pod brzozą jak gdyby na niego patrzył Mecenas Lityński, a ogromne wilczyisko wypadło między nich, najdalej o dwadzieścia kroków i stanęło. Omieciński niewiedział, a Sosnicki mierzył, mierzył, dął się, czapkę zrzucił, jeszcze mierzył i nie strzelił, bo cieniutka gałązka była wprost lewój łopatki, a on chciał w samo serce go ugodzić. Za zbliżeniem się psów, wilk w bok skoczył, dopiero wtenczas Omieciński na wiatr strzelił, a Topczewski już sadzącego w skokach wilka na połec, jak uciął z dubeltówki raz i drugi, tak i na miejscu powalił. Psy z radości skumlały, i jeszcze las muzyką się rozlegał, dojeżdżacz na pogrzebowe, pojezdne otrąbiał, i rozgłos potrębywania rozbijał się po lesie, wtórował konającą muzyce. Wszyscy się zbiegli, dziwili się wielkości wilka i dzielności strzelca. Sosnicki potrącił nogą trupa wilka.

— Et! najwięcej trzy latka; pamiętam w Zwiahelskim lesie nieboszczyk Mecenas Lityński zabił takiego co miał z piętnaście lat, trafił w samo serce, i ja tak chciałem; ale coż z wami poradzić. — Spojrzał na Omiecińskiego — Jasio to temu wszystkiemu winien.

Jeszcze słońce tylko co wzeszło, rosa perliła się na liściach,
srebrzyły się wilgocią przesiąkłe zioła, zawołaliśmy :

Daléj tu daléj na to rozdroże,
Polujmy kiedy żyjemy;
Dziś tu razem, a jutro może
Na długie wieki zaśniemy.

Rozstawiliśmy się po rozdrożu, dojeżdżacz z posforowanemi psami pojechał, i czas jakiś las milczeniem odpoczywał, tylko czasem sojka zakrakała, ptaszek jakiś zaświegotał, i konik polny zastrzykał. Wtem Borówka donośnym głosem po lesie się poniosła, harap klasnął, aż cały las klasnął; i między wzgórzami po nad Bobrykiem, Łoskot dyszkantem dołowił się. Myśliwi cali byli w uchu, cali w oku; dojeżdżacz krzyknął — Daléj po nim ha! — z harapa palnął i Łoskot wyprawę poszedł; a w tém wszystkie psy zajęczały na oko, grają jak war w kotle, las trzeszczy, a powietrze wrzeszczy gwarem, grają wprost na strzelców; strzelców uchu zdaje się słyszeć tupotanie, strzelców oku zdaje się widzieć miganie zwierza, serca im w łonie biją nierównym pędem, ręce cisną się do strzelby kochanki.

Ale nagle, nagle i tupot i granie psów po nad strzelcami się poniosło, poniosło się w jar nad Bobryk; słychać stłumione, chrapawe głosy psów, biją się po łozach, i po oczeretach, i znowu donośniejsze zajadanie się leci do ucha; pod wzgórze

wypadły, w Tatarynowiecką dębinę, aż tu Maxymek zakrzy-
czał.

— Na cu cu cu! — i grubo w trąbę zadał dwa razy — to
koziół rogacz.

Grają psy wyprawą, a takie równe ich granie, jak takt ko-
zackiego tańca. Widno czystą dąbrową kocą, koziół sadzi w Tro-
janowskie bory, jeszcze brzmi wrzawa, ale coraz ciszej, coraz
ciszej, zdaje się że las się kłóci rozgłosem dalekiego psów po-
jęku, nareszcie niknie, ucicha, tylko trąbka zdaje się jeszcze
podymać, na pociechę, na nadzieję myśliwcom: ale to tylko
może się tak zdaje nastuchanemu uchu, w którym ciągle i psy
grają, i zwierzę tupcze, i trąba dzwoni, choć do koła głucho,
cicho.

Myśliwi smutni ku Bobrykowi idą; a koziół jakby sznurem
wymierzył, prosto parł w nad Teterowskie skały, a czereda
psów za nim sadzi, rosa ich wilży, a zajadłość suszy; oczy im
krwią zachodzą, pienia się, grają, aż zębami o zęby postukują
na powtór. Maxymek ochryplł, a krzyczy, z harapa wali,
w trąbkę podzwania. Szpakowaty drze kopytem ziemię a po-
myka, jakby go djabeł łoskotał pazurami po krzyżach.

Lasy lasom rozgłos podawały, a wrzawa przez nie leciała
szybszym gościem jak stepowy wicher; nim jeden las rozcie-
szył się tą wrzawą, już w drugim ona brzmiała, i tak dalej się
niosła.

Nim w Tryhurach ludzie rozstuchali się gdzie psów wrza-
wa, już one grały po nad Hujwą, i powracały ku Bolrykowi.

Myśliwi słuchają, przykładają ucho do ziemi, wyraźne gra-

nie, ale nie takie ręce, nie takie gwarne; jakoś tak jakby głosy się łamały i ledwie z gardł mogły wypchnąć. I trąba dojeżdżacza nie pełno dzwoni ale ucina, chropawiej; jednak wrzawa ku myśliwcom się niesie, a niemożna poznać głosu, ani Zagraja, ani Szumlasa, ani Trafisza, takie wszystkie podobne, pomęczone jak naszczekiwanie. Już, już do łóz dopychają, i nagle ucięły, czy zaskoczył kozioł, czy psy padły bez ducha.

Aż tu Maxymek zakrzyczał jakby płakał :

— Dalej po nim ha.

I z harapa jakby z kłaczanego batoga trzasnął, słyhać psów zjajanie, wodę chlepczą, a głosu ich niesłyhać ; wtem znowu niezmordowany Łoskot odezwał się parę razy; i z jego głosem Franciszek Grudziński wypalił z dubeltówki, i nawołał

— Na cu cu cu !

Na strzały, psy zajęczały jak dawniej, i znowu las się rozradował.

Kozioł sadził po nad strzelcami, a oni go przez strzały przepuszczali, każdy palił, i każdy nawoływał

— Na cu cu cu.

Dopiero Różycki strzelił i krzyknął

— To do ho ho, ho ho! — ale w mig potem zawołał —
Na cu cu cu.

Psy się ujadaly i rozbijały jeden o drugiego. Maxym na rozparcie konia leciał, a ziemia jęczała, i las zachodził się od wrzawy.

Na paproci farba, na drodze farba. Psy zwęchały krew, i jakby tylko co ze sfor spuszczone, potaszczyły się za kozłem

w górę ku Gwozdawce, myśliwi w nieładzie za nim w skok biegli.

Widać, widać jak z między rzadkich czaharów, kozioł na halawę sází, a psy go już na oku mają, i Maxym go ma na oku; on skacze, a bliżej doskakuje jak zamierza, u psów rozdławione paszcze, języki wywalone, głosem łają za nim i za nim skaczą. Maxym dobył kordelaś, a szpakowaty rwie w skoki ile mu sił staje; psy dogonić a kozioł uciec nie może, jakby stali w miejscu; widzą siebie, a dotknąć się nie mogą.

Już, już do oczeretu dopychał kozioł, kiedy się nagle o kępinę zawadził i przewrócił; schwycił się, ale już psy wpadły na niego hurmem, powaliły i szarpia; kozioł beczy jękiem śmierci, a one jeszcze naszczekują.

Maxym przybiegł, kulka z konia się zsunął, między psy harapem.

— A harap, a harap.

I zaraz pojednego zadał.

Przyszliśmy — psy zakrwawione, dysząc leżały koło poszarpanego kozła, cztery już nie wstało więcej, a inne ledwie mogły się zwlec, żeby się połasić koło nas. Kulawe, popodbijane, poranione, aż żał patrzeć. I szpakowaty koń, jak padł tak i zastygł śmiercią; a Maxymek ochrypnięty, tak opylony i podrapany że do człowieka niepodobny, z wściekłym zapałem w oczach, z żywym ruchem rąk i nóg, opowiadał, którędy kozioł okładał, i jak on go powrócił — i zaraz kozła patroszył i psy farbował.

Każdy z nas radby Maxymka uściskać, ucałować : i Sosnicki tą razą rzekł :

— Ani u nieboszczyka Lityńskiego, ani u pułkownika Zielepugi takiego dojeżdżacza nie było.

Upał był ogromny, chcieliśmy wracać do domu, kiedy Maxymek powiedział że goniąc za kozłem na sianożęciach, po nad Bobrykiem, spędził trzy stada cietrzewi ; młode według niego były, a nieledwie jak starka, ale jeszcze nie leciały daleko, ale czepiały się po drzewach. Na mowę Topczewskiego postanowiliśmy przeczekać w Gwozdawieckim futrze, a posłać do Halczyńca po wyzły, i wieczorkiem zapolować na cietrzewie.

Po myśliwskiej przekąsce, położyliśmy się na sienie pod szopą , i mimo dość żywej gawędki, bylibyśmy usnęli, gdyby się nie był zjawił podróżny dziwnego rodzaju.

Był to człowiek już nie młody, w bajowym surducie hermetycznie zapiętym, na twarzy malowała się ogromna umysłowa praca. Wszedł wprost pod szopę , nikogo nie widział, tylko pod nosem sobie mruczał.

— Bili i pobili, Nabuchodonozora Wielkiego ; a on tu goni, chowajmy się bo dogoni. I rzucił się na siano między nas. — Porwaliśmy się z legowiska , ale Franciszek Grudziński poznał podróżnego, był to Pan Szostakowski, niegdyś profesor w Krzemieńcu, człowiek bardzo światły, ale miłość nieszczęśliwa z tej budowy rozumu ludzkiego zrobiła ruinę. On zaś ani widział, tylko zagrzebywał się w sianie , a myśmy nie śmieli przerywać tej jego roboty. Kiedyśmy ujrzeli nagle dziwne zjawisko.

Trzy siwe byki klusem dyndały, a za niemi gonił rycerz Donkiszot na wilczatym, dużym a jasno-kościstym koniu, z ogromną dzidą w ręku. Rycerz był przybrany w jaskrawo-pon-sową czamarę, szamerowaną złotem, które już spłowieło na nic, barwy niepodobnej do rozróżnienia; w spodniach łosio-wych, buty palone za kolana, z nosami zakrzywionemi jak ogon mopsa, z ostrogami długimi, że aż dostawały do koń-skich pachwin, a kółka tak rzęsiste jak żelazka do robienia pi-rogów. Kamizelka czerwona, szamerowana żółto-gorącym. Na głowie czapka bermyca z psiego futra, a na niej pióro strusie, kapłonie, marabout, kwiaty, warkocze wstęg, fątazie, sznurki i paciorki. Przy boku miecz długi na dwa łokcie, za pasem cztery pistolety i kindżał, na kruk u siodła zaczepiona janczar-ka, w prawem ręku dzida przynajmniej dziesięcio łokciowa z proporcem, którego miejsce zastępowała wielka koziopucho-wa chustka czerwonej barwy; na temblaku trzcina z kościaną głową.

Munsztuk na koniu był huzarski z frenzlami, frenzelkami i kutasami, Bóg wie jakiej barwy, bo tej poznać nie można było, jak się nie poznaje rejestru lat na zębach dwudziestoletniego konia; i powód i wszystkie cztery cugle od munsztuka i trzęzli były zarzucone na jedną stronę. Siodło było Tureckie z kuta-siastem podogoniem i podpiersniem, ze strzemionem na całą nogę i ostrogami, tak iż poczworną ostrogą mógł bodzić konia.

Sam był sążnisty jak olbrzym. Skoro nas zobaczył, w mig dzidę zarzucił na plecy, chwycił za janczarkę i wypalił wprost

ku nam. Konia przypuścił wrzeszcząc i rękoma wymachując jak wiatrak; nie dobiegając do nas o pięć kroków, w prawo konia zwrócił, i zaczął w koło nim toczyć po rycersku. — To mieczem ciął na prawo i na lewo, to z pistoleta palił, to dzidą wywijał; a koń nawykły do tych igrzysk, nie przodem skakał, ale zadem bezustannie podrzucał, i ogonem jak kropidłem na wsze strony wykreczał.

Umęczony się do syta, stanął, zsiadł z konia, i z dobytym mieczem ku nam przystąpił, rzeszście brzęknął ostrogą o ostrogę i wymówił:

— Cześć!

Po czem nie czekając naszej odpowiedzi, jak bocian podniósł jedną nogę do góry, i nie chowając miecza do pochwy, tak do nas prawil:

— Byłem i jestem niebagatelą, zdziałalem wielkie rzeczy. Czyli — między nawiasem, te czyli, znaczy wiele. — Trzęsą się góry i skały, a z tego rodzą się rude myszy. Niewiem czyli z powołania, czyli z własnego przekonania, Xiążę Giedrojc opiekował się moją młodością. Umiałem na pamięć rytmy kantyczkowe, a nawet wiedziałem co się dzieje w rubrycelli, z czego łatwo wnosić można, iż zostałem biegłym artylerzystą. Niech świat uwielbia czyny Kościuszki, niech podziwiał męstwo Poniatowskiego, ale tam gdzie idzie o wystrzelenie z harmaty bez huku, o wypchnięcie kuli bez prochu, nikt mojej sławie nie wyrówna. Widziano w okopach na Pradze, w Wilnie u Ostrzej Bramy, co może miecz w dzielnej ręce, co może serce w śmiałym łonie. Po nieszczęśliwym upadku Oj-

czynny naszój, widziano mnie w puklach kawalergardy przebiegającego po nad brzegami Newy. Z tamtąd pobiegłem szukać niestatecznego szczęścia u niestateczniejszych jeszcze kobiet. O! dla czegoż los padł na ciebie niewdzięczna Benigno: niepomieściłbym wszystkich moich westchnień, w kapszok mnie od ciebie darowany. Bogdaj wspomnienie o tobie przepadło, jak owe sakwy z mięsem oderwane w bitwie pod Maciejowicami, a cierpienia moje zanurzą w nurtach kwaśnego mleka.

Jestem rycerz czterech części świata, obrońca kobiet, syn słońca, brat księżycy, wuj sultana. Pogromca wszystkich a wszystkich wiatraków; czestny-prystawa w Romanowie u Jaśnie Wielmożnego Senatora Ilińskiego. Na kongresie Akwizgrańskim w moc pełnomocnictwa przezemnie danego Jaśnie Wielmożnemu Senatorowi Rzewuskiemu, przez Najjaśniejszych Cesarzów Alexandra i Franciszka, Króla Fryderyka Wilhelma, i Jaśnie Oświeconego Posła Angielskiego, uznany za kongresowego męża Benigny i Ojca Jój dzieci, pomimo że przywłaszczyciel nosi miano małżonka i ojca.— Pan obszerny od morza do morza, tylko nieposiadający lądów. Posiadający dwadzieścia cztery talentów. Rębacz od jednego cięcia kark byka scina. Strzelec o pół werstwy kulką w rybie oko trafia. Dzirytznik co jednym sztychem przeszywa trzy wieprze na wylot. Muzykant jak zagram to sama Meluzyna wyjdzie słuchać. Spiewak jak słowik, jak zaśpiewam to wilk tak się poruzszy, że aż łzami popruzszy. Adwokat lepszy od tych co byli w{Lubelskim i Piotrkowskim trybunale; jak zacznę szczekać, to i pies tak nie szczeka. Poeta; twórca wierszy trochę przydługich, dla le-

pszego rozumienia rzeczy rytmowych, w stylu prawnym. Ka
zodzieja co serca wyrывa z łona, a uszy do zatykania zma-
sza. Prawodawca co jednym dmuchnięciem zabija nieporzą-
dek. Dojeżdżacz jakich nie bywało. Miłośnik płci pięknej.
Pracznik jakiej w Amsterdamie niemasz. Szwaczka na jaką tyl-
ko Paryż zdobyć się może. Zjadacz kwaśnego mleka. Spijacz
zatrutego trunku. Tancerz co tancuje same Andante, Da capo,
Trio, poco a poco, Mazurka za nic, walca za nic, i poloneza
za nic. Jeździec co w godzinie jest w stanie zajeździć sześćdzie-
siąt koni na śmierć. Fryzjer co fryzował samą najjaśniejszą
Katarzynę drugą Cesarzową Wszech Rossji. Architekt co doradza
Jaśnie Oświeconemu Senatorowi Ilińskiemu stawianie wszy-
stkich budowli. Gospodarz, jak tego dowody można widzieć na
Romanowie i Romanowszczyźnie. Finansista Romanowski
kassy. Wielki kuchmistrz co przyrządzał uczy Jaśnie Wiel-
możnego Starosty Bachtyńskiego. Astronom do upatrywa-
nia niebieskich konstelacji, i wielki admirał na suchym
piasku.

Jednym słowem, jestem Achmet Achmatowicz Basza.

Myśmy go już dawniej znali i z widzenia i ze słyszenia; był to
dziwny a zarazem szczęśliwy człowiek; istotnie dobry szlachcic,
z Tatarskiego rodu, nazwiskiem Achmatowicz, posiadacz nie-
wielkiego majątku w Wileńskim wojewodztwie; był oficerem
w Polskim wojsku. Wzięty w niewolę pod Maciejowicami,
gwałtem został zmuszonym do służenia w kawalergardzkim puł-
ku; tam z rozpaczki po Ojczyźnie zwarjował; a że za młodu
czytywał mnóstwo rycerskich książek, tak mu się w głowie

przewróciło, iż został sam błędnym rycerzem. Majątek oddał braciom, sam wsiadłszy na koń w dziwnym stroju, i zabrawszy z sobą sługę, który był drugim Szanso-Panso, przyjechał na Ukrainę, gdzie Senator Iliński mianował go honorowym Czesnym-przystawą, czyli horodniczym Romanowa, z wolnością błąkania się gdzie mu się spodoba.

Błędny rycerz zebrał swoje życie treściwie, i opowiadanie tego służyło mu za przedstawienie się; nigdy nic od nikogo nie żądał, tylko gościnności dla siebie i rumaka. Datek każdy uważał za obrazę; jeśli mu koń jeden zmarł, to mu dawano drugiego, ale to tym sposobem, że tamtego niby jacyś wrogowie Achmatowicza zabili, a on zdobywał drugiego pasącego się na łące.

Nadzwyczajnie był hardéj duszy, często wyzywał na pojedynki, ale cieszył się ostrzelaniem placu. Napadał na wiatraki, na grusze stojące pojedynczo w czystym polu, strzelał, rąbał i karbował na sęplu od jańczarki, albo od pistoletów liczby zabitych wrogów; a takie mnóstwo było karbów, że musiał w końcu wiązać węzłki na sznurkach czepianych do palnej broni, i te wisały jak fręzle. Kochał się bezustannie; przedmiotami jego miłości przemijającej były wszystkie kobiety, które tylko ujrzał, ale przedmiotem miłości stałej była piękna Benigna, jak się sam wyrażał: w sercu mojem siedzi dwoista miłość i jedna drugieć bynajmniej nie przeszkadza.

Do całej Donkiszoterji, łączył zakrawanie na bajecznych bohaterów Grecji, tępił dzikie potwory, któremi były najczęściej swojskie wieprze i byki, a przytem jak Pityjska wyrocznia

przepowiadał. W jego życiu błędem nadarzyło się mu kilka wypadków wcale pociesznych.

W ósmset dwunastym roku, kiedy armija admirała Czezagowa weszła na Ukrainę, w Berdyczowie stało dwa pułki Moskiewskich ułanów konno-Polski i Wołyński; u rogatek stawiono silne stráže, a w różnych stanowiskach miasta były szwadrony z posiadłanemi końmi; ogromna była obawa zjawienia się Francuza, a jeszcze większa Polskiego powstania, o którym już dość głośno gadano. Jednego dnia, Achmatowicz, jeszcze w ówczas mający swego Szanso-Pansę, jechał szlakiem Żytomirskim ku Berdyczowowi, i w Hryszkowickiej dębinie zdybął Moskiewski podjazd; podjazd ujrzawszy takiego cudaka, drapnął w nogi, Achmatowicz dernął za nim w pogoń, wrzeszcząc jak opętany. Oficer stojący u rogatek z półszwadronem, uformował swoich ludzi za rogatkami, a zastawę spuścił, i dał wiedzieć do miasta o zjawieniu się Napoleońskich Mameluków; Achmatowicz przypuścił konia w czwał przez gróbelkę oddzielającą las Hryszkowiecki od rogatki, zobaczywszy wojsko dla uczczenia go palił z pistoletu na prawo i na lewo, półszwadron Moskiewski drapnął w nogi, Achmatowicz koniem przesadził niewysoką zastawę i gnał w miasto strzelając i wrzeszcząc. Obadwa pułki Moskiewskie w największym nieładzie uciekły z miasta, a taki był strach, iż oparły się dopiero w Machnówce, o dwie ukraińskie mile z Berdyczowa, gdzie stały drugie dwa pułki ułanów Litewski i Tatarski. Cała dywizja zabierała się

do cofania, a po kraju gruchnęła wieść o przyjściu Mameluków Napoleona.

Achmatowicz wpadłszy na rynek, zatrzymał konia, i szablą wymachiwał w powietrzu dziwne zygzaki; policmajster z kwartalnymi w mundurach, cechy miejskie i żydowski kahał, wyszli witać Achmatowicza, i poddawać mu miasto; przypadkiem znajdował się tam Xiążę Mateusz Radziwiłł, ten poznał błędnego rycerza; strach przeminał, ale policmajster i dowódzca dwóch pułków chcieli się mścić nad Achmatowiczem, zapewne byłiby go zaslali na Sybir, gdyby nie przemożna opieka Xięcia Mateusza Radziwiłła, który rozżalonych ludzi opłacił, a błędnego bohatera wziął na porękę.

Achmatowicz czasami był złośliwy w mowie; razu jednego pokochawszy się w jednej mężatce, był na wielkim obiedzie, gdzie była ona i jej mąż. Na nieszczęście ten mąż był synem Polaka Targowiczana, który sprzedał Moskalom klucze twierdzy powierzonej jego straży.

Mąż zaczął sobie żartować z Achmatowicza miłostek ku swojej żonie, ten ich się zapierał, i traktował rzecz bardzo poważnie, nareszcie mąż powiedział:

— Ot wiesz co Baszo, po co mamy się kłócić, odstąp mi — i wymienił imię swojej żony — dam ci co zechcesz, tysiąc, dwa, i więcej tysięcy dukatów.

Achmatowicz węs podkręcił.

— Mospanie ja nie..... — powiedział imię nieszczęśliwego

męża — a Wacpana żona nie.... — wymienił miano przeda-
nej twierdzy.

Nie śmiech ale milczenie zakończyło rozmowę. Achmatowicz
tego dnia zachował jak najskrupulatniejszą powagę.

W roku tysiąc ósmset dwudziestym czwartym czy piątym,
kiedy generał Giżycki był wołyńskim gubernatorem, Achma-
towicz przybrany wefrac jasno-niebieski srebrem haftowany, ten
strój czasami nosił od wielkiego święta, zajechał do domu gdzie
był Gubernator, i wprost poszedł do niego żeby mu złożyć ry-
cerską cześć.

Generał Giżycki go nie poznał, wziął go za feldjegra przy-
slanego od Wielkiego Xięcia, i sądził że z jakąś złą wieścią,
wstał i tak się zalał, iż słowa przemówić nie mógł; przez pół-
godziny stali oba w milczeniu, Achmatowicz tylko pobrzękiwał
ostrogami, ale kiedy po bocianiemu podniósł jedną nogę do
góry, zbierał się do tańcowania *andante*, Generał Giżycki po-
znał go a rozgniewany powiedział mu.

— Pójdź precz warjacie.

Generał Giżycki był szwagrem Senatora Ilińskiego najoso-
bliwszego dobrodzieja Achmatowicza. Achmatowicz jak sam
powiadał nie mógł mu przyciąć łba, i zakarbować na stęplu,
boby to była najczarniejsza niewdzięczność.

Udobruchany generał Giżycki pozwolił Achmatowiczowi sięść
do stołu, ale obchodził się z nim bardzo dumnie. Spijano zdro-

wie Gubernatora; kiedy przyszła kolej na Achmetowicza wstał

— Jaśnie Wielmożny Jenerale i Gubernatorze, każ sobie postawić pod nosem wietrzny młyn, a będzie ciągle meł, cześć i uszanowanie — wypił duszkiem.

Jenerał Giżycki zaśmiał się z tój przymówki do swojego nadymania się i dobra harmonia powróciła.

Razu jednego Achmatowicz rozgniewał się bardzo na Jana Omiecińskiego, postanowił tedy obledz wieś Korowińczyki gdzie mieszkał Omieciński i głodem go zamorzyć. Wieś Korowińczyki otoczona jest do koła wysokimi wzgórzami, Achmatowicz wjechał na jedną z tych wzgórz, zatknął w ziemi sążnistą dzidę z czarną chorągwią, puścił konia na paszę, a sam z dobytym mieczem i z janczarką na lewem ramieniu, przechadzał się koło chorągwi; w przódy zaś dał wiedzieć Omiecińskiemu, aby mu przysyłano jak najregularniej, śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerzę, na dzień cztery hładysze kwaśnego mleka, i kopę gruszek. Omieciński rozkaz jak najświęciej dopełnił, Achmatowicz stał dziewięć dni i dziewięć nocy na wzgórzach nie odstępując chorągwi; ani chłód nocy, ani upał dnia, ani deszcz, ani burza nie ruszyły go z miejsca. Dziewiątego dnia dopiero okulbaczył konia, dziewięć razy wystrzelił z janczarki, siadł na koń, wyrwał chorągiew i pojechał.

Po całej okolicy obwoził, że Omieciński umarł z głodu, i

cała wieś z głodu wymarła; kiedy później zdybował się z Omiecińskim, zęgnął się krzyżem świętym i powtarzał

— Upior, upior.

I to było z jego strony nie udawanie, ale przekonanie jak najsilniejsze.

Kiedys jeden bardzo znamienity obywatel przebrał się czy w turecki, czy w arabski, czy w jakiś dziwny strój; przyjaciele jego nie mogli go namówić aby porzucił ten strój.

Przyпадkiem dnia jednego ów obywatel z kilkoma przyjaciółmi jechał odkrytym powozem z Berdyczowa do Żytomierza, Achmatowicz zaś na swoim rumaku z Szanso-pansą jechał do Berdyczowa, a spostrzegłszy w powozie człowieka w dziwnym stroju, w poprzek drogi dziedę przełożył i zatrzymał powóz.

— Rycerzu, albo podaj mi dłoń przyjazną, i złóż twoją czolbitność, albo spróbuj się na co zechcesz.

Obywatel dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, mocno się zmieszał. Wszyscy musieli wylazić z powozu i składać czolbitność, Achmatowicz uradowany na wiwat wystrzelił parę razy i odjechał, a obywatel tegoż samego wieczora ogolił długą brodę, dziwny swój strój zrzucił i przybrał się w polską czamareę.

Bywały chwile że się bardzo roztropnie znachodził.

Jeden z jego znajomych człowiek nadmiarę nabożny i boja-

cy się djabła, miał swojego djabła za pomocą którego krzywdził ludzi, najwięcej swoich sług, wpędzając ich rachunkami w decesa, a potem zabierając im cały dobytek.

Ekonom tego pana mieszkający na bruku, w najbiedniejszym stanie, miał córkę mocno chorą. We wsi okrzyknięto, że jest opętana od djabła. Pan który obdarł ekonoma, chciał koniecznie wypędzić djabła z jego córki; święcona woda, obrazki i inne potrzebne przybory zostały użyte do téj roboty, Achmatowicz przyłączył się do wyprawy jako sprzymierzeniec, z długą janczarką i z obosiecznym mieczem. Pan modlił się, śpiewał, Achmatowicz strzelał i rąbał, mordowali szatana, wypędzili z dziewicy; kiedy exorcyzm się skończył, i dziewica przestraszona stłumiła swoje bole, Achmatowicz wpadł na exorcystę i wyganiał z niego szatana.

— Teraz zakwituj twego ekonoma, i zapłać cztery tysiące coś mu zabrał, i to zaraz, bo ci przytnę łeb. Modlisz się, róbże dobrze; wypędzasz szatana z drugich, wypędźże go i z siebie.

Argumenta były dobitne, bo wyostrzony miecz połyskiwał w ręku Achmatowicza; exorcysta wszystko uczynił, a Achmatowicz do swoich godności dodał

— Straszliwy zapaśnik szatana.

Już później, dobrze później w tysiąc ósmset dwudziestym dziewiątym roku, przy końcu i na początku tysiąc ósmset trzydziestego roku, Achmatowicz jeździł od wioski do wioski i opowiadał.

— Na zachodzie wre i kipi, i lawa skorupę rozsadzi, i wyleje się ku wschodowi, i będzie skakać i kipić po rozmaitych miejscach. I u nas będzie gorąco, będzie szumno. Potrząsał głową i wzdychał, ale gdzie niema matki, to tam pszczoły miód zjedzą, a nowego niezrobią, same zginą.

Achmatowicz żadnych gazet nigdy nieczytywał, nawet nie wiem czy wiedział o ich istnieniu na świecie, i książek oprócz awantur Koleandra z Leonildą i Donkiszota innych nie czytał, tak mi się zdaje, a jednakże lubił przepowiadać politycznie.

Taki to był ten Achmatowicz, którego nam traf przyniósł do Gwazdawieckiego futuru.

Po odtąnczeniu swoich tańców, odprawił pogrzeb za duszę jakiegoś Morykoniego, którego bardzo wielbił, wypalił kazanie, a potem zabrał się do jedzenia, zmiótł półtora kopy gruszek i dwie ogromne misy kwaśnego mleka, z bułką razowego chleba.

Przez cały czas Szostakowski jak szczur siedział w sienie a ciągle pomrukiwał.

— Bili i pobili, Nabuchodonozora wielkiego; a on gonił, gogił i dogonił.

Achmatowicz jak się najadł, posłyszał pomrukiwanie Szostakowskiego, jak lisa z nory wyciągnął go z siana, ale nic mu złego nierobił, tylko postanowił go odczarować. Prosił nas aby mógł go z sobą po rycersku do Halczyńca zawieść i tam zacząć swoje odczarowanie. Pozwoliliśmy, ale Szostakowski korzystał

ze sposobnej chwili, wymknął się i uciekł w krzaki; kiedy Achmatowicz się opatrzył, wskoczył na koń i ruszył w pogoń a niemogąc znaleźć zbiega, strzelił z janczarki, zakarbował śmierć na łożu strzelby, a pochwalwszy się przed nami popędził byki do Halczyńca, dokąd już zaprosił się w goście, a myśmy pojechali na cietrzewie.

Polowanie się udało, strzałów było hukiem, pudła dawaliśmy uczciwie, ale i zwierzyny było cokolwiek. Różyckiego Neptun strychował wymienicie, Topczewskiego Wochła stawała jak malowana, Sosnickiemu dwa cietrzewie padły na głowę i zbiły z niej kaszkiet, ale nie przez niego, tylko przez innych zabite; on ciągle się mierzył, ale ani razu niestrzelił, i ciągle wywoływał z grobu nieboszczyka Lityńskiego i pułkownika Zielepugę; Franciszek Grudziński mordował swojego Cyklopa. Jaś Dłuski podstrzelał cietrzewie a postrzelonych nieznachodził, Omieciński figle broił. I tak przepędziwszy wieczor przyjechaliśmy dość późno do domu.

Tam zastaliśmy Ignacego Strumiłłę, Piotra i Adolfa Pilchowskich, Ignacego Orańskiego i kilku innych przyjaciół z sąsiedztwa. Achmatowicz z rycerską powagą już przechadzał się po pokojach, ale był gość który mu nadzwyczajnie się niepodobał.

Był to niejakiś Krasowski niegdyś baletnik za króla Stanisława Augusta; mimo swój wiek bo miał do siedmiudziesięciu lat, ciął piżony, piruety i pas de cheval, jak za dawnych czasów. Nie był to warjat, ale udawał takiego żeby zarobić grosz na życie, tańczył, skakał i plótł dziwolągi żeby wydurzyć jaki

grosz. Achmatowicza zgrozą przejmowało takie postępowanie, i obchodził się z nim jak gadka jakaś mówi, niewiem dla czego : jak z rudą suką.

Adolf Piłchowski z Orańskim podmówili Krasowskiego żeby wyzwiał na pojedynek Achmatowicza, co też on uczynił ; Achmatowicz z radością przyjął wyzwanie, powiadając, że jak go zabije, to go ochrzci z błżeństwa. Rzecz miała się odbyć natychmiast i to na pistolety, gdyż Krasowski był bardzo mały i szczupły, a Achmatowicz jak olbrzym, na szable tedy niebyłoby sprawiedliwości.

Achmatowicz przygotował rycerskiego trunku, który się składał z butelki wódki okowitéj, butelki wina, i butelki porteru do czego domieszał garść tabaki, dwie łyżki soli, i łyżkę pieprzu. W wazie zakłócił napój. I obadwa rycerze po trzy spore puhary takiego trunku duszkiem musieli wypić; taki konieczny był porządek pojedynku według Achmatowicza.

Póki szło o spijanie rycerskiego trunku, Krasowski doskonale dopisywał, a kiedy przyszło do strzelania się nie tak mu do brze było.

W wielkiej sali stanęli obadwa, sekundanci ponabijali im pistolety ma się rozumieć samym prochem, sala była oświetlona dwóma lampami przy których stało dwóch kozaków w czarnych burkach, tak chciał Achmatowicz. Krasowski miał strzelać pierwszy, Achmatowicz frontem do niego się odwrócił, odsłonił piersi i zawołał

— Strzelaj.

Krasowski strzelił, flojtuch padł na piersi Achmatowicza, on go strącił z pogardą, podniósł pistolet.

— Stój teraz.

Krasowski jak struna wyciągnął się, pobladł i drżał. Achmatowicz kilkakrotnie mierzył od stóp do głów, Krasowski padł na kolana i o przebaczenie błagał; prawdziwy to już był nie zmyślony strach. Achmatowicz ręką wskazał.

— Wstań i stój, padniesz jak zabiję.

Palnął i Krasowski klapnął na ziemię, a w tej samej chwili kozacy pogasili lampy. Była ciemność i słychać było głos Achmatowicza.

— Słońca, słońca, niech zakarbuje.

Wniesiono światło Achmatowicz karbował, ale Krasowski jak bez duszy leżał; rycerski trunek i strach musiały mu zawrócić głowę, baliśmy się żeby czasem apoplexji nie dostał. Doktor Szmít, który na szczęście znajdował się w Halczyńcu, chciał mu krew puszczać, Achmatowicz przystąpił.

— Chcecie żebym go wskrzesił, to wskrzeszę.

A nieczekając naszej odpowiedzi, jak go sprzął płazem miecza po grzbiecie, wołając

— Wstań.

Tak Krasowski się porwał na nogi. Achmatowicz podniósł miecz do góry.

— Hoc pirueta.

I Krasowski takiego-pirueta uciął jaki mu się nigdy może nie trafił na Warszawskim teatrze.

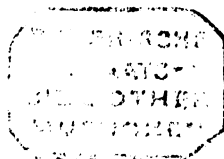
**Mysmy się śmieli a Achmatowicz dodawał do swoich godności,
nową godność.**

Wskrziesiciel tchórzów.

I tak się zakończył ów dzień jesienny.

KONIEC GAWĘD.

	STRONA.
Owrućzanie 1794	1
Staro-Kijowianie 1809	27
Łuczczanie 1812	55
Żytomierzanie 1812	95
Bitwa pod Mołoczkami (opowiadanie Żyda)	121
Bitwa pod Łżą (wspomnienie pułkowe)	135
Trzynasty (wspomnienie pułkowe)	167
Bitwa pod Lipskiem (wspomnienie pułkowe)	182
Saweley (wspomnienie pułkowe)	207
Maxym Sztorc (wspomnienie ukraińskie)	217
Zimowa noc (wspomnienie z Halczyńca)	232
Dzień jesienny (wspomnienie z Halczyńca)	265



W Drukarni Bourgogne et Martinet, przy ulicy Jacob, 30.



